DIALOG

Deutsch-Polnisches Magazin *Magazyn Polsko-Niemiecki*

www.dialogonline.org www.dpg-bundesverband.de Nr. /*nr* 92 (2010) Preis 5 €/*cena* 12 zł

Stettin und die neue deutsch-polnische Grenzregion

Szczecin a nowe polsko-niemieckie pogranicze

Politische Mythen • Schlacht bei Tannenberg, Varusschlacht

Mity polityczne • Bitwa pod Grunwaldem, bitwa w Lesie Teutoburskim

Polens politische Kultur nach Smolensk

Polska kultura polityczna po Smoleńsku

DIALOG

Deutsch-Polnisches Magazin
Magazyn Polsko-Niemiecki

Gründungsjahr / rok założenia: 1987
Gründungsredakteure / redaktorzy założyciele
Günter Filter, Adam Krzemiński

Herausgeber / wydawca
Deutsch-Polnische Gesellschaft Bundesverband e.V.
(Vorsitzende des Vorstandes: Angelica Schwall-Düren, MdB;
Vorsitzende des Kuratoriums: Rita Süssmuth)

Schillerstr. 59, 10627 Berlin
Tel.: (030) - 26 551 - 630, Fax: (030) - 26 551 631
dpgbv@t-online.de

„Przegląd Polityczny"
ul. Szeroka 121/122, 80-835 Gdańsk
tel./faks: (058) 301 93 36
dialog@przegladpolityczny.pl

in Zusammenarbeit mit den Polnisch-Deutschen
Gesellschaften in Polen / przy współpracy
z Towarzystwami Polsko-Niemieckimi w Polsce

Redaktion / redakcja
Basil Kerski (Chefredakteur / redaktor naczelny),
Wojciech Duda, Piotr Leszczyński, Christian Schröter,
Sabine Stekel, Krzysztof Zastawny

Redaktionsassistentin / asystentka redakcji
Monika Satizabal Niemeyer

Redaktionsanschrift / adres redakcji
Deutsch-Polnisches Magazin DIALOG
Schillerstr. 59, 10627 Berlin, Tel.: (030) - 26 551 - 630,
Fax: (030) - 26 551 631, dpgbv@t-online.de

Herstellung, Gestaltung / produkcja, układ graficzny
Deutsch-Polnisches Magazin DIALOG
Magazyn Polsko-Niemiecki DIALOG, Piotr Mordel

Vertrieb und Anzeigenverwaltung / dystrybucja i ogłoszenia
Deutsch-Polnisches Magazin DIALOG
Schillerstr. 59, 10627 Berlin
Tel.: (030) - 26 551 - 630, Fax: (030) - 26 551 631
dpgbv@t-online.de

Anzeigenverwaltung / administracja ogłoszeń
VVA Kommunikation GmbH,
Theodor-Althoff-Str. 39, 45133 Essen

Druck / druk: BOP, ul. Bora-Komorowskiego 24
80-377 Gdańsk, tel.: 058-553 46 59
Auflage / nakład: 7 000 Expl. / egz.

Preis: 5,- Euro / cena: 12,- zł
(Doppelnummer 7,- Euro / numeru podwójnego 16,- zł)
Abonnement / Deutschland: 15,30 Euro (Ausland 20,50 Euro)
Abonnenten wenden sich bitte an die Redaktion

Prenumerata w Polsce: 28,- zł
„Przegląd Polityczny"
ul. Szeroka 121/122, 80-835 Gdańsk
tel./faks: (058) 301 93 36, dialog@przegladpolityczny.pl

ISSN 0938-1422

Diese Ausgabe wurde von der Stiftung für Deutsch-Polnische
Zusammenarbeit und von dem
Auswärtigen Amt gefördert.

To wydanie wsparły
Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej
oraz Ministerstwo Spraw Zagranicznych RFN.

Namentlich gekennzeichnete Beiträge geben nicht in jedem Fall die Meinung des Herausgebers wieder. Für unverlangt eingesandte Manuskripte, Fotos und Zeichnungen wird keine Gewähr übernommen.

Artykuły podpisane nie zawsze odzwierciedlają poglądy wydawców. Nie przyjmujemy odpowiedzialności za rękopisy, zdjęcia i rysunki nadesłane bez zamówienia.

DIALOG Nr. / nr 92 (2010)

XXIII. Jahrgang • *Rocznik XXIII*

Umschlag • *okładka*
Wiesław Smętek

Editorial • *Od redakcji*

„Die Stettiner sehnen sich nach einer neuen Identität", sagt der Stettiner Kulturmanager Marek Sztark in einem DIALOG-Gespräch, das wir in der neuen Ausgabe unseres Magazins veröffentlichen. Jahrzehntelang hat die kommunistische Propaganda die Oderstadt zu einem slawischen Bollwerk gegen den ewigen deutschen Drang nach Osten stilisiert. Im Kalten Krieg war die „Freundschaftsgrenze" zur DDR über viele Jahre de facto ein undurchlässiger zweiter Eiserner Vorhang. Nach 1989 passten die antideutsche Propaganda und die alten Identitätsmuster nicht mehr zu der neuen Zeit. Zwar konnten es einige Politiker nicht unterlassen, auf der Klaviatur alter Ressentiments zu spielen, doch die Stettiner versuchten nun Verbindungen zu den deutschen Nachbarn aufzubauen. Die EU-Außengrenze erschwerte lange die Annäherung. Der EU-Beitritt Polens 2004 und die Aufhebung der Grenzkontrollen 2007 eröffneten für Stettin neue Perspektiven. Das ehemalige antideutsche Bollwerk ist heute eine wichtige Metropole im gesamten pommerschen Raum und hat die Chance, ein bedeutender Akteur der deutsch-polnischen Zusammenarbeit zu werden. Doch wie gut nutzt Stettin die neuen Chancen? Wie hat die Erweiterung des Schengen-Raums die Grenzregion verändert? In welcher Form beeinflussen die jüngsten politischen und ökonomischen Entwicklungen das kulturelle Klima Stettins? Wie gehen Stettiner mit ihrer „Sehnsucht nach einer neuen Identität" um? Diesen Fragen wollen wir in der neuen Ausgabe unseres Magazins nachgehen.

„Mieszkańcy Szczecina tęsknią za nową tożsamością", stwierdza szczeciński menedżer kultury Marek Sztark w rozmowie z DIALOG-iem, którą publikujemy w najnowszym numerze magazynu. Komunistyczna propaganda kreowała niegdyś Szczecin na słowiańską twierdzę przeciwko wiecznemu niemieckiemu Drang nach Osten. W czasach zimnej wojny „granica przyjaźni" między PRL a NRD była w rzeczywistości przez wiele lat drugą, szczelną żelazną kurtyną. Po 1989 roku propaganda antyniemiecka oraz stare wzory tożsamościowe nie pasowały już do nowych czasów, aczkolwiek niektórzy politycy nie przestali grać na klawiaturze starych resentymentów. Niemniej jednak, wiekszość szczecinian rozpoczęła budowę nowych powiązań z Niemcami. Granica Unii Europejskiej utrudniała to zbliżenie. Przystąpienie Polski do Unii w 2004 roku oraz likwidacja kontroli granicznych w 2007 roku otworzyły Szczecinowi nowe perspektywy. Była antyniemiecka twierdza stała się ważną metropolią całego obszaru pomorskiego i ma szanse stać się znaczącym czynnikiem w sferze polsko-niemieckiej współpracy. Czy Szczecin wykorzystuje te nowe szanse? Jak rozszerzenie obszaru Schengen zmieniło polsko-niemieckie pogranicze? W jaki sposób najnowsze zmiany polityczne i gospodarcze wpływają na klimat kulturalny Szczecina? Jak szczecinianie obchodzą się ze swoją „tęsknotą za nową tożsamością"? W aktualnym wydaniu naszego magazynu staramy sie znaleźć odpowiedzi na te pytania.

Basil Kerski

DIALOG Deutsch-Polnisches Magazin • *Magazyn Polsko-Niemiecki*

600 Jahre Tannenberg/ Grunwald, 2000 Jahre Teutoburger Wald
Zwei nationale Mythen und ihre heutige Interpretation 8

600-lecie Grunwaldu, 2000-lecie Lasu Teutoburskiego
Dwa narodowe mity a ich dzisiejsza interpretacja 18

Polens politische Kultur nach der Katastrophe von Smolensk 34

Polska kultura polityczna po katastrofie Smoleńsku 38

PANORAMA

Deutsch-polnisches Panorama 4
Panorama polsko-niemiecka 4

POLITISCHE MYTHEN • MITY POLITYCZNE

Adam Krzemiński
600 Jahre Tannenberg, 2000 Jahre Teutoburger Wald:
Zwei nationale Mythen und ihre heutige Interpretation 8
600-lecie Grunwaldu, 2000-lecie Lasu Teutoburskiego:
Dwa narodowe mity a ich dzisiejsza interpretacja 18

Donald Tusk
Essay: Der Geist Europas 28
Esej: Duch Europy 31

POLITISCHE KULTUR • KULTURA POLITYCZNA

Zdzisław Najder
Politische Kultur: Polen nach der Katastrophe von Smolensk 34
Kultura polityczna: Polska po katastrofie w Smoleńsku 38

Marcin Król
Nation und Pluralismus: Patriotismus als Wahl und als Zwang . . . 42
Naród a pluralizm: Patriotyzm jako wybór i jako przymus 45

STETTIN UND DIE NEUE GRENZREGION
SZCZECIN A NOWE POGRANICZE

Bogdan Twardochleb
Stettin: Eine Stadt auf der Suche nach einer neuen Identität . . . 49
Szczecin: Miasto w poszukiwaniu nowej tożsamości 58

DIALOG-Gespräch mit Marek Sztark über
die Identität und das Kulturleben Stettins 66
Rozmowa DIALOG-u z Markiem Sztarkiem na temat
tożsamości i życia kulturalnego Szczecina 71

Alan Sasinowski
Destruktion und Empathie:
Ein Porträt der Stettiner Schriftstellerin Inga Iwasiów 76
Destrukcja i empatia:
Portret szczecińskiej pisarki Ingi Iwasiów 79

Stettin und die neue deutsch-polnische Grenzregion 48
Szczecin a nowe polsko-niemieckie pogranicze 48

Bogdana Kozińska
Bewohner derselben Stadt: Die Ausstellung „Hans Stettiner – Jan Szczeciński“ 82
Mieszkańcy tego samego miasta: Wystawa „Hans Stettiner – Jan Szczeciński” 83

Robert Ryss
Rückkehr zur Normalität: Die neue deutsch-polnische Grenzregion 84
Powrót do normalności: Nowe polsko-niemieckie pogranicze 87

Krzysztof Kowalski
Fortschritt: Dialog der Museumsfachleute 90
Postęp: Dialog muzealników 91

WISSENSCHAFT • NAUKA

Adrian Hartschuh
Bericht: Erster Kongress der polnischen Deutschlandforscher in Breslau 94
Sprawozdanie: Pierwszy kongres polskich niemcoznawców we Wrocławiu 95

Jahrestagung der Deutsch-Polnischen Gesellschaften findet in Kiel statt

Die diesjährige Jahrestagung der Deutsch-Polnischen Gesellschaft Bundesverband wird unter dem Titel „Nachbarschaft in der Mitte Europas“ vom 5. bis zum 7. November 2010 in Kiel stattfinden. Damit folgt der Bundesverband der Einladung der Deutsch-Polnischen Gesellschaft Kiel. Im Rahmen der Tagung wird im Kieler Rathaus die Verleihung des DIALOG-Preises stattfinden. Geplant sind Debatten zu folgenden Themen: Doppelidentitäten – Polen in Deutschland, Deutsche in Polen; Der Ostseeraum – ein europäischer Kulturraum; Städtepartnerschaften und Jugendaustausch – erfolgreiches Mittel gegenseitiger Verständigung? Zudem ist die Vorstellung des Buches „Polens eigensinniger Held. Wie Lech Wałęsa die Kommunisten überlistete“ von Reinhold Vetter vorgesehen. (www.dpg-bundesverband.de)

Kongres Towarzystw Niemiecko-Polskich odbędzie się w Kilonii

Tegoroczny kongres Towarzystw Niemiecko-Polskich odbędzie się w dniach 5–7 listopada 2010 w Kilonii pod hasłem „Sąsiedztwo w centrum Europy”. Federalny Związek Towarzystw Niemiecko-Polskich przyjął zaproszenie kilońskiego Towarzystwa Niemiecko-Polskiego. Podczas kongresu w Ratuszu Miejskim wręczona zostanie Nagroda DIALOGU. Zaplanowano dyskusje na następujące tematy: podwójna tożsamość – Polacy w Niemczech, Niemcy w Polsce; region Morza Bałtyckiego – europejski region kulturowy; partnerstwo miast i wymiana młodzieży – skutecznym środkiem wzajmnego zrozumienia? W programie wieczór autorski Reinholda Vettera, autora książki „Polens eigensinniger Held. Wie Lech Wałęsa die Kommunisten überlistete”. (www.dpg-bundesverband.de)

Auswärtiges Amt

FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT

Dem Auswärtigen Amt und der Stiftung für Deutsch-Polnische Zusammenarbeit möchten wir für die Finanzierung dieser DIALOG-Ausgabe ganz herzlich danken. * *Za finansowe wsparcie niniejszego numeru DIALOG-u serdecznie dziękujemy Ministerstwu Spraw Zagranicznych RFN i Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.*

PANORAMA

DIALOG-Preis 2010 für den Historiker Klaus Zernack und die Redaktion von „Kowalski trifft Schmidt“ •

Die Deutsch-Polnische Gesellschaft Bundesverband hat den DIALOG-Preis 2010 Klaus Zernack (Foto) und der Redaktion von „Kowalski trifft Schmidt“ (Foto) zuerkannt. Der 1931 in Berlin geborene Historiker Klaus Zernack hat sich wie kaum ein anderer Geisteswissenschaftler seit dem Ende der 1950er Jahre und die deutsch-polnische Annäherung verdient gemacht. Zernack, von 1984 bis 1999 Professor an der Freien Universität Berlin, gab der deutschen Osteuropaforschung ein neues Gesicht, indem er sie für die Stimmen der polnischen Geschichtswissenschaft öffnete. Als deutscher Vorsitzender der Deutsch-Polnischen Schulbuchkommission der UNESCO engagierte er sich intensiv für den Dialog zwischen Deutschen und Polen. Das Fernsehmagazin „Kowalski trifft Schmidt“, eine Produktion von RBB und TVP 3 Wrocław, berichtet seit 1993 bilingual über deutsch-polnische Beziehungen mit je einem deutschen und polnischen Moderator. Das Magazin beschäftigt sich mit dem Alltag und Lebensgefühl in Deutschland und Polen. Mit dem DIALOG-Preis will die Deutsch-Polnische Gesellschaft Bundesverband Personen und Initiativen würdigen, die sich in vorbildlicher Art und Weise für den Dialog der Völker und Kulturen in Europa sowie die Vertiefung der deutsch-polnischen Beziehungen engagieren. Die diesjährigen Preisträger werden die Auszeichnung auf der Jahrestagung der Deutsch-Polnischen Gesellschaften am 5. November 2010 in Kiel entgegennehmen.

Nagroda DIALOGU 2010 dla historyka Klausa Zernacka i redakcji programu „Kowalski spotyka Schmidta” • Federalny Związek Towarzystw Niemiecko-Polskich przyznał Nagrodę DIALOGU 2010 Klausowi Zernackowi (Fot.) i redakcji telewizyjnego programu „Kowalski spotyka Schmidta” (Fot.). Berliński historyk Klaus Zernack (1931) jak żaden inny humanista już od lat 50. przyczyniał się do zbliżenia polsko-niemieckiego. W latach 1984–1999 był profesorem Wolnego Uniwersytetu w Berlinie, zaciśniając w tym czasie kontakty niemieckich i polskich naukowców, zajmujących się problematyką Europy Środkowej i Wschodniej. Będąc niemieckim przewodniczącym Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej intensywnie angażował się na rzecz dialogu między Polakami i Niemcami. Dwujęzyczny progam „Kowalski spotyka Schmidta”, wspólna produkcja telewizji RBB i TVP 3 Wrocław, od roku 1993 śledzi stosunki polsko-niemieckie, komentowane przez polskiego i niemieckiego prowadzącego. Magazyn dużo miejsca poświęca dniu codziennemu Polski i Niemiec. Nagrodą DIALOGU FZTNP honoruje osoby i inicjatywy, których działalność jest wzorem zaangażowania na rzecz dialogu między narodami i kulturami w Europie oraz pogłębiania stosunków polsko-niemieckich. Laureaci odbiorą nagrodę 5 listopada 2010 r. podczas Kongresu Towarzystw Niemiecko-Polskich w Kilonii.

Deutsche wollen bessere Beziehungen zu Polen • Die große Mehrheit der Deutschen wünscht sich laut einer Umfrage der Zeitung „Welt am Sonntag“ vom 18. April 2010 bessere Beziehungen zum östlichen Nachbarn Polen. Auf die Frage, ob Deutschland zu Polen ein so gutes Verhältnis wie zu seinem westlichen Nachbarn Frankreich entwickeln solle, antworteten 84 Prozent der Befragten mit Ja. Zwölf Prozent lehnten das in der Umfrage ab. 70 Prozent der Bürger halten die in Deutschland lebenden polnischen Einwanderer für gut bis sehr gut integriert. Nur 22 Prozent sehen eine weniger gute Integration.

Niemcy pragną lepszych stosunków z Polską • Według ankiety niemieckiego tygodnika „Welt am Sonntag” z 18 kwietnia 2010 roku większość Niemców życzy sobie lepszych stosunków ze swoim wschodnim sąsiadem. Na pytanie, czy Niemcy powinny z Polską wypracować tak dobre relacje jak ze swoim zachodnim sąsiadem Francją, pozytywnie odpowiedziało 84 procent ankietowanych. Negetywnych odpowiedzi udzieliło 12 procent respondentów. 70 procent obywateli uważa polskich imigrantów mieszkających w Niemczech za dobrze i bardzo dobrze zintegrowanych, a jedynie 22 procent badanych jest odmiennego zdania.

3. Deutsch-Polnische Medientage und der 13. Deutsch-Polnische Journalistenpreis • Unter dem Motto „Deutschland und Polen – Partner im Osten“ fanden vom 7. bis 9. Juni 2010 in Dresden die 3. Deutsch-Polnischen Medientage statt. Die Diskussionen galten den Beziehungen zwischen der Europäischen Union, ihren östlichen Nachbarn und Russland sowie dem grenzüberschreitenden Journalismus. Im Rahmen der Medientage wurden auch die Preisträger des 13. Deutsch-Polnischen Journalistenpreises feierlich ausgezeichnet (Foto). Adam Zadworny (Gazeta Wyborcza) erhielt den Preis in der Kategorie Presse für seine Reportage „Dziki Zachód – Uznam“ (Der Wilde Westen: Usedom), in der Kategorie Hörfunk wurde Andra Joeckle (Deutschlandradio Kultur) für ihren Beitrag „Krakau mit Händen und Füßen“ ausgezeichnet. In der Kategorie Fernsehen zeichnete die Jury Jacek Kubiak und Klaus Salge (rbb/arte) aus, die Autoren der Dokumentation „Eine blonde Provinz“. Die diesjährigen Medientage wurden gemeinsam von der Robert Bosch Stiftung, der Stiftung für Deutsch-Polnische Zusammenarbeit, dem Freistaat Sachsen und der Landeshauptstadt Dresden organisiert. (www.medientage.org)

III Polsko-Niemieckie Dni Mediów oraz XIII Nagroda Dziennikarzy • Pod hasłem: „Polska i Niemcy – partnerzy na Wschodzie” w dniach 7–9 czerwca 2010 r. odbyły się w Dreźnie III Polsko-Niemieckie Dni Mediów. Dyskusje poświęcone były stosunkom między Unią Europejską a jej wschodnimi sąsiadami i Rosją oraz dziennikarstwu transgranicznemu. Na zakończenie Dni Mediów odbyło się uroczyste wręczenie nagród laureatom XIII Konkursu o Polsko-Niemiecką Nagrodę Dziennikarską (fot.). Adam

Zadworny („Gazeta Wyborcza Szczecin") otrzymał nagrodę w kategorii Prasa za reportaż „Dziki Zachód – Uznam". Nagrodę dla Dziennikarza Radiowego otrzymała Andra Joeckle (Deutschlandradio Kultur) za reportaż „Krakau mit Händen und Füßen" (Kraków rękami i nogami). W kategorii Telewizja zwyciężyli Jacek Kubiak i Klaus Salge (RBB/Arte), autorzy filmu dokumentalnego „Eine blonde Provinz" (Jasnowłosa prowincja). Tegoroczne Dni Mediów zorganizowały wspólnie Fundacja Roberta Boscha, Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej, Wolne Państwo Saksonia i Miasto Drezno. (www.medientage.org)

Neuer Sitz des Dokumentationszentrums für Nazi-Terror in Berlin eröffnet • Am 6. Mai 2010 wurde der neue Sitz des Dokumentationszentrums „Topographie des Terrors" in Berlin eröffnet. Auf dem Gelände des Zentrums befand sich bisher eine Freiluftausstellung, die jährlich von knapp 500.000 Besuchern besichtigt wurde. Die nun ausgebaute Ausstellung wurde in ein neues Gebäude verlegt. Das neue Museum steht im Zentrum der Stadt, an einem Ort, an dem sich bis 1945 die verbrecherischen NS-Institutionen befanden: die Gestapo, die SS-Zentrale und das Reichssicherheitshauptamt. Die Dauerausstellung informiert über den Repressionsapparat der Nationalsozialisten, über Menschen, die ihn aufgebaut haben, über das Leben der unterdrückten Völker, über die Verfolgung von Kriegsverbrechern und die Abrechnung Deutschlands mit seiner nationalsozialistischen Vergangenheit. Der Museumsdirektor, Prof. Andreas Nachama, erwägt, eine Sonderausstellung zur NS-Besatzungszeit in Polen zu organisieren. Die Eröffnung des Museums ist die Krönung der 20 Jahre dauernden Bemühungen, auf diesem Gelände eine Einrichtung zu gründen, die die Maschinerie des Nazi-Terrors veranschaulichen würde.

Otwarto nową siedzibę Centrum Dokumentacyjnego Zbrodni Nazistowskich w Berlinie • 6 maja 2010 r. otwarto w Berlinie nową siedzibę Centrum Dokumentacyjnego Zbrodni Nazistowskich „Topografia terroru". Dotychczas na terenie Centrum znajdowała się wystawa plenerowa, którą co roku odwiedzało ok. 500 tys. osób. Wystawę, w rozbudowanej formie, przeniesiono do nowego budynku. Nowe muzeum mieści się w centrum miasta, w miejscu, gdzie do 1945 r. działały najbardziej zbrodnicze hitlerowskie instytucje – Gestapo, SS i Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy. Stała wystawa muzeum ukazuje strukturę hitlerowskiego aparatu represji, ludzi, którzy nim kierowali, życie okupowanych narodów, ściganie zbrodniarzy hitlerowskich oraz proces rozliczenia nazistowskiej przeszłości w Niemczech. Główną ekspozycję będą uzupełniać wystawy czasowe. Dyrektor muzeum prof. Andreas Nachama rozważa zorganizowanie specjalnej wystawy poświęconej okupacji hitlerowskiej w Polsce. Otwarcie muzeum stanowi ukoronowanie ponad 20-letnich starań o utworzenie w tym miejscu placówki ukazującej mechanizm nazistowskiego terroru.

Polnische Musik auf dem Schleswig-Holstein Musik Festival • Im Mittelpunkt des diesjährigen Schleswig-Holstein Musik Festivals steht polnische Musik, darunter Klassik, Jazz, Avantgarde und Klezmer. Die 25. Ausgabe des internationalen klassischen Musikfestivals, bei dem die prominentesten Persönlichkeiten aus der Musikwelt zusammenkommen, findet vom 10. Juli bis 29. August 2010 statt. Jedes Jahr konzentriert sich das Festival auf die Musik eines anderen Landes und seine Kultur. Binnen sieben Wochen werden 136 Konzerte an 49 Orten in Schleswig-Holstein, Niedersachsen und Dänemark gespielt. Die Musikveranstaltungen werden von der kulturellen Initiative KulturSommer begleitet, in deren Rahmen Ausstellungen polnischer Künstler angeboten werden. Das diesjährige Festival wird u. a. von der Stiftung für Deutsch-Polnische Zusammenarbeit finanziell unterstützt.

Muzyka polska na Schleswig-Holstein Musik Festival • W centrum uwagi tegorocznego festiwalu Schleswig-Holstein Musik Festival znajdzie się polska muzyka, w tym m.in. klasyka, jazz, awangarda, muzyka klezmerska. 25. edycja międzynarodowego festiwalu muzyki klasycznej, gromadzacego największe nazwiska świata muzycznego, odbędzie się w dniach 10.07.–29.08. br. Każda edycja festiwalu koncentruje się na muzyce wybranego kraju i jego zróżnicowanym dorobku kulturalnym. W ciągu siedmiu tygodni odbędzie się 136 koncertów w 49 miejscach Szlezwiku-Holsztyna, Dolnej Saksonii oraz w Danii. Imprezom muzycznym towarzyszyć będzie program Lato Kultury, obejmujący kilkadziesiąt wystaw polskich artystów. Tegoroczny festiwal dofinansowuje m.in. Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej.

Feierliche Neueröffnung der Synagoge Zum weißen Storch in Wrocław • Nach 14 Jahren Sanierung wurde am 6. Mai 2010 die restaurierte Breslauer Synagoge „Zum Weißen Storch" feierlich neu eröffnet. An dem Ereignis nahmen u.a. die Regierungsvertreter aus Polen, Israel, der Breslauer Stadtpräsident Rafał Dutkiewicz sowie der Vorsitzende des Jüdischen Gemeindeverbundes in Polen, Piotr Kadlčik, teil. Zum Programm der fünftägigen Feierlichkeiten gehörten Konzerte, Ausstellungen sowie ein offener Sabbat-Gottesdienst. Die Storch-Synagoge ist ein Werk des Architekten Carl Ferdinand Langhans, dessen Vater das Brandenburger Tor in Berlin entworfen hat. Die Synagoge wurde 1829 fertig gestellt. Nach dem Zweiten Weltkrieg verkam sie nach und nach zur Ruine. Nach 1968 wurde sie Staatseigentum, um anschließend wieder in private Hände zu gelangen. In den 1990er Jahren wurde die Synagoge „Zum Weißen Storch" den Breslauer Juden zur Verfügung gestellt. Auf Anraten des damaligen Breslauer Metropoliten, Kardinal Henryk Gulbinowicz, kaufte das polnische Kulturministerium das Gebäude den Privatbesitzern ab und übergab es der wieder gegründeten jüdischen Gemeinde in Breslau.

Uroczyste otwarcie synagogi Pod Białym Bocianem we Wrocławiu • Po 14 latach remontu odbyło się 6 maja 2010 r. uroczyste otwarcie odrestaurowanej wrocławskiej synagogi Pod Białym Bocianem. W wydarzeniu udział wzięli m.in. przedstawiciele władz państwowych Polski i Izraela, prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz oraz przewodniczący Związku Gmin Wyznaniowych Żydowskich w RP Piotr Kadlčik. W programie pięciodniowych uroczystości inauguracyjnych znalazły się m.in. koncerty, wystawy oraz otwarte nabożeństwo szabatowe. Synagoga jest dziełem architekta Carla Ferdinanda Langhansa, syna twórcy berlińskiej Bramy Brandenburskiej. Została oddana do użytku w 1829 r. Po II wojnie światowej synagoga popadała stopniowo w ruinę. Po 1968 r. przeszła na własność Skarbu Państwa, a następnie stała się własnością prywatną. Do wrocławskich Żydów synagoga Pod Białym Bocianem wróciła w latach 90. Za namową ówczesnego metropolity wrocławskiego kardynała Henryka Gulbinowicza Ministerstwo Kultury i Sztuki odkupiło obiekt i przekazało odrodzonej gminie żydowskiej we Wrocławiu.

Polen – Deutschland. Tausend Jahre Nachbarschaft in Europa • „Polen – Deutschland. Tausend Jahre Nachbarschaft in Europa“ ist eine Vortragsreihe, die im Königsschloss in Warschau in den Jahren 2010 und 2011 veranstaltet wird. Der Titel knüpft an die Ausstellung an, die im Berliner Martin-Gropius-Bau ab September 2011 besichtigt werden kann. Die Eröffnungsrede am 26. Mai hielt Prof. Władysław Bartoszewski. Die Vortragsreihe, die insgesamt für einundeinhalb Jahre geplant ist, wird die Gelegenheit bieten, das gemeinsame deutsch-polnische Kulturerbe der polnischen Öffentlichkeit näher zu bringen. Es wird nicht an kontroversen Vortragsthemen fehlen, wie zum Beispiel über die gegenseitigen nationalen Vorurteile und Stereotype. Hauptziel der Organisatoren ist jedoch, in der komplizierten Geschichte beider Völker die Zeiten hervorzuheben, in denen es eine kreative deutsch-polnische Zusammenarbeit gab. (www.zamek-krolewski.pl)

Polska–Niemcy. Tysiąc lat sąsiedztwa w Europie • „Polska-Niemcy. Tysiąc lat sąsiedztwa w Europie” to cykl wykładów organizowanych na Zamku Królewskim w Warszawie w 2010 i 2011 r. Tytuł nawiązuje do wystawy, którą będzie można oglądać w berlińskim Martin-Gropius-Bau od września 2011. Wykład inauguracyjny wygłosił 26 maja prof. Władysław Bartoszewski. Cykl, obejmujący półtora roku, będzie okazją do przybliżenia polsko-niemieckiego dziedzictwa kulturowego. Wśród tematów nie zabraknie kwestii kontrowersyjnych, np. wzajemnych uprzedzeń i stereotypów narodowościowych. Jednak celem nadrzędnym organizatorów jest zaakcentowanie okresów twórczej polsko-niemieckiej współpracy w skomplikowanej przeszłości. (www.zamek-krolewski.pl)

„Jahrbuch Polen 2010“ über Migration • Das aktuelle Jahrbuch des Deutschen Polen-Instituts befasst sich mit dem Thema Migration. Das Werk präsentiert polnische Migrationsströme in Geschichte und Gegenwart, berichtet über polnische und europäische Migrationsdebatten, behandelt differenziert die Lage der „Polnischsprachigen“ in Deutschland. Zehn Essays, Reportagen, Analysen (u. a. von Bartosz Wieliński, Uwe Rada und Basil Kerski) sowie mehrere literarische Beiträge (u. a. von Janusz Głowacki, Manuela Gretkowska und Andrzej Bobkowski) bringen dem Leser die zahlreichen Facetten des Phänomens Migration näher.

Rocznik „Jahrbuch Polen 2010” o tematyce migracyjnej • Najnowszy rocznik wydany przez Deutsches Polen-Institut w Darmstadcie poświęcony jest tematyce migracji. Publikacja prezentuje polskie fale migracyjne na tle historycznym i współczesnym, informuje o polskich i europejskich debatach na temat migracji i zajmuje się różnymi aspektami sytuacji „polskojęzycznych” obywateli Niemiec. Dziesięć esejów, reportaży i analiz (autorstwa m.in. Bartosza Wielińskiego, Uwego Rady, Basila Kerskiego) oraz kilka artykułów literackich (m.in. Janusza Głowackiego, Manueli Gretkowskiej, Andrzeja Bobkowskiego) mają przybliżyć zainteresowanym różne oblicza fenomenu migracji.

Horst-Bienek-Jahr • Aus Anlass des 80. Geburtstages sowie des 20. Todestages des renommierten Gleiwitzer Schriftstellers Horst Bienek (Foto) wurde ein Horst-Bienek-Jahr vorbereitet. Zu den Organisatoren gehören das Haus der Deutsch-Polnischen Zusammenarbeit und das Museum in Gleiwitz, die Stadt Gleiwitz, das Deutsche Generalkonsulat Breslau, das Konsulat der Bundesrepublik Deutschland Oppeln sowie das Deutsche Kulturforum östliches Europa. Das Ziel der Veranstalter ist, die Erinnerung an den Schriftsteller, seine Werke und seine Heimatstadt wieder aufleben zu lassen. Der Jahrestag bietet eine gute Gelegenheit, das Werk Bieneks kennen zu lernen oder das Wissen über den hervorragenden Autor zu vertiefen. Im Rahmen des Horst-Bienek-Jahres wird eine Reihe von kulturellen Veranstaltungen angeboten, darunter ein literarischer Wettbewerb, ein durch den Inhalt von Bieneks Werk inspirierter Kunstwettbewerb, ein auf seinem Roman „Die erste Polka“ basierendes Theaterstück sowie die Ausstellung „Wörter, meine Fallschirme. Horst Bienek 1930–1990“. Die Internetseite zum Horst-Bienek-Jahr: www.horstbienek.haus.pl

Rok Horsta Bienka • Z okazji 80. rocznicy urodzin oraz 20. rocznicy śmierci wybitnego gliwickiego pisarza Horsta Bienka (Fot.) Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej wraz z Muzeum w Gliwicach, Samorządem Miasta Gliwice, konsulatem generalnym RFN we Wrocławiu, konsulatem RFN w Opolu oraz Niemieckim Forum Kultury Europy Środkowej i Wschodniej przygotowały Rok Horsta Bienka. Celem organizatorów jest ożywienie pamięci o pisarzu, jego dziełach i rodzinnym mieście. Jubileusz jest okazją do zapoznania się lub pogłębienia wiedzy o znakomitym pisarzu. Podczas Roku Horsta Bienka odbywa się cykl wydarzeń kulturalnych, m.in.: konkursu literacki, konkurs plastyczny inspirowany tematyką twórczości Horsta Bienka, przedstawienie teatralne na podstawie jego powieści: „Pierwsza polka” oraz wystawa „Słowa, moje spadochrony. Horst Bienek 1930–1990”. Powstała także strona internetowa Horsta Bienka: www.horstbienek.haus.pl

Städtepartnerschaft Senden-Koronowo • Am 15. Mai 2010 unterzeichneten der Bürgermeister von Senden Alfred Holz und der Bürgermeister von Koronowo Stanisław Gliszczyński die Partnerschaftsurkunde zwischen den beiden Städten (Foto). An der feierlichen Unterzeichnung nahmen Vertreter von Senden teil, darunter Vorstandsmitglieder der Deutsch-Polnischen Gesellschaft Senden e. V. sowie Vertreter der Stadt und Gemeinde Koronowo. Die offizielle Unterzeichnung war die Krönung der seit 2004 andauernden Zusammenarbeit zwischen Senden und Koronowo und schuff die Grundlage zur weiteren Intensivierung der gegenseitigen Beziehungen.

Partnerstwo miast Senden-Koronowo • 15 maja br. burmistrz Senden Alfred Holz oraz burmistrz Koronowa Stanisław Gliszczyński, podpisali dokumenty potwierdzające partnerstwo pomiędzy oboma miastami (fot.). W uroczystościach, które miały miejsce w Ratuszu w Koronowie, udział wzięła delegacja z Senden, w tym członkowie zarządu Niemiecko-Polskiego Towarzystwa Senden oraz przedstawiciele miasta i gminy Koronowo. Formalny akt podpisania partnerstwa był uwieńczeniem trwającej od 2004 r. współpracy pomiędzy Senden i Koronowem i stanowi bazę do dalszego wzmacniania wzajemnych kontaktów.

Polnische zeitgenössische Kunst in Kiel ausgestellt • Am 11. Juni 2010 wurde in der Stadtgalerie Kiel die Ausstellung „Die kleine Improvisation – polnische Kunst heute“ eröffnet, die einen Einblick in die aktuelle Kunstszene Polens bietet. Ausgestellt werden die Arbeiten von Agnieszka Brzeżańska, Sławomir Elsner, Alicja Karska & Aleksandra Went, Tomasz Kowalski, Jacek Niegoda, Konrad Pustoła, Adam Witkowski, Julita Wójcik, Kasia Fudakowski, Szymon Kobylarz, Katarzyna Kozyra und Łukasz Skąpski. Die Werke spiegeln die gesellschaftlichen Folgen des politischen Wandels in Polen sowie die Erinnerungen der Künstler an ihre Kindheit und Jugend im sozialistischen System wider. Kuratorin der Ausstellung ist Dorothee Bienert. Die Exposition entstand mit Unterstützung des Generalkonsulats der Republik Polen in Hamburg sowie des Ministeriums für Bildung und Kultur des Landes Schleswig-Holstein im Rahmen des Projektes Ars Baltica. Die Ausstellung kann bis 29. August 2010 besichtigt werden. (www.kiel.de/kultur/stadtgalerie)

Wystawa polskiej sztuki współczesnej w Kilonii • 11 czerwca 2010 r. w Galerii Miejskiej w Kilonii otwarto wystawę „Die kleine Improvisation – polnische Kunst heute / Mała improwizacja – polska sztuka dzisiaj”. Wystawa jest wglądem w aktualny stan polskiej sceny artystycznej. Ekspozycja prezentuje prace Agnieszki Brzeżańskiej, Sławomira Elsnera, Alicji Karskiej & Aleksandry Wenty, Tomasza Kowalskiego, Jacka Niegody, Konrada Pustoła, Adama Witkowskiego, Julity Wójcik, Kasi Fudakowskiej, Szymona Kobylarza, Katarzyny Kozyry i Łukasza Skąpskiego. Sztuka artystów odzwierciedla społeczne skutki przemian związanych z transformacją lat 90. w Polsce. Ich prace obrazuja wspominienia dzieciństwa i lat młodości w socjalistycznym ustroju. Kuratorem wystawy jest Dorothee Bienert. Wystawa powstała przy wsparciu konsulatu generalnego RP w Hamburgu oraz ministerstwa edukacji i kultury Szlezwika-Holsztyna w ramach programu Ars Baltica. Wystawa jest czynna do 29 sierpnia 2010. (www.kiel.de/kultur/stadtgalerie)

Enthüllung einer Gedenktafel für Willy Cohn • Im Rahmen der Eröffnungsfeierlichkeiten für die Synagoge „Zum Weißen Storch“ wurde an dem einstigen Cohn-Haus am Markt (Rynek 49) in Breslau eine Gedenktafel für Willy Cohn enthüllt. An der Festveranstaltung nahmen unter anderem teil: Regine Cohn, Schwiegertochter Willy Cohns, seine Enkeltochter Dr. Tamara Gazit, der 1935 in Breslau geborene Dr. Benjamin Sklarz, Vorsitzende des Verbandes ehemaliger Breslauer und Schlesier in Israel, sowie die Nachkommen von Wilhelm Salomon Freund, dem langjährigen Vorsitzenden der Stadtverordnetenversammlung und Ehrenbürger Breslaus. Willy Cohn, ein Breslauer Historiker und Verfasser des Tagebuchs über den Alltag der Breslauer Juden in NS-Deutschland, kam zusammen mit seiner Frau und seinen Töchtern in Kaunas ums Leben, womit er das Schicksal von 8.000 Breslauer Juden teilte. Die Tagebücher Willy Cohns, die 2006 erstmals erschienen, wurden von dem deutschen Historiker Prof. Norbert Conrads herausgegeben. Die gekürzte Fassung der Tagebücher erschien im April 2010 auch in polnischer Sprache („Żadnego prawa – nigdzie. Dziennik z Breslau 1933–1941).

Odsłonięcie tablicy pamiątkowej Willy'ego Cohna • 7 maja 2010 r. w ramach uroczystości inauguracyjnych otwarcia synagogi Pod Białym Bocianem na dawnej kamienicy Cohnów we Wrocławiu (Rynek 49) została odsłonięta tablica pamiątkowa Willy’ego Cohna. W ceremonii udział wzięli m.in.: Regine Cohn, synowa Willy’ego Cohna, dr Tamara Gazit, jego wnuczka, dr Benjamin Sklarz (urodzony w Breslau w 1935 r.), przewodniczący Stowarzyszenia Żydowskich Wrocławian w Izraelu oraz potomkowie Wilhelma Salomona Freunda, honorowego obywatela Wrocławia, wieloletniego przewodniczącego Zgromadzenia Radnych Miasta. Willy Cohn – wrocławski historyk, autor dziennika opisującego obraz codziennego życia wrocławskich Żydów w narodowosocjalistycznych Niemczech, zginął w Kownie wraz z żona i córkami, dzieląc los ośmiu tysięcy wrocławskich Żydów. Dzienniki Willy’go Cohna, które po raz pierwszy ukazały się w 2006 r., przygotował do druku niemiecki historyk prof. Norbert Conrads. Skrócona wersja dzienników pt. „Żadnego prawa – nigdzie. Dziennik z Breslau 1933–1941” została opublikowana w języku polskim w kwietniu br.

Fot. East News

Adam **Krzemiński**

Der Kult nationaler Egoismen

600 Jahre Tannenberg/Grunwald, 2000 Jahre Teutoburger Wald
Zwei nationale Mythen und ihre heutige Interpretation

Szene aus dem Spielfilm „Die Kreuzritter" von Aleksander Ford / *kadr z filmu „Krzyżacy" Aleksandra Forda*

Grunwald (dt. Schlacht bei Tannenberg) ist für viele Polen bisher eine Arznei für den weiterhin lebendigen Komplex des westlichen Nachbarn, aber auch ein Symbol der früheren militärischen Leistungsfähigkeit sowie des Anfangs des goldenen Zeitalters, das aus der polnisch-litauischen Union für dreihundert Jahre eines der regionalen zivilisatorischen Zentren Europas machte. Der historische Standort Grunwalds ist dem des Teutoburger Waldes genau entgegengesetzt. So wie der Anführer der Cherusker durch seinen Verrat an Rom den Beitritt zur damaligen EU ablehnte, so waren die beiden litauischen Brüder Jagiełło und Witold nicht nur ausgesprochene Befürworter der westlichen Option, sondern wurden durch Grunwald gleichberechtigte Mitglieder dieses Westens. Ihr Konflikt mit dem Deutschordensstaat war nach der Annahme des Katholizismus durch Litauen ein Konflikt von Prinzipien innerhalb des Westens, und nicht – wie das die Ordenspropaganda darstellte – ein zivilisatorischer Zusammenstoß von westlichem Christentum und Heiden.

Die Europäer stützen ihr Gefühl von Nationalstolz seit jeher auf der Erinnerung an siegreiche oder verlorene Schlachten gegen ihre Nachbarn. Zugleich aber bestehen der Sinn und das Ziel der Europäischen Union darin, durch das Akzentuieren einer europäischen Wertegemeinschaft und das Entwickeln von Empathie den Nachbarn gegenüber die jahrhundertelange Vendetta zu unterbrechen. Diesen Knoten grundverschiedener Intentionen – einerseits der Stolz über den früheren Triumph über den „Kreuzrittersturm", andererseits das Bewusstsein der heutigen deutsch-polnischen Gemeinschaft im Rahmen der EU – werden wir im Sommer anlässlich der 600-Jahrfeier von Grunwald (der Schlacht bei Tannenberg) aufschnüren. Die Deutschen haben das schon hinter sich. Im Herbst des vergangenen Jahres begingen sie den zweitausendsten Jahrestag der Schlacht im Teutoburger Wald, bei der die Germanen die Ausdehnung des Römischen Kaiserreichs nach Mitteleuropa aufhielten.

Das Nachdenken rund um diese beiden Jahrestage kann heute – entgegen den traditionellen Reflexen – Deutsche und Polen eher verbinden als trennen, wenngleich im 19. Jahrhundert der Kult dieser beiden Schlachten die Schule zweier komplett gegensätzlicher nationaler Egoismen war.

Für die eines eigenen Staates beraubten Polen war der Grunwald-Kult der Sockel der historischen Identität. Er erinnerte an die Zeiten militärischen Glanzes und machte es möglich, dem Bismarckschen Kulturkampf und der wilhelminischen Germanisierung die Idee einer nachbarschaftlichen Union von Polen und Litauen sowie von konfessioneller Toleranz gegenüberzustellen. Am Krieg gegen den Ordensstaat im 15. Jahrhundert nahmen neben römischen Katholiken auch Hussiten, Orthodoxe und sogar Moslems teil. Die zeitgleich im Jahre 1910 in Krakau und New York errichteten Jagiełło-Denkmäler waren nicht nur Pflaster auf polnische Wunden, sondern auch ein Zeugnis für den Willen zur Rückkehr Polens auf die europäische Bühne.

Für die Deutschen dagegen, die sich Ende des 19. Jahrhunderts um eine Machtposition in Europa bemühten, fügte sich die Vernichtung von drei römischen Legionen im Jahre 9 n. Chr. in den Mythos der deutsch-französischen „Erbfeindschaft" ein. So hatte auch im Jahre 1809 – nach Preußens Niederlage bei Jena – Heinrich von Kleist seine „Hermannsschlacht" kon-

zipiert, als Aufruf zum Partisanenkampf gegen Napoleon. Wilhelm I. gab bei der Eröffnung des riesigen Hermannsdenkmals in Detmold im Jahre 1875 deutlich zu verstehen, dass er, indem er die Franzosen bei Sedan geschlagen und 1871 Deutschland in Versailles geeinigt hatte, zum Nachfolger des Cheruskerführers geworden war ...

Beide nationalen Mythen hatten jedoch im Laufe der letzten hundert bis hundertfünfzig Jahre komplett unterschiedliche spezifische Gewichtungen. In Polen war Grunwald das ganze 20. Jahrhundert hindurch ein lebendiger Mythos. Von den Feiern von 1910 über den Zweiten Weltkrieg und die kommunistische Propaganda aus dem Jahre 1960 mit Adenauer im Deutschordensmantel bis zum Wahlkampf der Kaczyński-Brüder, der 2005 vor dem Hintergrund von Matejkos Gemälde begann.

Dagegen war es im Deutschland des 20. Jahrhunderts, das nach der Herrschaft in Europa griff, nicht ganz klar, was man mit einer Schlacht machen soll, die trotz des Sieges einen Komplex des Schwachen gegenüber der imperialen Macht des romanischen Nachbarn offenbart hatte. Die Germanen hatten die Legionen des Varus vernichtet, aber keine straffe Staatlichkeit geschaffen. Die Römer zogen sich nach einigen Straffeldzügen hinter Rhein und Donau zurück, aber Rom lockte die Barbaren weiterhin durch sein zivilisatorisches Niveau, also drängten sie gegen seine Grenzen. Im Jahre 410 n. Chr. stießen sie unter Alarich bis zur Hauptstadt des Imperiums vor. Ein halbschen Reiches durch Karl den Großen im 9. Jahrhundert – die *restitutio imperii* – als natürlichen geschichtlichen Prozess auf.

Wenn die EU heute an die karolingische Idee anknüpft, ist die Erinnerung an den Triumph der Germanen im Teutoburger Wald etwas schwierig, weil er auf den Zerfall, und nicht die Vereinigung Europas verweist. Letztlich bereitete dem Kaiserreich ein Verräter eine Niederlage, ein in Rom erzogener und geadelter Germane, der in vielen Grenzkriegen germanische Hilfsabteilungen befehligte. Es war Hermann, der Varus zum Marsch an die Elbe bewegte, um dann die römischen Legionäre in schwierigem Gelände unvermittelt anzugreifen. Diesen Verrat rechtfertigten die Ideologen des deutschen Nationalismus des 19. Jahrhunderts genauso, wie Adam Mickiewicz Wallenrods Treuebruch begründete – gegen den Eindringling dürfe man mit allen Methoden kämpfen. Außerdem – so behaupteten sie – hätte Hermann ja von den Römern die „romanische Falschheit" gelernt, denn es sei doch schon aus

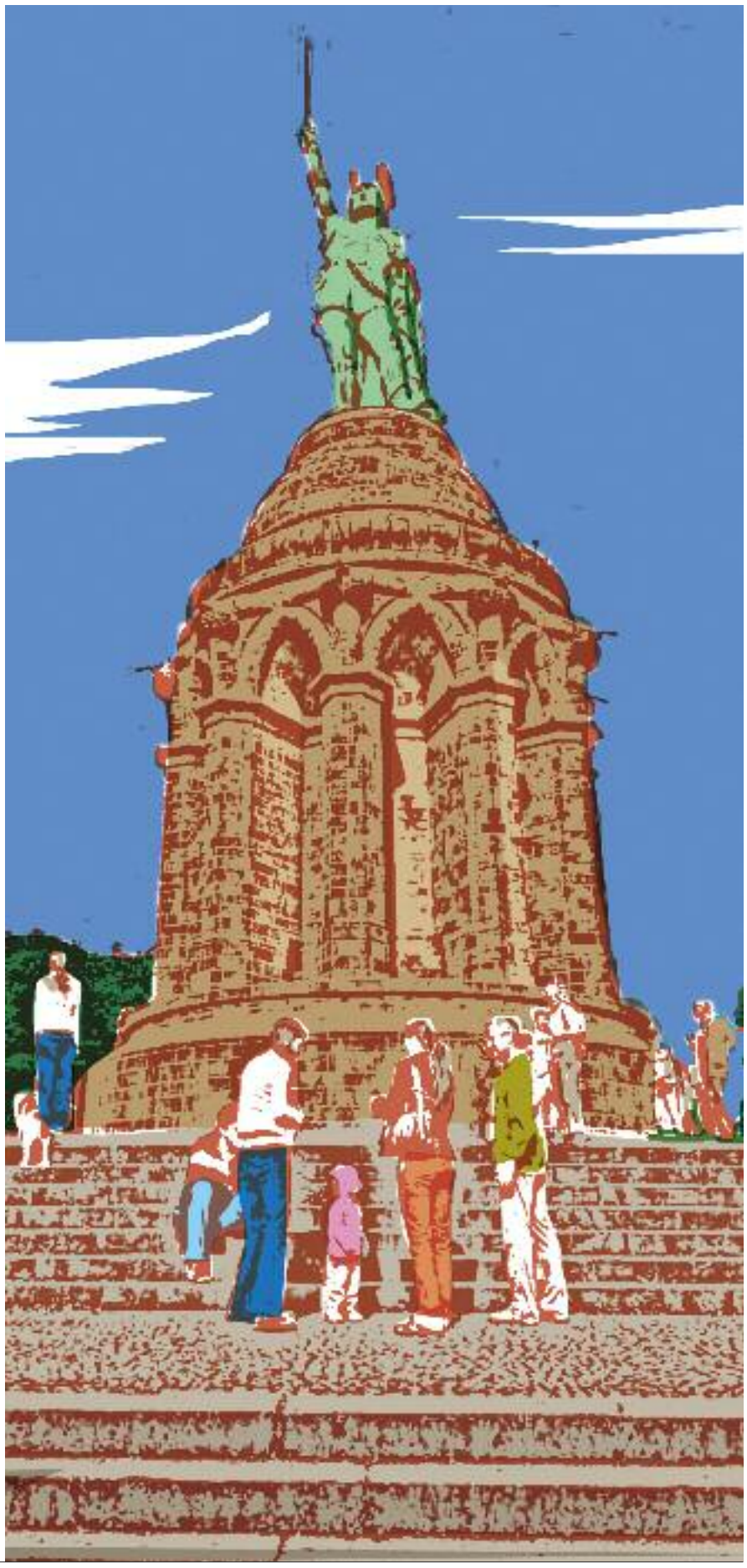

Piotr Mordel

Hermannsdenkmal / *pomnik Arminiusza Hermanna*, Detmold

Die Schlacht bei Tannenberg (die erste Schlacht bei Tannenberg, 1410; poln. Die Schlacht bei Grunwald)) – eine der größten Schlachten (von der Teilnehmerzahl) in der Geschichte des mittelalterlichen Europas, die am 15. Juli 1410 auf den Feldern bei Grünfelde stattfand. Es war eine Schlacht während des Krieges zwischen dem Deutschen Orden unter Führung des Hochmeisters Ulrich von Jungingen (ca. 21.000 Soldaten), der die westeuropäische Ritterschaft zur Seite stand und den vereinigten polnischen, litauisch-russischen und Smolensker Heeren, unterstützt von tschechischen, moldawischen und tatarischen Truppen, angeführt vom polnischen König Władysław II. Jagiełło (29.000 Soldaten). Die Schlacht, die mit dem Sieg des polnisch-litauischen Heeres und der Niederlage des Ritterordens endete, trug jedoch nicht zur vollständigen Vernichtung des Ordens bei. • Aus Anlass des 550. Jahrestages der Schlacht (1960) wurde ein Denkmal des Tannenberger Sieges enthüllt, das aus einem granitenen Monument und aus elf 30 Meter langen Mästen besteht, die die Fahnen der polnischen und litauisch-russischen Banner symbolisieren. Darüber hinaus gibt es hier ein Freilichtmuseum mit einem Kinosaal und einer Reliefkarte, die die Stellungen der Heere vor der Schlacht darstellt. Auf dem einstigen Schlachtfeld befinden sich auch die Ruinen einer Feldkapelle, der Jagiełło-Hügel und die Überreste des Tannenberger Denkmals aus Krakau, das 1939 von den Neonazis zerstört worden ist. • Jährlich um den 15. Juli finden die Tannenberger Tage statt, die von der Gemeinde Grunwald, vom Polnischen Pfadfinderverband, vom Militär und von den Rittervereinigungen organisiert werden. Neben den patriotischen Feierlichkeiten am Denkmal erfreut sich auch die Nachstellung der Schlacht durch polnische und ausländische Rittervereinigungen großer Beliebtheit.

dem „Nibelungenlied" bekannt, dass Germanen keinen Verrat übten, sondern treu bis ans Grab seien. Siegfried, der in den germanischen Sagen den Drachen überwand, sei jener Anführer der Cherusker, der die römischen Legionen besiegt habe, gewissermaßen das Reptil, das sich mit von eisernen Schilden bedeckten Schuppen durch die westfälischen Wälder geschlagen habe.

Der ferne Spiegel

Nicht nur die Deutschen bastelten sich nationale Mythen aus solchen Erfindungen und Halbwahrheiten zusammen. Barbara Tuchman verglich die populären Erzählungen von früheren Schlachten mit einem fernen Spiegel, in dem man nicht so sehr die Vergangenheit als vielmehr die Gegenwart sieht. Was können folglich die Jubiläumsfeiern beider Triumphe über unsere Zeiten aussagen?

Die medialen Inszenierungen der Niederlage der Römer und des Triumphs der Germanen waren in der Bundesrepublik ostentativ gedämpft. Aber in ihrem fernen Spiegel konnte man die heutigen globalen Probleme wie den Krieg in Afghanistan erkennen. Ralf-Peter Märtin, Autor des Bestsellers „Die Varusschlacht. Rom und die Germanen", behauptete gar, dass die damalige römische Expedition an die heutigen asymmetrischen Kriege erinnere. Auf die Frage, ob Arminius – so lautete nach Tacitus der lateinische Name des Siegers Hermann – so ein germanischer Che Guevara oder Osama bin Laden gewesen sei, antwortete er ausweichend: Bestimmt sei er nicht der Held eines nationalen Befreiungskrieges gewesen. Er wollte König der Cherusker werden. Aber er besaß unter seinen Leuten keine Unterstützung, sodass ihn nach dem Sieg die eigenen Verwandten umbrachten. Märtin gefällt eine alternative Geschichtsversion besser. Arminius bewahrt Rom die Treue. Sein Enkel wird Senator und die germanischen Hilfsabteilungen reguläre römische Legionen. Die Völkerwanderung wird an der Elbe aufgehalten. Die Germanen sind anstelle von Plünderern des Imperiums seine Stütze. Und dem vereinten Europa bleibt das finstere Mittelalter erspart ...

Fot. East News

Szene aus dem Spielfilm „Die Kreuzritter" von Aleksander Ford / *kadr z filmu „Krzyżacy" Aleksandra Forda*

Zu einer solchen Distanz gegenüber dem Mythos schüttelt Alexander Demandt, Autor der auch in Polen bekannten „Ungeschehenen Geschichte", den Kopf. Er zählte 210 Gründe für den Untergang Roms und die Niederlage von Varus auf. Umgekehrt machte es Richard Herzinger, der in einem Essay aus Anlass des Jubiläums in der „Welt" offen sagte: „Den heutigen Deutschen sind die Römer näher als die Germanen mit ihrem Arminius, einer Mischung aus Ho Chi Minh und Pol Pot. Beide waren ebenfalls von westlicher Kultur durchtränkt und haben diese dann verraten. Arminius als Symbol für heute wäre die Rückkehr zu einer von der westlichen Moderne abgeschnittenen Suche nach der deutschen Identität."

So inszenierte man in Deutschland auch die Jubiläumsfeiern. Man vermied nationalistisches Pathos und präsentierte in drei Ausstellungen verschiedene Aspekte des damaligen zivilisatorischen Zusammenstoßes zwischen Rom und den Barbaren: In Haltern, wo sich das römische Hauptlager befand, zeigte man die Ausstellung „Imperium"; in Kalkriese, dem Zentrum der Schlacht, den „Konflikt" und in Detmold, wo das Hermannsdenkmal steht, den „Mythos".

Angela Merkel erinnerte bei der Ausstellungseröffnung daran, dass der Jahrestag der Schlacht mit dem des Falls der Berliner Mauer zusammentrifft. Es wäre ihr aber nie in den Sinn kommen, zum Beispiel einen Offizier der DDR-Grenztruppen als einen Hermann unserer Zeiten zu betrachten, der durch die Öffnung der Grenze im Sowjetischen Wald den russischen Drachen besiegt hat ... Die Kanzlerin entschlüsselte auch nicht irgendeine aktuelle Botschaft der germanischen Vorfahren an die heutigen Deutschen, dass sie gegen das neue Rom ziehen sollten. Ganz im Gegenteil! Sie würdigte die zivilisatorische Leistung des Imperiums. Und jenen *clash of civilisations* quittierte sie mit der Bemerkung, die Germanen hätten nach dem Rückzug der Römer hinter den Limes den Kontakt mit der römischen Kultur verloren, hätten sich aber keineswegs zivilisiert. Sie seien zerstritten geblieben und hätten Kriege geführt. Zum Glück – so schloss sie – „leben wir in ruhigen Zeiten, wenngleich wir diese nicht mit eigenen Kräften erreicht haben, sondern die europäische Idee dazu brauchten." Deshalb sei es gut, dass heute am Ort der Schlacht internationale Jugendlager untergebracht seien. Die Botschaft der Kanzlerin war deutlich: Es lohnt sich, dieses Fragment der europäischen Geschichte zu kennen. Aber auf den Hermann-Mythos

PAP

Bundeskanzlerin Angela Merkel im Varusschlacht-Museum in Kalkriese (Kreis Osnabrück)
Kanclerz Angela Merkel w muzeum Bitwy Warusa w Kalkriese (powiat Osnabrück)

kann man kein deutsches Bewusstsein für das 21. Jahrhundert aufbauen.

Und wie ist es mit Grunwald? Welches Selbstporträt für heute nehmen wir im fernen Spiegel der Schlacht aus dem Jahre 1410 wahr? Auf der einen Seite sind in dem halben Jahrhundert, das an Zeit vergangen ist, seit Aleksander Ford seine „Kreuzritter" gedreht hat, die Welt, Europa, Deutschland und Polen komplett auf den Kopf gestellt worden. Polnische und deutsche Soldaten des Eurokorps sind gemeinsam in Stettin stationiert. In Schlesien mauern polnische Bewohner Gedenktafeln in Häuser ein, in denen deutsche Schriftsteller des 19. Jahrhunderts geboren wurden, die genauso verächtlich von „polnischer Wirtschaft" geschrieben haben wie Sienkiewicz über den „kosakischen Pöbel". Und zu Recht, denn es geht um so überdurchschnittliche Schriftsteller wie Joseph von Eichendorff oder Gustav Freytag. Auf der anderen Seite reizte sowohl Polen wie Litauer das nächste filmische Remake der Schlacht von Grunwald.

Dabei ist die Sache so schlicht wie ein Deutschordensschwert. Solange Menschen scharenweise in Kostümfilme mit Kriegsthemen strömen – der Beweis sind „Mit Feuer und Schwert", „Der Gladiator" und „Der Patriot" –, warum sollte man das nicht ausnutzen. Vor hundert Jahren war man gerührt, wenn man die gemalten Panoramen der großen Schlachten betrachtete, heute, wenn man auf der Leinwand bewegte Bilder eines Husarenangriffs sieht. Und in Kürze wird man sich daran auch noch virtuell beteiligen können. Zwar werden die Polen Eurowährung und Europässe in der Tasche haben, aber auch weiterhin werden sie ergriffen sein, wenn sie hören: „Wir haben Schwerter genug bei uns, ich will aber diese hier gern annehmen als Zeichen für unseren Sieg", und mit den Litauern darüber streiten, wer denn nun wirklich diese Schlacht gewonnen hat ...

Neue Ordensritter?

Aber vielleicht wird es alles anders. Vielleicht blicken die nächsten Generationen distanziert auf die literarische Matejkiade und drehen ihre „Kreuzritter" entgegen den Teilungskomplexen unserer Nationaldichter, dafür aber näher an der historischen wie der psychologischen Wahrheit Mitteleuropas im 15. Jahrhundert und näher daran, was tatsächlich zwischen Marienburg, Krakau, Wilna, Prag, Smolensk und Kiew passiert ist? Eine künftige Revision wird die Fakten nicht ändern. Jagiełło wird nicht vom Pferd fallen und Ulrich von Jungingen nicht die Schlacht gewinnen, aber ein solcher Film für das 21. Jahrhundert könnte sich auch nicht auf die ziemlich kümmerliche Idee beschränken, es reiche aus, ein gelungenes Gemetzel mit einigen zehntausend Mann zu veranstalten, um alle geschichtsphilosophischen Dilemmata aufzulösen, und bei dieser Gelegenheit die persönlichen Probleme der Helden wie der Zuschauer gleich mit.

Eine Chance auf Revision von Sienkiewicz' Bild der „Kreuzritter" besteht. Es genügt, zu den Diagnosen polnischer und deutscher Historiker aus den letzten fünfundzwanzig Jahren zu greifen. Noch im Jahre 1978 erlaubte die Bewertung des Ordens vom Hospital der Jungfrau Maria des Deutschen Hauses zu Jerusalem auf der Deutsch-Polnischen Schulbuchkonferenz nur das Festhalten der Meinungsunterschiede im Protokoll. Die Deutschen verwiesen – ohne Beschönigung der Tatsachen – auf die zivilisatorische Leistung des Ordens im Ostseebecken, die Polen verwiesen – ohne schwarz zu färben – auf die aggressive koloniale Struktur des Ordensstaates, der sich in die Nachbarstaaten verbissen habe. Heute sind die polnischen Historiker Gerard Labuda und Marian Biskup auch in Deutschland bereits Klassiker der „angewandten Ordenskunde" und die auch auf Polnisch erschienene Arbeit

Die Schlacht im Teutoburger Wald (die Varusschlacht) wurde im Herbst des Jahres 9 n. Chr. zwischen den germanischen Stämmen unter Führung des Arminius, eines Fürsten der Cherusker und drei römischen Legionen unter Publius Quinctilius Varus geführt. Die 17., 18. und 19. Legion wurden von den Germanen in einen Hinterhalt gelockt. Mit der Schlacht begann ein siebenjähriger Krieg, der den Rhein als die Grenze des Römischen Reiches für vier Jahrhunderte – bis zum Untergang des Römischen Reiches – endgültig bestimmte. Die Schlacht hatte einen großen Einfluss auf die Entwicklung des deutschen Nationalismus im 19. Jahrhundert. • Der Teutoburger Wald, ein schmaler Mittelgebirgszug, liegt in Niedersachsen und Nordrhein-Westfalen zwischen den Flüssen Ems und Weser. • Zum Andenken an die Schlacht wurde unweit von Detmold ein 54 Meter großes Denkmal von Arminius Hermann errichtet. Die Bauarbeiten – nach dem Entwurf von Ernst von Bandel – begannen 1838, doch erst 1875, nach dem Sieg über Frankreich von 1871 und der deutschen Einigung zum Deutschen Reich unter Otto von Bismarck, wurde das Denkmal fertig gestellt. Das Denkmal steht auf dem stark bewaldeten Teutberg (386 m ü. NN) im Festungswerk Grotenburg.

Hartmut Boockmanns „Der Deutsche Orden“ hat uns gezeigt, dass es zusätzlich eine zweite, „innere“ Geschichte des Ordens gibt – die administrative, wirtschaftliche, mentale, religiöse –, die im polnischen landläufigen Bewusstsein vom Bild des Verrats, Meineids und Verbrechens der Kreuzritter fast vollständig verdrängt wurde.

Die Revision der „Kreuzritter“ betrifft natürlich nicht die Fakten, sondern die Rollen, Motive, Psychologie und Bewertungen der großen Konflikte der Epoche, die – trotz des Zusammenstoßes von Ordensstaat und Polnisch-Litauischer Union – deutlich tiefer reichten als die Geschichte eines edlen Haudraufs, der ein Fräulein aus den Händen der bösen Ordensritter rettet.

Somit liegen zwei gegenteilige literarische Legenden der Ordensritter und Grunwalds auf dem Tisch. Die polnische kennen wir. Der feindselige Orden nutzt die Naivität Konrad von Masowiens aus, fälscht die päpstliche Bulle, führt einen Vernichtungsfeldzug gegen die Prußen, Litauer und Polen, bildet einen modernen Militärstaat, angeführt von einer Elite hochmütiger Ritter. Mit List und Tücke reißt er 1308 Danzig und Pommerellen an sich, versucht dann Litauen zu unterwerfen, das ein Bündnis und die Personalunion mit Polen rettet. Die Schlacht von Grunwald ist die Quintessenz der ewigen Kämpfe Polens gegen die Deutschen. Der Deutschordensstaat, gewissermaßen ein Prototyp des SS-Staates, war selbst für die eigenen Untertanen derart wenig zu ertragen, dass die preußischen Stände den polnischen König baten, die Oberhoheit über sie zu übernehmen. Der nicht wieder gut zu machende Fehler der polnischen Politik – so wiederholen es die Schüler nach ihren Lehrern – bestand darin, dass die Jagiellonen den Hohenzollern gestatteten, aus dem Vasallenstaat des Ordens ein erbliches Herzogtum zu schaffen, das als Preußen zum Sargnagel der Rzeczpospolita wurde. Das zweite Grunwald, die Eroberung Berlins im Jahre 1945 und die Angliederung der Hälfte des ehemaligen Ostpreußens an Polen, hat ein für alle Mal dem Ordensrittertum ein Ende gesetzt.

Die deutsche Legende ist genau umgekehrt. Hier ist es die bescheidene Hospitalbruderschaft, die sich seit dem Ende des 12. Jahrhunderts im Heiligen Land um Pilger aus Bremen und Lübeck kümmerte, im kargen Heidenland in Nordosteuropa im Laufe von zweihundert Jahren den modernsten Staat jener Epoche errichtete, 96 Städte gründete, 90 Burgen baute und Sümpfe trocken legte, die Hanse – die damalige Wirtschaftsgemeinschaft des Nord- und Ostseeraums – erweiterte. Es stimmt, sagten die deutschen Romantiker des 19. Jahrhunderts, die Ordensritter haben nicht nur geheilt, sondern auch Wunden geschlagen, aber nur deshalb, weil die Heiden widerspenstig waren und sich nicht taufen lassen wollten. Die Kreuzritter, so verkündeten die preußischen Historiker Heinrich von Treitschke, Johann-Gustav Droysen oder Leopold von Ranke, waren zivilisatorische Wohltäter. Und Herzog Konrad von Masowien hat sie selber zu sich eingeladen, weil er mit den Angriffen von Jadwingern, Litauern und Prußen nicht mehr fertig wurde. Die deutschen Ordensherren – gerade mal eine Handvoll, drei-, vierhundert, allenfalls tausend Ritter – sind schnell mit diesem heidnischen Gesindel fertig geworden, mit Kreuz und Schwert haben sie an der Ostsee das Christentum eingepflanzt, die neuesten Technologien angelockt, die tatkräftigsten Siedler, und haben eine exzellente Staatsmaschinerie geschaffen, die ihre Fortsetzung im friderizianischen Preußen und im wilhelminischen deutschen Kaiserreich gefunden hat. Und wer dieses geschichtliche Wettrennen verloren hat, war selbst dran schuld …

Das Unglück – so die deutsche Legende – begann, als Ende des 14. Jahrhunderts Polen die christliche Solidarität preisgab und sich aus Neid, weil der Ordensstaat so gut funktionierte, mit den Heiden verbündete. 1410 begann der Krieg gegen den Orden und leider verlor die Ordensarmee bei Tannenberg. Auf verräterische Weise schlossen sich die preußischen Stände, denen der Geist der christlichen Ritterschaft fremd war, den Siegern an. Im nächsten Krieg unterstützten sie den polnischen König und überließen ein großes Stück des Landes der polnischen Herrschaft. Es gibt aber so etwas wie geschichtliche Gerechtigkeit: Den preußischen Königen gelang es im 17. Jahrhundert die polnische Oberhoheit abzuwerfen und im 18. Jahrhundert die zuvor verlorenen Gebiete wieder zu gewinnen, wobei man sie von der polnischen Unordnung befreite. Und jetzt – im 19. Jahrhundert – ist das unter preußisches Patronat genommene Deutschland die höchste Errungenschaft der Staats-, Militär- und Wirtschaftskunst. Und so wird es bleiben, weil die deutsche Lebens-, Denk- und Handlungsweise für die ganze Welt das Heil bringt …

Die romantischen Legenden

Diese triviale Geschichtsphilosophie hatte literarische Legenden. Zur selben Zeit, als Adam Mickiewicz im schon russischen Wilna seinen „Konrad Wallenrod“ schrieb, ein nicht allzu ritterliches Epos darüber, dass der Zweck die Mittel heiligt und man im Kampf gegen einen Stärkeren betrügen, eine fremde Maske anlegen, Freundschaft vortäuschen (wie der Cheruskerführer) dürfe, bereitete im schon preußischen Danzig Joseph von Eichendorff, von der Ordensgeschichte begeistert, die Rekonstruktion des Ordensschlosses in Marienburg vor und schrieb das historische Drama „Der letzte Held von Marienburg“. Beide Herren sind sich nie begegnet und bestimmt hätten sie sich nicht allzu gut verständigen können, obwohl Eichendorff Polnisch konnte und Mickiewicz Deutsch, weil sie das gleiche Material von der genau entgegengesetzten Seite anfassten.

Eichendorffs Stück beginnt exakt in dem Moment, wo Sienkiewicz' „Kreuzritter“ enden – mit der Schlacht von Grunwald. Jedoch nicht die beiden Litauer – Jagiełło als polnischer König und Witold als Großfürst – sind seine Helden, sondern der Großmeister des Ordens. Aber nicht Ulrich von Jungingen, sondern Heinrich von Plauen, Komtur von Schwetz, Verteidiger der Marienburg und moralischer Sieger im Duell mit dem polnischen König.

Aus der Perspektive des schlesischen Dichters war die Grunwalder Niederlage ein solcher Schock, als ob ein Indianerhäuptling, sagen wir irgendein Sitting Bull, die gesamte amerikanische Armee besiegt hätte und gen Washington marschiert wäre. Im Essay „Die Wiederherstellung des Schlosses der deutschen Ordensritter zu Marienburg“ „belauscht“ Eichendorff – wie er selbst schreibt – das Leben der Ordensritter, die alle Gaue Deutschlands vertreten, er sieht mit den Augen der Fantasie, wie sie lebhaft im stilvollen Remter plaudern, „und jeder in sich ein künftiger Fürst, denn das konnte er ja jederzeit durch die Wahl zum Meister werden, alle aber verbrüdert zu dem höchsten Zwecke aller Zeiten, der auch den Gewöhnlichen über das Gemeine erheben musste …“.

Der glänzendste Abschnitt des Ordens – seufzt Eichendorff – seien die Zeiten Hochmeisters Winrich von Kniprode (1352–1382) gewesen, als die frommen Ritter nach Litauen wie auf Prozessionen auf „Reisen“ gingen. Für den romantischen Dichter ist die Marienburg ein Ort für Rittererzählungen. Der Hochmeister ist Parzifal, die Kreuzzüge gegen die Heiden der Weg ins Himmelreich, der Orden ein gleichermaßen elitärer und demokratischer Bund christlicher Ritter, Aristokraten des Geistes, die diszipliniert, von ihrer Mission überzeugt, niemandem unterstellt waren, weder Kaiser (der Ordensstaat war kein Teil des Reiches) noch Papst, sondern Gott al-

Fot. East News

Szene aus dem Spielfilm „Die Kreuzritter“ von Aleksander Ford
Kadr z filmu „Krzyżacy” Aleksandra Forda

lein und den eigenen Regeln. Die dem Orden benachbarten Litauer sind „Sarazenen“, wie nach der Schlacht von Grunwald Hermann von Salza aus Marienburg an die Komtureien in Westeuropa schrieb. Der christliche König Polens ein Usurpator, in dem der Kenner von Eichendorffs Werk Alfred Riemen den Schatten Napoleons erkennt, der sich unrechtmäßig zum Kaiser gekrönt, Preußen und Europa unterjocht habe, bis er schließlich von den Alliierten infolge der „Befreiungskriege“ gestürzt worden sei. Also alles genau umgekehrt wie bei uns.

Und umgekehrt ist auch die Konstellation des „Letzten Helden der Marienburg“. Der Sieg bei Grunwald erschreckte Jagiełło so sehr, dass er sein Glück zwei Tage lang nicht fassen konnte und nicht gegen die Marienburg zog. Zu dieser Zeit „sprengte ein Ordensritter mit seiner kleinen Schar in die Tore Marienburgs, eilig, staubbedeckt, einen Löwen im Schilde: Graf Heinrich von Plauen war's“. Er besetzte die Burg, riss die Gebäude vor den Mauern ab und organisierte die Verteidigung. Schließlich sei Jagiełło herangerückt, habe den Herolden prahlerisch befohlen, die Tore zu öffnen, weil jetzt er das Recht setze und die gebührende Abfertigung erhalte, dass die Ordensritter nur Gott ergeben seien. Es begann eine Kraftprobe, bei der Jagiełło unritterliche Methoden anwandte, er kaufte einen Diener, stellte auf einem Kirchturm eine große Donnerbüchse auf, aus der er den einen Pfeiler treffen wollte, der das Gewölbe des Remters trug, um so die Ordensritter zu begraben.

Der Frevel misslingt. Von Plauen, eine Art Kmicic bei Tschenstochau aus Sienkiewicz' „Sintflut“, organisiert den Ausbruch aus der belagerten Burg und fügt den Polen schwere Verluste zu. Jagiełło muss, statt Richter über den Orden zu sein, einen Vertrag unterzeichnen. Schlimmer als der polnische König sind die inneren Gegner Henrich von Plauens, die egoistischen und materiell eingestellten preußischen Stände, die mit dem fremden Monarchen konspirieren, sowie Michael Küchmeister, ein Ritter, der die Verhaftung der Verschwörer ablehnt und sich aus Egoismus auf eine schlecht vorbereitete Aktion gegen die Polen begibt: „Da wurde es auf einmal furchtbar klar, dass der Orden sich selbst nicht mehr begriff, ein Schrei des Missmuts ging durch das ganze Land, die Gemeinheit scharte sich überall um ihre Fleischtöpfe“, seufzte Eichendorff in seinem Essay.

„Der letzte Held von Marienburg“ ist eines von vielen deutschen literarischen Werken, die sich bemühten, einen romantischen Mythos der Ordensritter zu schaffen. Besonders gelungen ist ihnen das nicht, nicht einmal, als sich Wilhelm II. anstrengte, die Erinnerung an Marienburg und den „Drang nach Osten“ des Deutschen Ordens zu dramatisieren. Selbst im Dritten Reich überzeugte der von Himmler und Rosenberg angefachte Marienburg-, Tannenberg- und Ordensritterkult, deren Fortsetzung gewissermaßen die SS sein sollte, viele der hochrangigsten Nazis mit Goebbels und Hitler selbst an der Spitze überhaupt nicht.

Bleibt die Frage, ob man heute aus diesen beiden einander ausschließenden romantischen nationalen Traditionen noch irgendeine universale Botschaft abseihen, einen litauisch-deutsch-polnischen Film drehen kann, der irgendetwas Neues über diese Menschen und über uns selbst aussagt, über den Ordensstaat, über jenes Polen und Litauen, aber auch über dieses Europa, das gerade als Gesamtheit entsteht, nicht aus dem Geiste des Zwangs, sondern aus dem der Eintracht und Verständigung. Nur einen solchen Film zu machen, würde sich lohnen. Der Rest ist nur ein Füllen der Kasse und ein Ausbeuten lange verblasster Emotionen. Es reicht, an Jugoslawien zu erinnern. Im Jahre 1989 wurden die 600-Jahrfeiern der Schlacht auf dem Amselfeld zur Sprengkapsel für den Zerfall des Staates und einen blutigen Stammes-

PAP

Marienburg / *Malbork*

krieg, in dem historische Mythen zum Nährboden eines aggressiven Nationalismus und ethnischer Säuberungen wurden.

Nationale Mythen sind nicht konstant. Der polnische Grunwaldkult hatte auch nicht immer die gleiche Stärke. Erst das Imponiergehabe Bismarcks und Wilhelms verlieh Grunwald seine zentrale Bedeutung im polnischen Bewusstsein. Und nach 1945 gab es in den Westgebieten wohl keine Stadt, die nicht ihre Grunwald-Straße und ihr Denkmal mit den beiden Schwertern besaß.

Heute – wenn der Generalinspekteur der Bundeswehr Blumen auf der Westerplatte niederlegt – ist der Grunwaldkult verblasst. Man kann sagen, dass im polnischen allgemeinen historischen Bewusstsein ein stiller Krieg der Titanen tobt. Einerseits stecken in ihm weiterhin die alten Bilder von der ewigen Feindschaft, andererseits tauchen nun neue auf – die friedliche deutsch-polnische Zusammenarbeit beim Aufbau des christlichen Europas, deren Symbol das Gnesener Treffen aus dem Jahre 1000 und die Freundschaft Ottos III. mit Bolesław dem Tapferen ist.

Dieses unser widersprüchliche Verhältnis zur deutsch-polnischen Geschichte ist in gewissem Maße ein Abbild zweier gegensätzlicher Visionen des Mittelalters und des Christentums. Einerseits die strahlende, milde Vision der Taufe als Quelle der Eingebung, Kultur und Zivilisation, deren Symbol fromme Mönche, weitsichtige Humanisten, arbeitsame Bürger und Bauern sind, aus dem Westen angelockt, um das Christentum zu bringen. Andererseits dagegen die schwarze Geschichte der Christianisierung Ostmitteleuropas mit Feuer und Schwert, die Geschichte kolonialer Eroberung und des brutalen „Kulturmordes", begangen an den heidnischen Stämmen, die zum einzig wahren Glauben „bekehrt wurden" auf Kosten ihrer Unterwerfung unter eine fremde Macht und der Vernichtung ihrer Traditionen, des Niedermetzelns ihrer Eliten und der Verfälschung der Vergangenheit.

Das jüngere Europa

Fast zur gleichen Zeit, als in Polen Jerzy Kłoczowskis Arbeit „Das jüngere Europa" (polnisch 1998) über die konvergenten Wege Polens, Böhmens und Ungarns, die vom 10. bis zum 15. Jahrhundert eine Art zivilisatorisches Subzentrum Europas wurden, großes Interesse weckte, zeigte in Großbritannien Robert Bartlett in seinem ausgezeichneten Buch „Die Geburt Europas aus dem Geiste der Gewalt" (1993, deutsch 1996) genau die andere Seite der Medaille, nämlich wie der Kontinent vor tausend Jahren aus Gewalt, kolonialer Eroberung und gewaltsamen Veränderungen hervorging, die den Peripherien der damaligen christlichen Welt von seinem romanisch-germanischen Zentrum aufgezwungen wurden.

Erst wenn man beide Perspektiven übereinanderlegt und die Mythen und Bilder des 19. Jahrhunderts – sowohl die von Sienkiewicz und Matejko als auch die der wilhelminischen Propagandisten und die nationalistischen Inszenierungen des 20. Jahrhunderts auf der einen wie der anderen Seite – beiseiteschiebt, kann man verstehen welch große Spannungen unseren Teil Europas gestaltet haben.

Im 10./11. Jahrhundert, als in den polnischen Gebieten eine Staatlichkeit entstand, verbreitete sich das lateinische Christentum in allen Himmelsrichtungen, aus Spanien wurden die Mauren verdrängt, im Norden Irland, Skandinavien und die Ostseeküste erfasst, im Osten das westliche Slawentum und Ungarn. Bald zogen Kreuzfahrerexpeditionen los, nicht nur gegen Moslems, sondern auch gegen Byzantiner, Slawen und Balten. Das lateinische Christentum – stellt Bartlett fest – war eine Ideologie der Eroberung und der Modernisierung der gesellschaftlichen Ordnung, und nicht nur der Maßstab des Rituals und der Reichweite kirchlicher Autorität.

Zivilisatorisches „Zentrum" des westlichen Europas waren damals – ähnlich wie heute – die Gebiete Nordfrankreichs, des Rheinlands und Norditaliens. Um sie herum verbreiterte sich konzentrisch die „Peripherie". Für den energischen und expansiven westeuropäischen Adel galten sowohl Waliser als auch Slawen, denen man eine moderne Herrschaftsform aufzwingen sollte, als „ungehobelt und ungezähmt". Die Fantasie fachten eher die Raubzüge als die Förderung des Glaubens an, „sie prägten das Bewusstsein von Fürsten, Herren und Klerikern, und so neigten sie zur Erwartung oder Vorwegnahme einer Zukunft, in der immer neue Herrschaften gewaltsam errichtet, immer weitere Gebiete gerodet und besiedelt und immer größere Einnahmen aus Tributen, Steuern, Pachtzins und Zehnten erzielt würden", schreibt Bartlett und erinnert an die Empörung der Tochter des byzantinischen Kaisers Alexios I. über die lateinischen Christen als gierige und hemmungslose Plünderer.

Die Kriegstechnik – schwere Kavallerie, Bogenschützen und befestigte Burgen – verlieh den „Lateinern" ein militärisches Übergewicht über die „Peripherie", das nicht kleiner war als das, was die NATO 1999 über Milošević besaß. Aber es zählten nicht nur die Waffen und die militärische Siedlung, sondern auch das modernere wirtschaftliche und politische, auf die Lehen gestützte Modell. Der römische Katholizismus zwang auf brutale Weise den neuen Glauben auf. Heute weckt die Tatsache Verlegenheit, dass auch Bolesław der Tapfere all denen, die sich nicht ans Fasten hielten, damit drohte, die Nasen abzuschneiden und die Augen auszustechen. Die christliche „Europäisierung Europas" vollzog sich im Schatten des Kreuzes, aber mit dem Schwert. Dieses schlug die Räume frei, in denen sich Städte, Handel, Handwerk, Universitäten, römisches Recht entwickelten und gewährleistete die Kolonisierung gewaltiger Gebiete. „Die euro-

Schlacht bei Tannenberg, Holzstich, 16. Jahrhundert / ***Bitwa pod Grunwaldem, drzeworyt z XVI w.***

päischen Christen" – glaubt Bartlett, „die im 15. und 16. Jahrhundert an die Küsten Nord- und Südamerikas, Asiens und Afrikas segelten, kamen aus einer Gesellschaft, die bereits einschlägige Kolonialerfahrungen hatte. Jenes Europa, das einen der größten Eroberungs-, Kolonisierungs- und kulturellen Transformationsprozesse der Welt initiierte, war seinerseits schon das Produkt eines solchen Prozesses."

Dennoch ist das Zentrum-Peripherie-Modell nicht präzise, folgert Bartlett. Es kam vor, dass kolonisierte Gebiete einerseits dem Zentrum untergeordnet waren, andererseits selbst seine Kopie darstellten. Außerdem ist Litauen ein Beispiel für eine Modernisierung ohne Christentum. Mitte des 14. Jahrhunderts war es ein leistungsfähiger Staat mit moderner Bewaffnung und effizienter Verwaltung in ruthenischer Sprache: „die Götter waren alt, aber die Waffen neu". Dennoch war der Ordensstaat effizienter als Litauen oder Polen. Sein Fundament bildeten 120 neu gegründete Städte und 1.200 Dörfer.

Die Kreuzritter erzielten ähnlich wie auch andere damalige Ritterorden deswegen Erfolge, weil es ihnen gelang, zwei Elemente miteinander zu verschmelzen – disziplinierte Mönche und eine gnadenlose, aggressive Ritterschaft. Gestützt auf Eroberung, Selbstdisziplin und eine effiziente Verwaltung war der Ordensstaat aber keine Oase der Kultur, die auf die Nachbarn ausstrahlte. Der Krieg gegen Slawen und Balten war für die Ritter ein Weg zur Karriere und Selbstverwirklichung. Marienburg war für sie das Ausfalltor und „unser Jerusalem" der Feldzüge gegen die heidnischen Wenden, das Ziel war die Eroberung, Unterwerfung und Vertreibung der Slaven aus ihren Gebieten. Auf diese Weise entstanden in den östlichen Peripherien der westlichen Christenheit „Garnisonsgesellschaften", die – wie der Ordensstaat – von einer fremden Militärelite beherrscht wurden, die sich nicht einmal darum bemühte, sich in die lokale Gesellschaft zu integrieren. Auserwählten erlaubte man aufzusteigen, aber die traditionelle heidnische Kultur vernichtete man. Diese „lange Grenzregion des katholischen Osteuropas", folgert Bartlett, erstreckte sich von Spanien bis nach Finnland. Auch Polen war zunächst ein Land, „das teilweise erobert wurde". Der zugewanderte Klerus, das Bürgertum und die Bauern dominierten die Alteingesessenen. Jene begannen sich zu wehren, verloren jedoch im Namen des Eigenen den Kontakt mit dem Fremden und unterlagen erneut einer Provinzialisierung. Erst der Sieg bei Grunwald – könnte man ergänzen – bedeutete eine Zäsur, den Beginn eines Hervortretens Polens und Litauens aus dem Status von Provinz in die Rolle eines lokalen zivilisatorischen und kulturellen Zentrums der westlichen Christenheit ...

Mythen und Fakten

Ehrlich gesagt besteht das Problem mit den Kreuzrittern aus der Perspektive des 21. Jahrhunderts darin, dass keine der historischen Legenden heute tragfähig ist. Es bleiben natürlich die unveränderten harten Fakten aus der Ordensgeschichte, die jedoch immer anders interpretiert werden. Die Sache ist die, dass die Geschichte des Ordensstaats ein Teil der Geschichte des „jüngeren Europas" am slawisch-germanischen Berührungspunkt ist und abhängig davon, wie sich diese Nachbarschaft gestaltete, auch die widerspruchsvolle Rolle des Ordens rezipiert wurde.

Die Wahrheit ist, dass sich Konrad von Masowien verrechnete. Der König von Ungarn war vorsichtiger und entfernte die ehrgeizigen Ordensbrüder, was im übrigen Ungarn nicht davor bewahrte, unter deutsche Dominanz zu geraten. Wenn Konrad anstelle des Deutschen Ordens einen anderen Ritterorden wie die Johanniter oder die Templer herbeigerufen hätte, hätte er genauso Probleme bekommen, und bestimmt hätte ein von ihnen gegründeter Staat mit der Zeit wieder eher Deutsche angezogen als zum Beispiel Franzosen, aber es wäre keine so enge Verbindung gewesen wie mit Brandenburg. An den Grausamkeiten bei der Christianisierung der prußischen Lande hätte das dagegen nichts geändert, weil das damals die „Kultur der Evangelisierung" und die Kriegsführung gewesen ist. Die Kreuzritter wichen dabei nicht besonders von der europäischen Norm ab.

Die Wahrheit ist, dass sich der Ordensstaat im Laufe seiner 300-jährigen Geschichte in einem existenziellen Konflikt nicht mit dem Slawentum, sondern mit dem polnischen Staat befand, gegen den man sich vielfach zum Beispiel mit Böhmen verbündete. Dieser Konflikt war jedoch ganz und gar nicht ein ständiger. Gewaltsam brach er nach der blutigen Besetzung Danzigs im Jahre 1308 aus und dauerte einige Jahrzehnte bis zur Übereinkunft zwischen dem Orden und Kasimir dem Großen im Jahre 1343. Anschließend waren die Beziehungen zwischen Polen und den Kreuzrittern für ein halbes Jahrhundert friedlich. Die Union mit Litauen 1385 war von polnischer Seite nicht gegen die Ordensritter, sondern gegen Habsburger und Moskowiter gerichtet, es drohte nämlich die Annahme des orthodoxen Glaubens in Litauen.

Die Wahrheit ist aber auch, dass die polnisch-litauische Union einen Damm gegen den Ordensstaat errichtete. Und selbst wenn die Kreuzritter Jagiełło bei Grunwald zurückgeschlagen hätten, hätte der Krieg weiter angedauert. Der Ordensstaat war vielleicht moderner und besser organisiert als Polen und Litauen, aber die Bevölkerungspotenziale waren nicht zu vergleichen: ca. 300.000 gegen 4 Millionen.

Die Wahrheit ist auch, dass Grunwald eine der wichtigeren Schlachten im mittelalterlichen Europa war, sich aber der Prinzipienstreit, wie er in der Auseinandersetzung mit dem Orden auf dem Konstanzer Konzil 1414 vorgetragen wurde, als wichtiger herausstellte, auf jenem Konzil, wo Jan Hus wegen Ketzerei verbrannt wurde. Damals trat Polen zum ersten Mal in der Geschichte auf einem internationalen Forum auf – so etwas wie die UNO-Vollversammlung – und präsentierte eine neue Doktrin, das Selbstbestimmungsrecht der Völker.

Die Wahrheit ist außerdem, dass der so hervorragend organisierte Ordensstaat, der eine Menge zur materiellen Kultur der südlichen Ostseeregionen beigetragen hat, sehr wenig für die geistige Kultur Europas geleistet hat. Erst die Emanzipation der preußischen Stände von der Ordensherrschaft und ihr Übertritt auf die polnische Seite hat die Bedingungen geschaffen, in denen ein Kopernikus erstrahlen konnte.

Und schließlich ist es auch wahr, dass die halbherzige Erledigung der Ordensfrage durch die Jagiellonen die Rzeczpospolita im 18. Jahrhundert in tödliche Gefahr brachte und ihr Sargnagel war. Aber es hätte nicht so kommen müssen. Wenn die Gegenreformation nicht die adligen Köpfe mit der sarmatischen Ideologie zugekleistert hätte, hätte Polen nicht den Kontakt zu Westeuropa verloren. Vielleicht hätte es keine schwedische Sintflut gegeben und das Herzogtum Preußen wäre nicht entglitten, aber das sind schon ganz andere Geschichten und Themen für völlig andere Filme ...

Grunwald ist für viele Polen bisher eine Arznei für den weiterhin lebendigen Komplex des westlichen Nachbarn, aber auch ein Symbol der früheren militärischen Leistungsfähigkeit sowie des Anfangs des Goldenen Zeitalters, das aus der polnisch-litauischen Union für dreihundert Jahre eines der regionalen zivilisatorischen Zentren Europas machte. Der historische Standort Grunwalds ist genau entgegengesetzt dem des Teutoburger Waldes. So wie der Anführer der Cherusker durch seinen Verrat an Rom den Beitritt zur damaligen EU ablehnte, so waren die beiden litauischen Brüder Jagiełło und Witold nicht nur ausgesprochene Befürworter der westlichen Option, sondern wurden durch Grunwald gleichberechtigte Mitglieder dieses Westens. Ihr Konflikt mit dem Deutschordensstaat war nach der Annahme des Katholizismus durch Litauen ein Konflikt von Prinzipien innerhalb des Westens, und nicht – wie das die Ordenspropaganda darstellte – ein zivilisatorischer Zusammenstoß von westlichem Christentum und Heiden.

Deshalb hat auch Sven Ekdahl, der Verfasser einer 1982 auf Deutsch erschienenen hervorragenden Monografie „Grunwald 1410" (Tannenberg 1410) seine Hauptaufmerksamkeit nicht so sehr auf den Konflikt der hard power gerichtet, den Kampf auf den Feldern von Grunwald, sondern auf die juristischen Auseinandersetzungen zwischen Polen und dem Orden auf dem Konzil zu Konstanz, wo zwei unterschiedliche Konzepte der Erweiterung des westlichen Christentums gen Osten aufeinanderprallten. Die Bekehrung durch Gewalt, wie sie die Kreuzritter wollten. Oder eher durch soft power – durch Bündnisse, das Vorbild und Toleranz.

Eine Interpretation aus drei Perspektiven

Ähnlich wie auf die Schlacht im Teutoburger Wald kann man heute auf Grunwald aus drei Perspektiven blicken: anhand des Verhältnisses von Zentrum und Peripherie des Westens vom 12. bis 15. Jahrhundert, anhand der Konfliktgeschichte des Jahres 1410 und mittels der Evolution des polnischen wie des deutschen Grunwald-Mythos im 19. und 20. Jahrhundert.

Im Laufe des letzten halben Jahrhunderts haben polnische Mediävisten einen gewaltigen Beitrag zum Wissen über die Geschichte des „jüngeren Europas" in den Peripherien des Westens geleistet. In Zeiten, als die Nachkriegspublizistik und -belletristik die Deutschen als Erbfeind dargestellt haben, der über Jahrhunderte geradewegs auf den hitleristischen Völkermord zustrebte, haben Berufshistoriker zugegeben, dass das tatsächliche Bild der deutsch-polnischen Geschichte mehrdimensionaler war. Heute hat sogar Konrad von Masowien – in unserem allgemeinen Bewusstsein einer der Hauptschuldigen in der polnischen Geschichte – endlich eine ausgewogene Bewertung bekommen. In einem kürzlich veröffentlichten scharfsinnigen Essay hat Henryk Samsonowicz einen ehrgeizigen masowischen Gebieter gezeigt, der vom Kräfteverhältnis im damaligen Europa doch ein bisschen was wusste und verstand. Aber die Disproportionen im damaligen zivilisatorischen Zusammenprall waren zu groß, als dass er aus dem unterentwickelten Masowien die tatsächlichen europäischen Mechanismen

hätte wahrnehmen können. Sein Appetit war peripher und galt Krakau, in Wunschträumen vielleicht noch der Rus'. Gleichzeitig wurde er nicht mit den Balten fertig. Er ließ sich also auf Verträge mit einem asymmetrischen Partner ein, der nur Asse im Ärmel hatte. Hermann von Salza befand sich als Freund Kaiser Friedrichs II. von Hohenstaufen im unmittelbaren Epizentrum des damaligen Westens. Konrad dagegen reichte nicht an Bolesław den Tapferen heran, der sich in seiner Jugend im Westen aufgehalten und sich mit dem späteren Kaiser angefreundet hatte. Diese Weltgewandtheit trug Früchte im Gnesener Treffen im Jahre 1000 und letztlich auch in der Königskrone. Dagegen war der provinzielle Konrad in keinster Weise imstande, der modernisierenden Transplantation Herr zu werden.

Und wenn er seinen Einfall verworfen und die Ordensritter nicht eingeladen hätte? Wären die masowischen Herzöge nach dem Mongoleneinfall von 1241 mit dem Druck der Balten fertig geworden, hätten sie die Unterstützung der Teilherzogtümer bekommen? Eher nicht. Schließlich hätte der Papst zu einem Kreuzzug gegen die Heiden aufgerufen und die Geschichte wäre auf die gleichen Gleise zurückgekehrt, aber ohne Grunwald und niemand weiß mit welchem Polen.

Normalerweise entschwindet unserem Gedächtnis, dass sich die polnischen Könige mit den Kreuzrittern nicht nur auf der Länge zweier Grunwalder Schwerter getroffen haben, sondern auch als Verbündete. Als Kasimir der Große nach seinem Verzicht auf Breslau Lemberg einnahm, besaß er die Unterstützung des Ordensstaates ... Auch die Umstände der Schlacht von Grunwald waren verworrener als es der Mythos von den tausendjährigen deutsch-polnischen Kämpfen verkündet. In seinem Buch „Die Deutschen in Polen" hat Marek Zybura darauf hingewiesen, dass es in der einige zehntausend Mann umfassenden Kreuzritterarmee bei Grunwald nur 500 Ordensritter gab. Den Rest stellte das allgemeine Aufgebot aus dem Preußenland und Pommerellen, darunter viele Polen, besonders unter Kulmer Fahne. In Jagiełłos Armee wiederum waren auch Deutsche aus Kleinpolen wie Sindram von Maszkowice oder der königliche Fahnenträger Martin von Wrocimowice.

Auf das deutsche Bürgertum in Polen blicken wir gewöhnlich aus der Perspektive des Aufstandes des Krakauer Vogts Albert gegen König Władysław Ellenlang. Aber zur gleichen Zeit unterstützten die deutschen Bürger von Neu-Sandez entschieden den König. Schließlich wurden noch 150 Jahre nach Grunwald in der Krakauer Marienkirche Predigten auf Deutsch gehalten. Auf der anderen Seite war auch das Heilige Römische Reich bis ins 16. Jahrhundert universal, erst im Jahre 1512 wurde es offiziell auf die deutsche Nation beschränkt ...

Entgegen der Legende von Sienkiewicz und der Volksrepublik Polen – begründet im 19. Jahrhundert durch die Germanisierungspolitik Bismarcks und 1960 durch die Nichtanerkennung der Oder-Neiße-Grenze durch die Bundesrepublik – war der Konflikt zwischen Polen und dem Deutschen Orden im 15. Jahrhundert weder ein ethnischer noch ein zivilisatorischer, sondern ein Großmachtkonflikt. Dabei waren beide konkurrierenden Blöcke – Polen-Litauen und der vom Kaiser und dem böhmischen König unterstützte Ordensstaat – multiethnisch.

Irgendwie ist es ungedeihlich, Grunwald heute – ähnlich wie den Teutoburger Wald – zum Symbol einer „Erbfeindschaft" zu stilisieren. Dagegen kann man eine der größten Schlachten des Mittelalters für ein Symbol der Verschiebung des „jüngeren Europas" von der Peripherie ins zivilisatorische Zentrum halten. Aber auch für ein Symbol erfolgreicher Unionsstrukturen, wie sie damals die Eliten erarbeiten konnten, die über das Schicksal der Krone Polens und des Großfürstentums Litauen entschieden. Die Erinnerung an sie kann unsere Mitgift an die Europäische Union sein. Die gewonnene Schlacht bei Grunwald ist nur ein Beweis für Managerfähigkeit. Hoffen wir, dass ein großer Spielfilm über Grunwald, der gerade von Litauern gedreht wird, das Jahr 1410 genau so zeigt ...

Aus dem Polnischen von Markus Krzoska

Adam Krzemiński
Publizist und Germanist, Redakteur der Wochenzeitung „Polityka", von 1987 bis 1998 Chefredakteur des Magazins DIALOG, lebt in Warschau.

Anzeige / *reklama*

pismo spraw wschodnich

www.new.org.pl

Adam **Krzemiński**

Kult narodowych egoizmów

600-lecie Grunwaldu, 2000-lecie Lasu Teutoburskiego
Dwa narodowe mity a ich dzisiejsza interpretacja

Grunwald to dla wielu Polaków lekarstwo na wciąż żywy kompleks zachodniego sąsiada, a także symbol dawnej militarnej sprawności jak i początku złotego wieku, który z unii polsko-litewskiej na trzysta lat uczynił jedno z regionalnych centrów cywilizacyjnych Europy. Historyczne usytuowanie Grunwaldu jest dokładnie przeciwstawne do Lasu Teutoburskiego. O ile wódz Cherusków, zdradzając Rzym, odrzucił wejście do ówczesnej UE, o tyle dwaj litewscy bracia – Jagiełło i Witold – byli nie tylko wyraźnymi rzecznikami opcji zachodniej, ale poprzez Grunwald stali się tego Zachodu pełnoprawnymi członkami. Ich konflikt z państwem krzyżackim był po przyjęciu katolicyzmu przez Litwę konfliktem zasad wewnątrz Zachodu, a nie – jak to przedstawiała krzyżacka propaganda – zderzeniem cywilizacyjnym zachodniego chrześcijaństwa z poganami.

Muzeum Narodowe, Warszawa

Jan Matejko, Die Schlacht bei Tannenberg / *Bitwa pod Grunwaldem*

Europejczycy swe poczucie dumy narodowej od dawna opierają na pamięci zwycięskich lub przegranych bitew z sąsiadami. Równocześnie jednak sensem i celem Unii Europejskiej jest przerwanie wielowiekowej wendety poprzez akcentowanie europejskiej wspólnoty wartości i rozwijanie empatii wobec sąsiadów. Ten węzeł przeciwstawnych intencji – z jednej strony duma z dawnego tryumfu nad „krzyżacką zawieruchą", z drugiej świadomość dzisiejszej polsko-niemieckiej wspólnoty w ramach UE – będziemy rozwiązywać latem z okazji 600-lecia Grunwaldu. Niemcy już to mają za sobą. Jesienią ubiegłego roku obchodzili dwutysięczną rocznicę bitwy w Lesie Teutoburskim, w której Germanie zatrzymali rozszerzenie się cesarstwa rzymskiego na Europę Środkową.

Refleksja wokół obu tych rocznic może dziś – wbrew tradycyjnym odruchom – Niemców i Polaków bardziej łączyć niż dzielić, choć w XIX wieku kult tych dwóch bitew był szkołą dwóch kompletnie przeciwstawnych narodowych egoizmów.

Dla pozbawionych własnego państwa Polaków kult Grunwaldu był cokołem historycznej tożsamości. Przypominał czasy militarnej świetności i pozwalał przeciwstawić bismarckowskiemu Kulturkampfowi i wilhelmińskiej germanizacji ideę sąsiedzkiej unii Polaków i Litwinów, oraz wyznaniowej tolerancji. W wojnie z państwem zakonnym w XV wieku obok rzymskich katolików uczestniczyli także husyci, prawosławni, a nawet muzułmanie. Równocześnie wznoszone w 1910 roku w Krakowie i Nowym Jorku pomniki Jagiełły były nie tylko plastrem na polskie rany, ale także świadectwem woli powrotu Polski na europejską scenę.

Z kolei dla Niemców dobijających się pod koniec XIX wieku mocarstwowej pozycji w Europie, zniszczenie w 9 roku p.n.e. przez Germanów trzech rzymskich legionów wpisywało się w mit „dziedzicznej wrogości" niemiecko-francuskiej. Tak też w 1809 roku – po klęsce Prus pod Jeną – Heinrich von Kleist zamierzył swą „Hermanową bitwę", jako wezwanie do walki partyzanckiej z Napoleonem. Wilhelm I odsłaniając w roku 1875 w Detmold ogromny pomnik Hermanna wyraźnie dawał do zrozumienia, że bijąc Francuzów pod Sedanem i jednocząc Niemcy w 1871 roku w Wersalu stał się następcą wodza Cherusków...

Oba narodowe mity miały jednak w ciągu ostatnich stu kilkudziesięciu lat całkiem odmienne ciężary właściwe. W Polsce Grunwald był przez cały wiek XX mitem żywym. Od obchodów w 1910 roku, poprzez II wojnę światową i peerelowską propagandę z 1960 roku z Adenauerem w płaszczu krzyżackim, aż po kampanię

Bitwa w Lesie Teutoburskim stoczona jesienią 9 roku n.e. pomiędzy plemionami germańskimi pod wodzą Arminiusza, wodza ze szczepu Cherusków, a wciągnietymi w zasadzkę trzema legionami rzymskimi dowodzonymi przez Publiusza Kwinktyliusza Warusa. Zapoczątkowała siedmioletnią wojnę, która ostatecznie ustanowiła granicę na Renie, jako granicę Cesarstwa Rzymskiego na okres czterech stuleci aż do upadku Cesarstwa. Bitwa ta miała duży wpływ na kształtowanie się XIX-wiecznego nacjonalizmu niemieckiego. • Las Teutoburski, wąskie pasmo niskich gór, leży na obszarze krajów związkowych Dolnej Saksonii i Nadrenii Północnej-Westfalii i między rzekami Ems i Wezerą. • Na pamiątkę bitwy wzniesiono niedaleko Detmoldu wysoki na 54 m pomnik Arminiusza Hermanna. Budowę pomnika wg projektu Ernsta von Bandela rozpoczęto w 1838 roku, ale została ostatecznie ukończona w roku 1875, po pokonaniu w 1871 roku Francji i zjednoczeniu większości Niemiec w II Rzeszy Otto von Bismarcka. Pomnik stoi na porośniętym lasem wzgórzu Teutberg (386 m n.p.m.) w kompleksie fortyfikacji Grotenburg.

Bitwa pod Grunwaldem (w literaturze niemieckiej pierwsza bitwa pod Tannenbergiem) – jedna z największych bitew w historii średniowiecznej Europy (pod względem liczby uczestników), stoczona na polach pod wsią Grunwald 15 lipca 1410 r., w czasie trwania wojny między siłami zakonu krzyżackiego wspomaganego przez rycerstwo zachodnioeuropejskie, pod dowództwem wielkiego mistrza Ulricha von Jungingena (ok. 21 tys. zbrojnych), a połączonymi siłami polskimi, litewsko-ruskimi i smoleńskimi oraz posiłkowymi oddziałami czeskimi, mołdawskimi i tatarskimi, pod dowództwem króla Polski Władysława II Jagiełły (ok. 29 tys. zbrojnych). Bitwa zakończyła się zwycięstwem wojsk polsko-litewskich i pogromem sił krzyżackich, nie została jednak wykorzystana dla całkowitego zniszczenia Zakonu. • W 550. rocznicę bitwy (1960) odsłonięto pomnik Zwycięstwa Grunwaldzkiego, składający się z granitowego obelisku, jedenastu 30-metrowych masztów symbolizujących sztandary polskich i litewsko-ruskich chorągwi. Poza tym znajduje się tu amfiteatr z pomieszczeniami muzealnymi, salą kinową i mapą plastyczną, pokazującą ustawienie wojsk przed bitwą. Na polu bitwy można również zobaczyć ruiny kaplicy pobitewnej, Kopiec Jagiełły oraz pozostałości krakowskiego pomnika grunwaldzkiego, zburzonego przez hitlerowców w 1939 roku. • Corocznie około 15 lipca obchodzone są Dni Grunwaldu, organizowane przez gminę Grunwald, Związek Harcerstwa Polskiego, wojsko i bractwa rycerskie. Oprócz uroczystości patriotycznych przy pomniku, wielką atrakcją jest inscenizacja bitwy grunwaldzkiej w wykonaniu licznych bractw rycerskich z Polski i zagranicy.

wyborczą braci Kaczyńskich, w 2005 roku rozpoczętą na tle obrazu Matejki.

Natomiast w dwudziestowiecznych Niemczech sięgających po władzę nad Europą nie bardzo było wiadomo, co robić z bitwą, która mimo zwycięstwa ujawniała kompleks słabego wobec imperialnej potęgi romańskiego sąsiada. Germanie zniszczyli legiony Warusa, ale nie stworzyli sprawnej państwowości. Rzymianie po kilku kampaniach karnych wycofali się za Ren i Dunaj, ale Rzym nadal przyciągał barbarzyńców poziomem cywilizacyjnym, więc napierali na jego granice. W 410 r. n.e. pod wodzą Alaryka wdarli się do stolicy imperium. A pół wieku później zadeptali zachodnie cesarstwo zatrzymując rozwój Zachodu na cztery wieki. Jednak idee Rzymu przetrwały – dzięki chrześcijaństwu i spóźnionym staraniom tych, którzy go zniszczyli. Mimo że imperium nie istniało, biskup zdewastowanej rzymskiej stolicy był respektowany jako zwierzchnik także na niegdyś buntowniczych peryferiach chrześcijaństwa. Dlatego przywrócenie w IX wieku cesarstwa rzymskiego przez Karola Wielkiego – *restitutio imperii* – przyjęte zostało jako naturalny proces dziejowy.

Skoro UE nawiązuje dziś do idei karolińskiej, to upamiętnianie tryumfu Germanów w Lesie Teutoburskim jest nieco kłopotliwe, bo pokazuje rozpad, a nie zjednoczenie Europy. W końcu klęskę zadał cesarstwu zdrajca, Germanin wychowany i uszlachcony w Rzymie, który w wielu wojnach granicznych dowodził germańskimi oddziałami pomocniczymi. To Hermann nakłaniał Warusa do marszu nad Łabę, po czym znienacka zaatakował rzymskich legionistów w trudnym terenie. Tę zdradę ideolodzy niemieckiego nacjonalizmu XIX wieku usprawiedliwiali tak samo jak Adam Mickiewicz uzasadniał wiarołomstwo Wallenroda – z najeźdźcą wolno walczyć wszelkimi metodami. A poza tym – twierdzili – to właśnie od Rzymian Hermann nauczył się „romańskiego fałszu", bo przecież już z „Pieśni Nibelungów" wiadomo, że Germanie nie zdradzają, są wierni po grób. Zygfryd, który w germańskich klechdach pokonał smoka, to przecież wódz Cherusków, który zwyciężył rzymskie legiony, niczym gad przedzierające się z żelaznymi tarczami pokrytymi łuskami przez westfalskie lasy...

Odległe lustro

Nie tylko Niemcy kleili narodowe mity z takich zmyśleń i półprawd. Barbara Tuchman porównywała popularne opowieści o dawnych bitwach do odległego lustra, w którym przegląda się nie tyle przeszłość, ile teraźniejszość. Co zatem o naszych czasach mogą mówić rocznicowe obchody obu tryumfów?

Inscenizacje medialne klęski Rzymian i tryumfu Germanów były w Republice Federalnej ostentacyjnie stonowane. Ale w jej odległym lustrze można było dostrzec dzisiejsze problemy globalne, jak choćby wojnę w Afganistanie. Ralf-Peter Märtin, autor bestsellera „Bitwa Warusa. Rzym i Germanie", twierdził wręcz, że ówczesna rzymska ekspedycja przypominała dzisiejsze wojny asymetryczne. Na pytanie, czy Arminius – tak według Tacyta brzmi łacińskie imię Hermanna zwycięzcy – był takim germańskim Che Guevarą lub Osamą ibn Ladenem, odpowiada wymijająco: na pewno nie był bohaterem wojny narodowowyzwoleńczej. Chciał zostać królem Cherusków. Ale nie miał poparcia wśród swoich, skoro po zwycięstwie zamordowali go właśni krewniacy. Märtinowi bardziej podoba się alternatywny wariant historii. Arminius dochowuje wierności Rzymowi. Jego wnuk zostaje senatorem, a germańskie oddziały pomocnicze stają się regularnymi rzymskimi legionami. Wędrówka ludów zostaje zatrzymana na Łabie. Germanie zamiast grabarzami imperium są jego podporą. A zjednoczonej Europie oszczędzone zostają mroki średniowiecza...

Na taki dystans wobec mitu Alexander Demandt, autor znanej i w Polsce „Historii niedokonanej", kręci głową. Naliczył 210 powodów upadku Rzymu i klęski Warusa. Odwrotnie Richard Herzinger, który w rocznicowym eseju w „Die Welt" wyrąbał: dzisiejszym Niemcom bliżsi są Rzymianie niż Germanie, z tym ich Arminiusem – mieszanką Ho Szi Mina i Pol Pota. Obaj także byli przesiąknięci zachodnią kulturę, a potem ją zdradzili. „Arminius jako symbol na dziś byłby powrotem do szukania tożsamości niemieckiej w odcięciu od zachodniej nowoczesności".

Tak też wyreżyserowano w Niemczech rocznicowe obchody. Unikano nacjonalistycznego patosu i na trzech wystawach zaprezentowano różne aspekty ówczesnego zderzenia cywilizacyjnego Rzymu z barbarzyńcami: w Haltern, gdzie był główny obóz rzymski, zaprezentowano wystawę „Imperium"; w Kalkriese, gdzie było centrum bitwy – „Konflikt"; a w Detmold, gdzie stoi pomnik Hermanna – „Mit".

Angela Merkel otwierając wystawy wspomniała, że rocznica bitwy zbiega się z rocznicą zburzenia muru berlińskiego. Ale do głowy by jej nie przyszło za Hermanna naszych czasów uznać na przykład oficera enerdowskiej straży granicznej,

który otwierając granicę w Lesie Sowietów pokonał radzieckiego smoka... Pani kanclerz nie odczytała też żadnego aktualnego przesłania germańskich przodków dla dzisiejszych Niemców, by ruszali przeciwko nowemu Rzymowi. Odwrotnie! Doceniła cywilizacyjny dorobek imperium. A tamten *clash of civilisations* skwitowała uwagą, że po wycofaniu się Rzymian za limes Germanie stracili kontakt z rzymską kulturą, ale bynajmniej się nie ucywilizowali. Pozostali skłóceni i prowadzili wojny. Na szczęście – zakończyła – „żyjemy w czasach spokojnych, choć jako Germanie nie doszliśmy do nich o własnych siłach, lecz potrzebowaliśmy idei europejskiej". Dlatego dobrze, że dziś na miejscu bitwy są urządzane międzynarodowe obozy młodzieżowe. Przesłanie pani kanclerz było wyraźne: warto znać ten fragment europejskiej historii. Ale na micie Hermanna nie można budować niemieckiej świadomości na wiek XXI.

A jak jest z Grunwaldem? Jaki portret własny na dziś dostrzegamy w odległym lustrze bitwy z 1410 roku? Z jednej strony przez pół wieku, jakie minęło od czasu, gdy Aleksander Ford kręcił „Krzyżaków", świat, Europa, Niemcy i Polska wywróciły się do góry nogami. Polscy i niemieccy żołnierze Eurokorpusu razem stacjonują w Szczecinie. A na Śląsku polscy mieszkańcy wmurowują tablice pamiątkowe na domach, w których urodzili się niemieccy pisarze XIX wieku piszący o „polskiej gospodarce" równie pogardliwie jak Sienkiewicz pisał o „kozackiej czerni". I słusznie, bo chodzi o pisarzy tak nieprzeciętnych jak Joseph von Eichendorff czy Gustav Freytag. Z drugiej natomiast i Polaków, i Litwinów korcił kolejny filmowy *remake* bitwy grunwaldzkiej.

Niby sprawa jest prosta jak krzyżacki miecz. Skoro ludzie tłumnie walą na kostiumowe filmy wojenne – dowodem „Ogniem i mieczem", „Gladiator", „Patriota" – więc czemu na tym nie skorzystać. Sto lat temu wzruszano się oglądając malarskie panoramy wielkich bitew, dziś – oglądając na ekranie ruchome obrazy szarży husarskiej, a niebawem zapewne będzie się w nich uczestniczyć wirtualnie. Wprawdzie Polacy będą mieli w kieszeni eurowalutę i europaszporty, ale wciąż będą się wzruszać słysząc „Mieczów ci u nas dostatek, ale i te przyjmiemy na znak naszego zwycięstwa..." i kłócić z Litwinami, o to kto tak naprawdę wygrał tę bitwę...

PAP

Restaurierung des Bildes „Die Schlacht bei Tannenberg" / *restauracja obrazu „Bitwa pod Grunwaldem"*

Nowi Krzyżacy?

A może będzie inaczej. Może następne generacje spojrzą z dystansem na literacką matejkiadę i nakręcą swoich „Krzyżaków" wbrew rozbiorowym kompleksom naszych wieszczów, natomiast bliższych tak historycznej, jak i psychologicznej prawdy piętnastowiecznej Europy Środkowo-Wschodniej i tego, co rzeczywiście działo w między Malborkiem, Krakowem, Wilnem, Pragą, Smoleńskiem i Kijowem? Przyszła rewizja nie zmieni faktów. Jagiełło nie spadnie z konia, a Ulrich von Jungingen nie wygra bitwy, ale też taki film na wiek XXI nie mógłby się sprowadzać do dość wątłej idei, że wystarczy urządzić udaną rąbankę z kilkudziesięciu tysięcy mężczyzn, by rozwiązać wszystkie dylematy historiozoficzne, a przy okazji osobiste problemy bohaterów i widzów.

Szansa na rewizję sienkiewiczowskiego obrazu „Krzyżaków" jest. Wystarczy sięgnąć do rozpoznań polskich i niemieckich historyków z ostatniego ćwierćwiecza. Jeszcze w 1978 roku ocena Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie na polsko-niemieckiej konferencji podręcznikowej pozwalała jedynie na spisanie protokołu rozbieżności. Niemcy nie upiększając faktów zwracali uwagę na cywilizacyjny dorobek Zakonu w basenie Bałtyku, Polacy nie przeczerniając ocen wskazywali na agresywnie kolonialną strukturę państwa krzyżackiego, które wgryzało się w państwa ościenne. Dziś polscy historycy Gerard

Labuda i Marian Biskup są już klasykami „krzyżakologii stosowanej" również w Niemczech, a wydana również po polsku praca Hartmuta Boockmanna „Zakon Krzyżacki" pokazała i nam, że istnieje też ta druga „wewnętrzna" historia Zakonu – administracyjna, gospodarcza, mentalna, religijna – która w polskiej świadomości potocznej została niemal całkowicie wyparta przez obraz krzyżackiej zdrady, krzywoprzysięstwa i zbrodni.

Rewizja „Krzyżaków" nie dotyczy oczywiście faktów, lecz ról, motywów, psychologii i ocen wielkich konfliktów epoki, które – mimo zderzenia państwa zakonnego z unią polsko-litewską – sięgały dużo głębiej niż dzieje pewnego szlachetnego rębajły ratującego panienkę z rąk złych zakonników.

Oto leżą na stole dwie przeciwstawne literackie legendy Krzyżaków i Grunwaldu. Tę polską znamy. Złowrogi Zakon wykorzystuje naiwność Konrada Mazowieckiego, fałszuje bullę papieską, prowadzi eksterminacyjne wyprawy przeciwko Prusom, Litwie i Polsce, tworzy nowoczesne państwo militarne kierowane przez elitę butnych rycerzy. Podstępem zagarnia Gdańsk i Pomorze w 1308 roku, następnie próbuje podbić Litwę, którą uratowało przymierze i unia personalna z Polską. Bitwa pod Grunwaldem to kwintesencja odwiecznych zmagań Polski z Niemcami. A państwo krzyżackie, niczym prototyp państwa SS, było na tyle nie do zniesienia nawet dla własnych poddanych, że stany pruskie poprosiły polskiego króla o przyjęcie nad nim zwierzchnictwa. Niepowetowany błąd polskiej polityki – powtarzają uczniowie za nauczycielami – polegał na tym, że Jagiellonowie pozwolili Hohenzollernom utworzyć z wasalnego państwa krzyżackiego dziedziczne księstwo, które jako Prusy stało się gwoździem do trumny Rzeczypospolitej. Drugi Grunwald, zdobycie Berlina w 1945 roku i przyłączenie połowy byłych Prus wschodnich do Polski, raz na zawsze położył kres krzyżactwu.

Niemiecka legenda jest dokładnie odwrotna. Oto skromne bractwo szpitalne, które pod koniec XII wieku opiekowało się w Ziemi Świętej pielgrzymami z Bremy iLubeki, na jałowej pogańskiej ziemi w północno-wschodniej Europie zbudowało w ciągu dwustu lat najnowocześniejsze państwo tamtej epoki, założyło 96 miast, zbudowało 90 zamków, osuszyło bagna, rozszerzyło na wschód Hanzę – ówczesną wspólnotę gospodarczą basenu Morza Północnego i Bałtyku. To prawda, mówili niemieccy romantycy XIX wieku, zakonnicy nie tylko leczyli, ale i zadawali rany, ale tylko dlatego, że poganie byli krnąbrni i nie chcieli dać się ochrzcić. Krzyżacy, powiadali pruscy historycy Treitschke, Droysen czy Ranke, byli dobrodziejstwem cywilizacyjnym. A książę Konrad Mazowiecki sam ich do siebie zaprosił, bo nie mógł sobie dać rady z najazdami Jadźwingów, Litwinów i Prusów. I niemieccy zakonnicy – raptem garstka, trzystu-czterystu, a w porywach tysiąc rycerzy zakonnych – szybko uporali się z całą tą pogańską hołotą, krzyżem i mieczem zaszczepili nad Bałtykiem chrześcijaństwo, ściągnęli najnowsze technologie, najbardziej przedsiębiorczych osadników i stworzyli znakomitą maszynę państwową, która znalazła swą kontynuację w fryderycjańskich Prusach i wilhelmińskim cesarstwie niemieckim. A kto przegrał ten dziejowy wyścig sam był sobie winien...

Nieszczęście – głosiła niemiecka legenda – zaczęło się wtedy, gdy pod koniec XIV wieku Polska sprzeniewierzyła się chrześcijańskiej solidarności i zawistna z powodu sprawności państwa zakonnego sprzymierzyła się z poganami. W 1410 wszczęła wojnę z Zakonem i niestety pokonała pod Tannenbergiem armię krzyżacką. Do zwycięzców zdradziecko przyłączyły się pruskie stany, którym obcy był duch chrześcijańskiego rycerstwa. W następnej wojnie poparli polskiego króla i oddali szmat kraju pod polskie władanie. Ale sprawiedliwość dziejowa istnieje: królom pruskim w XVII wieku udało się zrzucić polską zwierzchność, a w XVIII odzyskać uprzednio utracone tereny uwalniając je od polskiego bałaganu. A teraz – w XIX wieku – wzięte pod pruską egidę Niemcy są najwyższym osiągnięciem sztuki państwowej, militarnej i gospodarczej. I tak już zostanie, ponieważ niemiecki sposób życia, myślenia i działania jest zbawienny dla całego świata...

Romantyczne legendy

Ta trywialna historiozofia miała literackie legendy. W tym samym czasie gdy Adam Mickiewicz w carskim już Wilnie pisał „Konrada Wallenroda" – niezbyt rycerski epos o tym, że cel uświęca środki, a walce z silniejszym można oszukiwać, wkładać cudzą maskę, udawać (jak wódz Cherusków) przyjaźń, to w pruskim już Gdańsku Joseph von Eichendorff, urzeczony dziejami Zakonu, przygotowywał rekonstrukcję zamku krzyżackiego w Malborku i pisał dramat historyczny „Ostatni bohater Malborka". Obaj panowie nigdy się nie spotkali i pewnie nie bardzo potrafiliby się dogadać, choć Eichendorff znał polski, a Mickiewicz niemiecki, ponieważ po to samo tworzywo sięgali z dokładnie przeciwnej strony.

Sztuka Eichendorffa zaczyna się dokładnie w tym momencie, w którym kończą się sienkiewiczowscy „Krzyżacy" – bitwą pod Grunwaldem. Ale to nie dwaj Litwini, Jagiełło jako król polski i Witold jako wielki książę są jej bohaterami, lecz wielki mistrz krzyżacki. Tyle, że nie Ulrich von Jungingen, lecz Heinrich von Plauen, komtur Świecia, obrońca Malborka i moralny zwycięzca w pojedynku z królem polskim.

Z perspektywy śląskiego poety klęska grunwaldzka to szok taki, jak gdyby wódz indiański, powiedzmy jakiś Siedzący Byk, pokonał całą armię amerykańską i ciągnął na Waszyngton. W eseju „Odbudowa zamku krzyżackiego w Malborku" Eichendorff „wsłuchuje się", jak sam pisze, w życie rycerzy-zakonników reprezentujących wszystkie prowincje Niemiec, widzi oczyma wyobraźni, jak gwarzą dziarsko w stylowym refektarzu, „a każdy z nich to przyszły książę, gdyż w każdej chwili może być wybranym Wielkim Mistrzem, a wszyscy zbratani w najwyższym celu wszechczasów, który nawet najzwyklejszego wynosi ponad gmin...".

Najwspanialszy okres Zakonu – wzdycha Eichendorff – to czasy Wielkiego Mistrza Winrycha von Kniprode (1352–1382), kiedy to pobożni rycerze chodzili na „rejzy" na Litwie niczym na procesje. Dla romantycznego poety Malbork to miejsce opowieści rycerskich, Wielki Mistrz to Parsyfal, wyprawy krzyżowe przeciwko poganom to droga do królestwa niebiańskiego, a Zakon to elitarny i demokratyczny zarazem związek chrześcijańskich rycerzy, arystokratów ducha, zdyscyplinowanych, przejętych swą misją, niepodlegających nikomu, ani cesarzowi (państwo zakonne nie było częścią Rzeszy), ani papieżowi, a tylko Bogu i własnej regule. Sąsiadujący z Zakonem Litwini to „saraceni", jak po bitwie grunwaldzkiej pisał z Malborka Hermann von Salza do komturii w Europie Zachodniej. A chrześcijański król Polski to uzurpator, w którym znawca twórczości Eichendorffa Alfred Riemen dostrzega cień Napoleona, który bezprawnie koronował się na cesarza, zniewolił Prusy i Europę, aż wreszcie został obalony przez sprzymierzonych w wyniku „wojen wyzwoleńczych". A więc wszystko na odwrót niż u nas.

I odwrotna jest też konstelacja „Ostatniego bohatera Malborka". Zwycięstwo pod Grunwaldem tak zaskoczyło Jagiełłę, że przez dwa dni nie mógł uwierzyć w swe szczęście i nie ruszył na Malbork. W tym czasie „jeden z zakonnych rycerzy z garstką swojej drużyny, spiesznie, pokryty kurzem, wpadł w bramy Malborka, a lwa miał na tarczy: był to hrabia Heinrich von Plauen". Obsadził zamek, wyburzył budynki przed

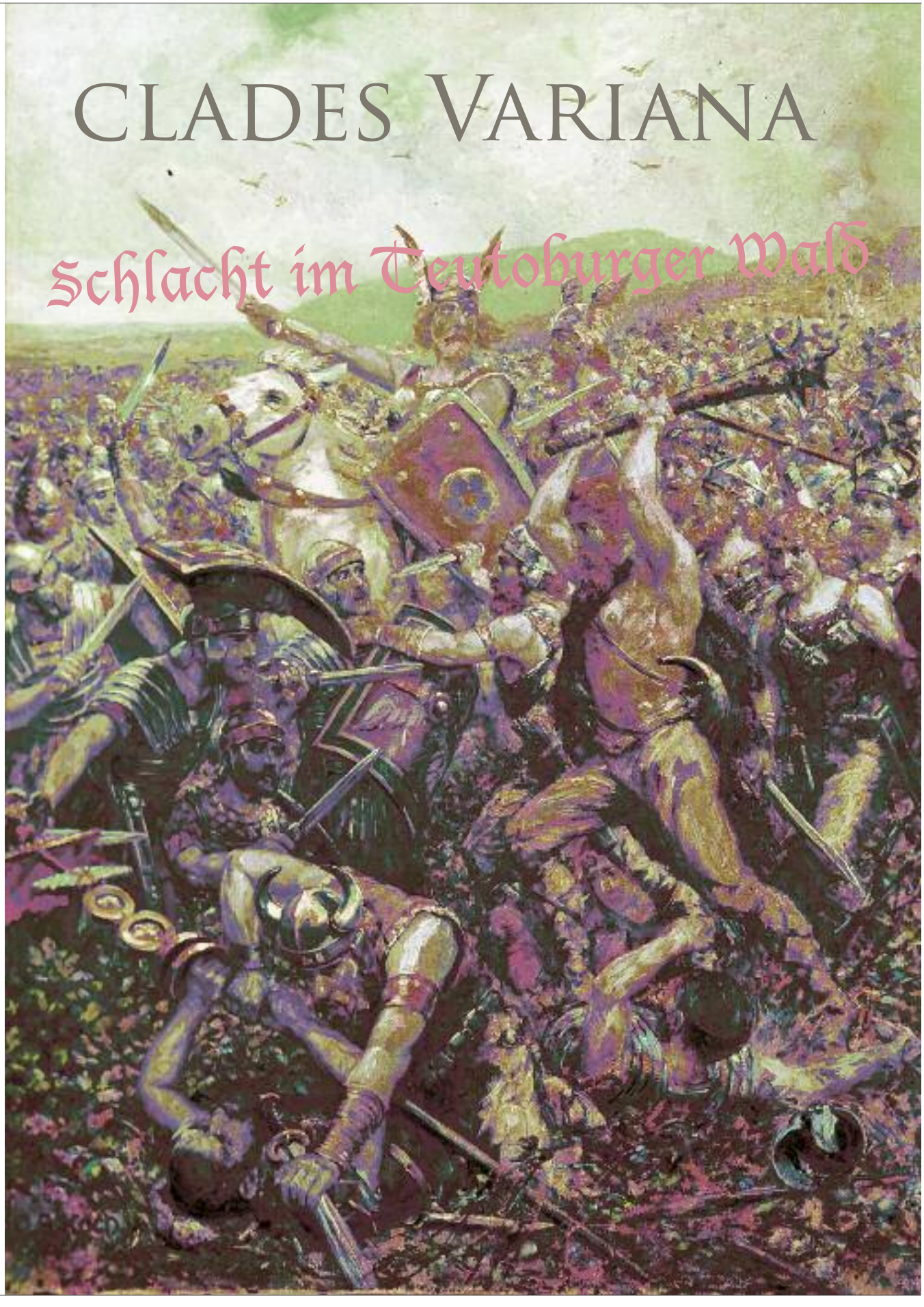

Piotr Mordel

murami i zorganizował obronę. W końcu Jagiełło nadciągnął, chełpliwie nakazał przez heroldów otworzyć bramy, ponieważ to on teraz stanowi prawo, i otrzymał należną odprawę, że zakonnicy są tylko Bogu posłuszni. Zaczyna się próba sił, w której Jagiełło stosuje nierycerskie metody, przekupuje służącego, ustawia na wieży kościoła działo, z którego chce trafić w filar podtrzymujący sklepienie refektarza i pogrzebać zakonników.

Świętokradztwo się nie udaje. Von Plauen, niczym Kmicic pod Częstochową, organizuje wycieczkę z oblężonego zamku i zadaje Polakom ciężkie straty. Jagiełło zamiast być sędzią zakonu musi podpisać pokój. Gorszy od polskiego króla jest przeciwnik wewnętrzny Heinricha von Plauen, egoistyczne i materialnie nastawione stany pruskie spiskujące z obcym monarchą, oraz Michael Küchmeister, jeden z rycerzy, który odmawia aresztowania spiskowców i z egoizmu wyprawia się na źle przygotowaną akcję przeciwko Polakom: „okazało się, że Zakon już nie rozumie siebie, wrzask niezadowolenia szedł przez cały kraj, a tłuszcza pchała się do żłobów", wzdychał Eichendorff w swym eseju.

„Ostatni bohater Malborka" to jeden z wielu niemieckich utworów literackich starających się stworzyć romantyczny mit Krzyżaków. Nie bardzo to się udało, nawet jeśli Wilhelm II starał się uteatralizować pamięć Malborka i krzyżackiego „parcia na wschód". Również w III Rzeszy podsycanie przez Himmlera i Rosenberga kultu Malborka, Tannenbergu i zakonu rycerskiego, którego kontynuatorem miała być jakoby SS, wcale nie trafiało do przekonania wielu najwyższych rangą nazistów, jak choćby Goebbelsa czy nawet samego Hitlera.

Pozostaje pytanie, czy z tych dwóch wykluczających się romantycznych tradycji narodowych można dziś jeszcze odcedzić jakiekolwiek uniwersalne przesłanie, czy można stworzyć litewsko-niemiecko-polski film, który powie cokolwiek nowego o tamtych ludziach i o nas samych, o państwie krzyżackim, o tamtej Polsce i tamtej Litwie, ale też o tej Europie, która właśnie powstaje jako całość, nie z ducha przemocy, a z ducha ugody i porozumienia. Bo tylko taki film warto nakręcić. Reszta to nabijanie kasy i żerowanie na dawno przebrzmiałych emocjach. Wystarczy wspomnieć Jugosławię. W roku 1989 serbskie obchody 600-lecia bitwy na Kosowym Polu stały się detonatorem rozpadu państwa i krwawej wojny plemiennej, w której historyczne mity stały się pożywką agresywnego nacjonalizmu i czystek etnicznych.

Narodowe mity nie są niezmienne. Polski kult Grunwaldu także nie miał takiego samego nasilenia. Dopiero bismarckowska i wilhelmińska tromtadracja nadała Grunwaldowi centralne znaczenie w polskiej świadomości. A po roku 1945 nie było chyba miasta na Ziemiach Zachodnich, które nie miałoby swej ulicy Grunwaldzkiej i swego pomnika z dwoma mieczami.

Dziś – gdy generalny inspektor Bundeswehry składa kwiaty na Westerplatte – kult Grunwaldu przybladł. Można rzec, że w polskiej potocznej świadomości historyczne toczy się cicha wojna tytanów. Z jednej strony nadal tkwią w niej dawne obrazy odwiecznej wrogości, z drugiej zaś pojawiają się nowe – pokojowa współpraca polsko-niemiecka w budowie chrześcijańskiej Europy, której symbolem jest zjazd gnieźnieński z 1000 roku i przyjaźń Ottona III z Bolesławem Chrobrym.

Ten nasz sprzeczny stosunek do polsko-niemieckiej historii jest też w jakiejś mierze odbiciem dwóch przeciwstawnych wizji średniowiecza i chrześcijaństwa. Z jednej strony promienna, łagodna wizja chrztu jako źródła natchnienia, kultury i cywilizacji, której symbolem są pobożni mnisi, dalekowzroczni humaniści, pracowici mieszczanie i rolnicy ściągający z Zachodu, by nieść chrześcijaństwo. Z drugiej natomiast czarna historia chrystianizacji Europy Środkowo-Wschodniej ogniem i mieczem, dzieje kolonialnego podboju i brutalnego „kulturobójstwa" dokonywanego na pogańskich plemionach „nawracanych" na jedyną słuszną wiarę kosztem poddania ich obcej władzy i zniszczeniu ich tradycji, świątyń, wyrżnięciu elit i zafałszowania przeszłości.

Młodsza Europa

Niemal w tym samym czasie, gdy w Polsce wielkie zainteresowanie budziła praca Jerzego Kłoczowskiego „Młodsza Europa" (1998), prezentująca zbieżne drogi Polski, Czech i Węgier, które w X–XV wieku, stały się swoistym subcentrum cywilizacyjnym Europy, to w Wielkiej Brytanii Robert Bartlett w świetnej książce „Tworzenie Europy. Podbój, kolonizacja i zmiany kulturalne w latach 950–1450" (1993) pokazał dokładnie odwrotną stronę medalu – narodziny Europy tysiąc lat temu z ducha przemocy, kolonialnego podboju i gwałtownych zmian narzucanych peryferiom ówczesnego świata chrześcijańskiego przez jego romańsko-germańskie centrum.

I dopiero nakładając na siebie obie perspektywy i odsuwając na bok dziewiętnastowieczne mity i obrazy zarówno Sienkiewicza i Matejki, jak i wilhelmińskich propagandystów i nacjonalistyczne inscenizacje XX wieku jednej i drugiej strony, można zrozumieć jak wielkie napięcia ukształtowały naszą część Europy.

W wieku X–XI – gdy powstawała państwowość na ziemiach polskich – łacińskie chrześcijaństwo rozszerzało się na wszystkich azymutach, z Hiszpanii wypierano Maurów, na północy ogarniało Irlandię, Skandynawię i wybrzeże Bałtyku, na wschodzie – zachodnią Słowiańszczyznę i Węgry. Niebawem ruszyły wyprawy krzyżowców – nie tylko przeciwko muzułmanom, również przeciwko Bizantyńczykom, Słowianom i Bałtom. Chrześcijaństwo łacińskie – twierdzi Bartlett – było ideologią podboju i modernizacji ustroju społecz-

nego, a nie tylko wyznacznikiem rytuału i zasięgu autorytetu Kościoła.

Cywilizacyjnym „centrum" zachodniej Europy były wówczas – podobnie jak dziś – tereny północnej Francji i Nadrenii i północnych Włoch. Wokół nich koncentrycznie rozszerzały się „peryferia". Dla energicznej i ekspansywnej szlachty zachodnioeuropejskiej za „nieokrzesanych i nieokiełznanych" uchodzili zarówno Walijczycy, jak i Słowianie, którym należało narzucić nowoczesną formę rządów. Podboje bardziej podniecały wyobraźnię niż krzewienie wiary, „kształtowały świa-

niu krzyża, ale dzięki mieczowi. To on wyrąbał przestrzeń, w których rozwijały się miasta, handel, rzemiosło, uniwersytety, prawo rzymskie, i zapewniły kolonizację ogromnych obszarów. „Europejscy chrześcijanie – uważa Bartlett – którzy w wieku XV i XVI docierali do wybrzeży Ameryki Północnej i Południowej, Azji i Afryki, wywodzili się ze społeczeństwa, które samo przeszło przez wyraźne doświadczenia kolonizacyjne. Ta Europa, która zainicjowała jeden z największych na świecie procesów podboju, kolonizacji i transformacji, była produktem takiego procesu".

realizacji. Malbork był dla nich bramą wypadową i „naszą Jerozolimą" wypraw przeciwko pogańskim Wenedom, a celem podbój, ujarzmienie i wypędzenie Słowian z ich ziem. W ten sposób na wschodnich peryferiach zachodniego chrześcijaństwa powstały „społeczeństwa garnizonowe" rządzone – jak państwo zakonne – przez obcą elitę wojskową, niestarająca się nawet zintegrować z miejscowym społeczeństwem. Wybranym pozwalano awansować, ale tradycyjną kulturę pogańską niszczono. Ten „długi region graniczny katolickiej Europy" – dowodzi Bartlett –

Inszenierung der Schlacht bei Tannenberg / *inscenizacja Bitwy Grunwaldzkiej* (2009)

domość książąt, rycerzy i księży, budząc oczekiwania takiej przyszłości, w której siłą tworzono by kolejne władztwa i zasiedlano kolejne tereny, by ściągać dochody z trybutu, podatków, dzierżawy i dziesięciny" pisze Bartlett, przypominając oburzenie córki cesarza bizantyjskiego, Aleksiosa I, o łacińskich chrześcijanach jako chciwych i niepohamowanych łupieżcach.

Technika wojskowa – ciężka jazda, łucznicy i zamki warowne – dawały „łacinnikom" nad „peryferiami" przewagę militarną nie mniejszą niż w roku 1999 miało NATO nad Miloszewiczem. Ale liczyła się nie tylko broń i osadnictwo wojskowe, lecz także nowocześniejszy model gospodarczy i polityczne oparty na lennie. Rzymski katolicyzm w brutalny sposób narzucał nową wiarę. Dziś zażenowanie budzi fakt, że również Bolesław Chrobry groził obcinaniem nosów i wyłupianiem oczu tym, którzy nie dopełnią postu. Chrześcijańska „europeizacja Europy" dokonała się w cie-

Jednak model centrum-peryferia nie jest dokładny, wywodzi Bartlett. Bywało, że tereny kolonizowane były z jednej strony podporządkowane centrum, z drugiej same stanowiły jego kopię. Ponadto Litwa jest przykładem modernizacji bez chrześcijaństwa. W połowie XIV była wydajnym państwem mającym nowoczesne uzbrojenie i sprawną administrację w języku ruskim: „bogowie byli dawni, ale broń nowa". Niemniej państwo krzyżackie było sprawniejsze niż Litwa czy Polska. Jego fundamentem było 120 nowo założonych miast i 1200 wsi.

Krzyżacy, podobnie jak i inne ówczesne zakony rycerskie, dlatego odnosili sukcesy, że udało się im stopić dwa żywioły – zdyscyplinowanych mnichów oraz bezlitosnego, agresywnego rycerstwa. Oparte na podboju, samodyscyplinie i sprawnej administracji państwo krzyżackie nie było jednak oazą kultury promieniującej na sąsiadów. Wojna ze Słowianami i Bałtami była dla rycerzy drogą do kariery i samo-

rozciągał się do Hiszpanii po Finlandię. Również Polska była początkowo krajem „na poły podbitym". Napływowy kler, mieszczaństwo, chłopi zdominowali miejscowych. Ci zaczęli się bronić tracąc jednak w imię „swojskości" kontakt z „cudzoziemszczyzną" i ponownie ulegali prowincjonalizacji. Dopiero – można dodać – zwycięstwo pod Grunwaldem oznaczało cezurę, początek wybijania się Polski i Litwy ze statusu prowincji do roli lokalnego centrum cywilizacyjnego i kulturalnego zachodniego chrześcijaństwa...

Mity i fakty

Tak naprawdę problem z Krzyżakami z perspektywy wieku XXI polega na tym, że żadna z historycznych legend nie jest dziś nośna. Pozostają oczywiście niezmienne twarde fakty z dziejów Zakonu, które jednak zawsze będą odmiennie interpretowane. Rzecz w tym, że dzieje państwa krzyżackiego są częścią historii „młodszej

Europy" na styku słowiańsko-germańskim i w zależności, jak się to sąsiedztwo układało, tak też była odczytywana pełna sprzeczności rola Zakonu.

Prawdą jest, że Konrad Mazowiecki przeliczył się, król węgierski był bardziej przezorny i usunął ambitnych braciszków, co zresztą nie uchroniło Węgier przed wpadnięciem pod dominację niemiecką. Gdyby zamiast Zakonu Niemieckiego Konrad ściągnął inny zakon rycerski, joannitów czy templariuszy, również miałby kłopoty, i pewnie do założonego przez nich państwa z czasem znowu bardziej ciągnęliby Niemcy niż na przykład Francuzi, ale nie byłoby tak ścisłego związku jak z Brandenburgią. Natomiast okrucieństw w chrystianizacji ziem pruskich byłoby tyle co było, ponieważ taka była podówczas „kultura ewangelizacji" i prowadzenia wojen. Krzyżacy nie odchodzili jakoś specjalnie od europejskiej normy.

Prawdą jest, że państwo zakonne w ciągu 300 lat swej historii było w egzystencjalnym konflikcie nie ze słowiańszczyzną, lecz z państwem polskim, przeciwko któremu wielokrotnie sprzymierzało się na przykład z Czechami. Ten konflikt jednak wcale nie był stały. Gwałtownie wybuchł po krwawym zajęciu Gdańska w 1308 roku i trwał kilkadziesiąt lat do ugody między Zakonem i Kazimierzem Wielkim w 1343 roku. Potem przez pół wieku stosunki polsko-krzyżackie były pokojowe. Unia z Litwą w 1385 roku była z polskiej strony posunięciem wymierzonym nie w Krzyżaków, lecz w Habsburgów i w Moskwę, groziło bowiem przyjęcie na Litwie prawosławia.

Prawdą jest też jednak, że unia polsko-litewska postawiła tamę państwu krzyżackiemu. I nawet gdyby Krzyżacy odparli Jagiełłę pod Grunwaldem, to wojna trwałaby dalej. Państwo zakonne było może nowocześniejsze i lepiej zorganizowane niż Polska i Litwa, ale potencjały ludnościowe były nieporównywalne: około 300 tysięcy przeciwko 4 milionom.

Prawdą jest też, że Grunwald był jedną z ważniejszych bitew w średniowiecznej Europie, ale bardziej ważki okazał się konflikt zasad zaprezentowany w sporze z Zakonem na soborze w Konstancji 1414 roku, na tym samym soborze, na którym spalono Jana Husa za herezję. Wtedy to Polska po raz pierwszy w dziejach wystąpiła publicznie na forum międzynarodowym – czymś w rodzaju zgromadzenia generalnego ONZ – i przedstawiła nową doktrynę – samostanowienia narodów.

Prawdą jest też, że tak znakomicie zorganizowane państwo krzyżackie, które mnóstwo wniosło do kultury materialnej południowych regionów Bałtyku, bardzo niewiele wniosło do kultury duchowej Europy. Dopiero wyemancypowanie się stanów pruskich spod władzy Zakonu i przejście ich na stronę polską stworzyło warunki, w których mógł zabłysnąć Kopernik.

I wreszcie prawdą jest, że połowiczne załatwienie kwestii krzyżackiej przez Jagiellonów ściągnęło na Rzeczpospolitą śmiertelne niebezpieczeństwo w XVIII wieku i było dla niej gwoździem do trumny. Ale nie musiało tak być. Gdyby kontrreformacja nie zakleiła szlacheckich głów sarmacką ideologią, to Polska nie utraciłaby kontaktu z Europą Zachodnią. Może nie byłoby szwedzkiego potopu i wymknięcia się Prus Książęcych, ale to już zupełnie inne bajki i tematy na zupełnie inne filmy...

Na razie Grunwald to dla wielu Polaków lekarstwo na wciąż żywy kompleks zachodniego sąsiada, a także symbol dawnej militarnej sprawności jak i początku złotego wieku, który z unii polsko-litewskiej na trzysta lat uczynił jedno z regionalnych centrów cywilizacyjnych Europy. Zarazem historyczne usytuowanie obu bitew jest przeciwstawne. O ile wódz Cherusków, zdradzając Rzym, odrzucił wejście do ówczesnej UE, o tyle dwaj litewscy bracia – Jagiełło i Witold – byli nie tylko wyraźnymi rzecznikami opcji zachodniej, ale poprzez Grunwald stali się tego Zachodu pełnoprawnymi członkami. Ich konflikt z państwem krzyżackim był po przyjęciu katolicyzmu przez Litwę konfliktem zasad wewnątrz Zachodu, a nie – jak to przedstawiała krzyżacka propaganda – zderzeniem cywilizacyjnym zachodniego chrześcijaństwa z poganami.

Dlatego Sven Ekdahl, autor wydanej w 1982 roku po niemiecku znakomitej monografii „Grunwald 1410" (Tannenberg 1410), główną uwagę poświęca nie tyle starciu *hard power*, walce na polach Grunwaldu, ile prawniczym sporom polsko-krzyżackim na soborze w Konstancji, gdzie zderzyły się dwie różne koncepcje rozszerzania zachodniego chrześcijaństwa na wschód. Nawracanie siłą, jak chcieli krzyżacy. Czy raczej poprzez *soft power* – sojuszami, przykładem i tolerancją.

Interpretacja z trzech perspektyw

Podobnie jak na bitwę w Lesie Teutoburskim można dziś na Grunwald spojrzeć z trzech perspektyw: poprzez stosunek centrum i peryferii Zachodu w wiekach XII–XV. Poprzez historię konfliktu z 1410 roku. I przez ewolucję polskiego i niemieckiego mitu Grunwaldu w wiekach XIX i XX.

W ciągu ostatniego półwiecza polscy mediewiści wnieśli ogromny wkład do wiedzy o dziejach „młodszej Europy" na peryferiach Zachodu. W czasach, gdy powojenna publicystyka i beletrystyka pokazywały Niemców jako dziedzicznego wroga, którego przez wieki prostą drogą zmierzał do hitlerowskiego ludobójstwa, zawodowi historycy przyznawali, że rzeczywisty obraz polsko-niemieckiej historii był bardziej wielowymiarowy. Dziś nawet Konrad Mazowiecki – w naszej świadomości potocznej jeden z głównych winowajców polskich dziejów – doczekał się zrównoważonej oceny. W wydanym niedawno wnikliwym eseju Henryk Samsonowicz pokazał ambitnego mazowieckiego władykę, który coś tam wiedział i rozumiał z układu sił w ówczesnej Europie. Ale dysproporcje w ówczesnym zderzeniu cywilizacyjnym były zbyt wielkie, by mógł z zacofanego Mazowsza dostrzec rzeczywiste europejskie mechanizmy. Jego apetyty były peryferyjne, sięgały Krakowa. W marzeniach sennych może Rusi. Zarazem nie dawał sobie rady z Bałtami. Wdał się więc w układy z partnerem asymetrycznym, który miał w ręku same asy. Hermann von Salza jako przyjaciel cesarza Fryderyka II, Hohenstaufa, był w samym epicentrum ówczesnego Zachodu. Konrad natomiast nie umywał się do Chrobrego, który w młodości przebywał na Zachodzie i zaprzyjaźnił się z późniejszym cesarzem. To obycie w świecie zaowocowało spotkaniem w Gnieźnie w 1000 roku, a w końcu także królewską koroną. Natomiast prowincjonalny Konrad żadną miarą nie był w stanie sprostać modernizacyjnemu przeszczepowi.

A gdyby zarzucił swój pomysł i nie zaprosił Krzyżaków? Czy po najeździe mongolskim 1241 roku książęta mazowieccy sprostaliby naciskom Bałtów, uzyskaliby wsparcie książąt dzielnicowych? Raczej nie. W końcu papież wezwałby do krucjaty przeciwko poganom i historia wróciłaby na te same tory, lecz bez Grunwaldu i nie wiadomo z jaką Polską.

Zwykle z naszej pamięci umyka, że polscy królowie z krzyżakami spotykali się nie tylko na długość dwóch grunwaldzkich mieczy, ale także jako sojusznicy. Gdy po rezygnacji z Wrocławia Kazimierz Wielki zajmował Lwów, miał wsparcie państwa zakonnego... Również okoliczności bitwy pod Grunwaldem były bardziej splątane niż głosi mit tysiącletnich polsko-niemieckich zmagań. W swej książce „Niemcy w Polsce" Marek Zybura zwracał w uwagę, że pod Grunwaldem w kilkunastotysięcznej armii krzyżackiej było tylko 500 rycerzy zakonnych. Resztę stanowiło pospolite ruszenie z Prus i Pomorza – w tym wielu Polaków, zwłaszcza w chorągwi chełmiń-

skiej. Z kolei w armii Jagiełły byli także Niemcy z Małopolski, jak Zyndram z Maszkowic, czy chorąży królewski, Marcin z Wrocimowic.

Na niemieckie mieszczaństwo w Polsce patrzymy zwykle poprzez bunt wójt Albrechta przeciwko królowi Władysławowi Łokietkowi. Ale w tym samym czasie niemieccy mieszczanie Nowego Sącza zdecydowanie Łokietka poparli. W końcu jeszcze sto pięćdziesiąt lat po Grunwaldzie w kościele Mariackim w Krakowie kazania wygłaszano po niemiecku. Z drugiej strony również Święte Cesarstwo Rzymskie do XVI wieku było uniwersalne, dopiero w 1512 roku zostało oficjalnie ograniczone do narodu niemieckiego...

Wbrew sienkiewiczowskiej i peerelowskiej legendzie – uzasadnionej w XIX wieku germanizacyjną polityką Bismarcka, a w 1960 nieuznawaniem granicy na Odrze i Nysie przez Republikę Federalną – konflikt polsko-krzyżacki w XV wieku nie był ani etniczny, ani cywilizacyjny, lecz mocarstwowy. Przy czym oba konkurencyjne bloki: Polska-Litwa, oraz państwo zakonne wspierane przez cesarza i króla czeskiego, były wieloetniczne.

Jakoś niesporo stylizować dziś Grunwald – podobnie jak Las Teutoburski – na symbol „dziedzicznej wrogości". Natomiast można tę jedną z największych bitew średniowiecza uznać za symbol przesuwania się „młodszej Europy" od peryferii ku cywilizacyjnemu centrum. A także za symbol skutecznych struktur unijnych, jakie wówczas potrafiły wypracować elity decydujące o losach Korony i Wielkiego Księstwa. To pamięć o nich może być naszym wianem do Unii Europejskiej. A wygrana bitwa pod Grunwaldem to jedynie dowód managerskiej sprawności. I miejmy nadzieję, że tak właśnie rok 1410 pokaże wielki film fabularny o Grunwaldzie kręcony właśnie przez Litwinów...

Adam Krzemiński
germanista i publicysta, dziennikarz tygodnika „Polityka", od 1987 do 1998 roku redaktor naczelny magazynu DIALOG, mieszka w Warszawie.

Ausstellung der Neuen Polnischen Expression in Dresden • In dem OSTRALE – Zentrum für zeitgenössische Kunst in Dresden wurde die Ausstellung „Polnische Neue Expression seit den 80er Jahren" eröffnet. Die Stilrichtung „Neue Expression" entwickelte sich in Polen seit Anfang der 1980er Jahre, in der Zeit der Geburt der Solidarność-Bewegung sowie in der Zeit des Kriegsrechts in den Jahren 1981–1982, und erlebte ihren Höhepunkt ca. 1986–87. Der neue Expressionismus stellte einen Bestandteil der Transavantgarde dar, die die Kunst und insbesondere die Malerei der 1980er Jahre dominierte. Diese Erscheinung trat gleichwertig und zeitlich parallel mit solchen Stilrichtungen auf, wie der deutschen Neuen Wilden, der italienischen Arte Cifra, der französischen Figuration Libre oder der amerikanischen New Image Painting. In Dresden werden die Arbeiten von Zbigniew Maciej Dowgiałło, Wojciech Tracewski, Krzysztof Skarbek, Zdzisław Nitka, Ryszard Woźniak und Sylwester Ambroziak präsentiert. Die Ausstellung dauert bis 18. Juli 2010. (www.ostrale.de)

Wystawa polskiej nowej ekspresji w Dreźnie • W Centrum Sztuki Współczesnej OSTRALE w Dreźnie otwarto wystawę „Polska nowa ekspresja od lat 80. XX wieku". Zjawisko nazwane nową ekspresją rozwijało się od początku lat 80., w okresie narodzin ruchu Solidarności i burzliwym okresie stanu wojennego 1981–82, przeżyło apogeum ok. 1986–87 r. Neoekspresjonizm był jednym z odłamów światowej transawangardy, który zdominował sztukę, a zwłaszcza malarstwo lat 80. XX wieku. Było to zjawisko zupełnie równorzędne i często równoczesne w stosunku do tak powszechnie znanych kierunków jak niemieckie Neue Wilde, włoska arte cifra, francuska Figuration Libre czy amerykańskie New Image Painting. W Dreźnie przedstawianie są prace Zbigniewa Macieja Dowgiałły, Wojciecha Tracewskiego, Krzysztofa Skarbka, Zdzisława Nitki, Ryszarda Woźniaka i Sylwestra Ambroziaka. Wystawa będzie czynna do 18 lipca 2010. (www.ostrale.de)

Verfassungsmedaille des Freistaates Sachsen für Maria Diersch • Maria Diersch, Vizepräsidentin der Deutsch-Polnischen Gesellschaft Sachsen, wurde für ihre Verdienste um die kulturelle Zusammenarbeit zwischen Sachsen und Polen mit der Verfassungsmedaille des Freistaates ausgezeichnet. Die Medaille wurde ihr am 15. Mai 2010 vom Landtagspräsidenten Dr. Matthias Rößler überreicht. Mit der Auszeichnung wurde auch Maria Dierschs Engagement gegen Fremdenfeindlichkeit gewürdigt. Maria Diersch war viele Jahre als Ausländerbeauftragte im Regierungspräsidium Leipzig tätig.

Medal Konstytucji Saksonii dla Marii Diersch • Maria Diersch, wiceprzewodnicząca Towarzystwa Polsko-Niemieckiego w Saksonii, została uhonorowana Medalem Konstytucji Saksonii za zasługi w dziedzinie współpracy kulturalnej między Saksonią i Polską. Odznaczenie wręczył 15 maja br. prezydent Landtagu, dr Matthias Rößler. Maria Diersch została również wyróżniona za swoje zaangażowanie przeciwko ksenofobii. Diersch była w Lipsku przez wiele lat pełnomocniczką do spraw obcokrajowców.

Donald **Tusk**

Der Geist Europas

Andrzej Taranek

Die Einzigartigkeit Europas besteht in dem Bewusstsein für Historizität, wegen dem Europa eine eigene organische Kontinuität und Identität besitzt. Weil es eine Gemeinschaft der Kooperation und der Konflikte, des Austauschs und der Sitten, und weil es kein Konstrukt von Ideologen ist, kann Europa eben den Ideologien widerstehen, sogar denjenigen – die, wie der Nationalsozialismus und Kommunismus – aus dem europäischen Geist entstanden sind, aber diesen letztendlich nicht verderben konnten.

Ich bin in Danzig zur Welt gekommen, einer Stadt, deren Vergangenheit, insbesondere des letzten Jahrhunderts, eine Lektion in Geschichte ist. Hier spielten sich all die wichtigen Dramen ab, die die Menschheit im 20. Jahrhundert erlebt hatte. Eben dieses Danzig des 20. Jahrhunderts ist mein „vertrautes Europa".

Vom Dachboden des Hauses, in dem ich wohnte, konnte man die Arbeit der Kräne der Schiffswerft beobachten, den schönen alten Bahnhof sehen, und weiter weg die Türme der Marienkirche und des Rathauses. In der unmittelbaren Nachbarschaft des Hauses befanden sich sieben Friedhöfe, zu denen Wege führten, die durch alte Hecken begrenzt waren, Zeugnisse der Gartenphantasien und des Elans der alten Danziger. Auf den Gräbern und Grabsteinen konnte man nur mit Mühe die Namen und Epitaphien lesen; hauptsächlich deutsche, aber auch polnische, russische und sogar solche mit orientalischen Halbmonden. Einer der Friedhöfe, der gepflegt und bewacht wurde, bestand aus Hunderten von Gräbern ohne Kreuze und Namen – lediglich mit Sternen und Nummer versehen. Dort sind Soldaten der Roten Armee begraben worden, Gefallene des Kampfes um Danzig 1945.

In den Jahren meiner Kindheit waren in der Stadt die Spuren des Krieges noch frisch: Ruinen, Bombentrichter, Einschusslöcher in den Fassaden der Häuser. Viele Straßenzüge wurden wiederaufgebaut oder neu errichtet, was auch eine Konsequenz der nicht weit zurückliegenden Katastrophe war. Ständig stießen wir auf Spuren einer anderen Epoche: Münzen mit einem Fisch oder Segelschiff, Küchengeschirr mit der deutschen Aufschrift „Salz", Knöpfe von Uniformen nicht mehr existierender Armeen. In Wirklichkeit trennte uns von der Epoche, aus der diese Gegenstände stammten, eine Ewigkeit.

Damals, als ich zur Schule ging oder zum Lebensmittelladen, entlang von Ruinen, entlang alter Familien- und Stadthäuser, wusste ich sicherlich noch nicht, dass dieser mein Ort auf der Erde durchtränkt ist von alter Geschichte, die uns zu Bürgern einer alten Tradition machte und nicht nur zu Bewohnern einer von vielen Städten. Erst später sollte ich erfahren, bis zu welchen europäischen Phänomenen diese Tradition zurückreicht.

Ich begann dies zu verstehen, als ich beim französischen Historiker Fernand Braudel las, dass im 16. und 17. Jahrhundert „diese zwischen der weiten Welt und der Weitläufigkeit Polens gelegene Stadt, wenn nicht das einzige, so doch das bedeutendste Tor für beide Richtungen des Handels war, für die Ein- und Ausfuhr".

Ich begann dies zu verstehen, als der englische Historiker Norman Davies Danzig als eine „enorme Anhäufung von Arbeit, Wohlstand und Kultur" charakterisierte, was „ein damals in Italien und den Niederlanden bekanntes Phänomen gewesen ist, aber in Polen absolut nicht anzutreffen war".

Ähnlich erging es mir nach der Lektüre der Erinnerungen von Johanna Schopenhauer, der Mutter des Philosophen. Beide kamen in Danzig zur Welt. Es fiel mir schwer, dieses Buch emotionslos zu lesen, da es voller Sympathie für Polen und voller

Gefühle der Verbundenheit mit Polen ist. In Johanna Schopenhauers Erinnerungen ist Danzig „ein Bestandteil des Westens, der mit Polen durch reale Interessen verbunden ist und gleichzeitig ist es auch ein Auge des Westens, das aus der Nähe seit Jahrhunderten auf Polen schaut“. (Kazimierz Brandys)

Entlang der Spuren dieser alten und langen Tradition habe ich mich unbewusst bewegt, als ich im Park von Oliva spazieren ging, zu dem mich nicht selten meine Mutter geführt hat, eine Parkanlage, die damals nach Adam Mickiewicz, einem großen Dichter der polnischen Romantik, benannt war. Ich spazierte entlang der Spuren und auf den Überresten der mittelalterlichen Zivilisation der Zisterzienser, einer Zivilisation, deren Ausdehnung – so die Ansicht von Historikern – mit den Grenzen Europas übereinstimmt.

Oft habe ich überlegt, wie es dazu kommen konnte, dass es dem Nationalsozialismus und Kommunismus nicht gelungen ist, uns das Erbe Europas zu entreißen. Man könnte meinen, dass wir auf wenig zurückgreifen konnten, um uns zu verteidigen: zerstörte Friedhöfe, den Schatten einer großen gotischen Kirche, das Läuten der Glocken des Rathausturmes ... Wir besaßen noch etwas, was jemand sehr schön als „bescheidene Würde der Bräuche“ bezeichnet hat. In meinem Fall waren es die sonntäglichen Ausflüge mit meinen Eltern zur Konditorei, die wir unternahmen, um uns von dem grauen Alltag und seiner Armut abzugrenzen. In meiner Familie war es auch das gemeinsame Musizieren an Feiertagen, was auch – so erfuhr ich später – Brauch war in Triest, München oder Utrecht (und möglicherweise bis heute dort fortlebt).

Ein solches Europa lebte in uns fort, oder zumindest lebte in uns die Treue zum Traum von Europa weiter. Der spanische Philosoph José Ortega y Gasset hat möglicherweise recht, wenn er schreibt, dass die Einzigartigkeit Europas in dem Bewusstsein für Historizität besteht, wegen dem Europa eine eigene organische Kontinuität und Identität besitzt. Weil es eine Gemeinschaft der Kooperation und der Konflikte, des Austauschs und der Sitten, und weil es kein Konstrukt von Ideologen ist, kann Europa eben den Ideologien widerstehen, sogar denjenigen – die, wie der Nationalsozialismus und Kommunismus – aus dem europäischen Geist entstanden sind, aber diesen letztendlich nicht verderben konnten.

Dennoch mussten solche Ideologien ihre Spuren in der europäischen Identität hinterlassen. Dies gilt möglicherweise besonders für jene Landstriche des Kontinents, die aus verschiedenen historischen und geografischen Gründen den Charakter von Grenzländern haben. Zweifelsohne hat der Kommunismus hier die spezifische Art widersprüchlicher Gefühle verstärkt: Wir fühlen uns in Europa als Einheimische und zugleich auch als Fremde, um hier den polnischen Literaturnobelpreisträger Czesław Miłosz zu zitieren.

Aber vielleicht ist es so, dass Europa solche Europäer braucht, für die es sowohl Heimat als auch Ausland ist, etwas Eigenes und etwas Fremdes. Vielleicht entsteht aus solchen Beziehungen und Spannungen eine bessere und menschlichere Gemeinschaft.

Verleihung des Karlspreises an Donald Tusk in Aachen
Donald Tusk otrzymuje Nagrodę Karola w Akwizgranie

All dies bildet in gewissem Maße die Grundlage für den Ausbruch der August-Ereignisse 1980 in Danzig. Das Epos der Solidarność ist nicht nur Teil meiner Biografie. Die Ereignisse, über die ich sprechen werde, sind Bestandteil der kollektiven Biografie einer Generation, die diese große Volksbewegung mitbegründet hat, eine Bewegung, die den Niedergang des Kommunismus auslöste. Heute wissen wir auch, dass dies auch der erste Schritt auf dem Weg Polens nach Europa und zu unserer Anwesenheit in der Europäischen Union war.

Die Proteste vom August 1980 begannen in Danzig, auf der Lenin-Werft. Die Geschichte legte damals am Ufer der Ostsee an, und meine Stadt bildete den Hintergrund für den großen Streik.

Doch der August 1980 begann in Danzig schon zehn Jahre früher. Dies scheint nur auf den ersten Blick paradox. 1970 formierten sich Arbeiterproteste gegen Preiserhöhungen, vor allem von Lebensmitteln. Ich war damals vierzehn Jahre alt, und somit groß genug, um zu verstehen, was um mich herum geschah. Ich wurde Zeuge von Ereignissen, die mich für mein ganzes Leben prägen sollten: Tausende von Demonstranten, die die patriotische Hymne „Warszawianka“ sangen, das brennende Komitee der kommunistischen Partei, die um sich schlagende und auf die Menschenmenge schießende Miliz, eine Menge, die sich auf Milizionäre stürzte. All dies waren Szenen wie aus den Erzählungen über Revolutionen – gute Arbeiter und böse Machthaber, Gleichheit, Brüderlichkeit, Revolution; das Gefühl großer Angst und gleichzeitig fröhlicher Euphorie. Ich fühlte mich mit diesen Menschen durch eine absolute und uneingeschränkte Solidarität verbunden.

Den Radikalismus lernten wir auf den Straßen kennen, und die Demonstrationen waren, unabhängig von ihren tragischen Folgen, für uns Jugendliche eine heilige Zeit. Diese mystische Erfahrung machte uns reicher, denn wir erkannten, dass etwas sehr Wichtiges existierte: die öffentliche Sphäre, in der sich Faszinierendes ereignen konnte. In diesen Tagen hatte niemand Zweifel, wer recht hat. Die Fähigkeit, das Gute und das Böse in der öffentlichen Sphäre zu erkennen, war eine der wichtigsten Erfahrungen des Dezembers 1970.

So etwas vergisst man nicht. Wer den Dezember 1970 in Danzig im jungen Alter

erlebt hat, wer die Panzer auf den Straßen und die Flut der Lügen in den Zeitungen gesehen hat, der ist politisch schneller reif geworden, als Altersgenossen ohne solche Erfahrungen. Ich kann mich noch gut an eine auf der Mauer gekritzelte Aufschrift erinnern, deren Sinn ich erst später verstehen sollte: Katyń! Dieses Schlagwort war das Werk des 17 Jahre alten Aram Rybicki, eines späteren Aktivisten der demokratischen Opposition. Im freien Polen war er dann Sejm-Abgeordneter und mein Freund. Vor einem Monat ist er bei der Katastrophe von Smolensk tragisch ums Leben gekommen.

Doch die Erfahrungen jener Zeit hatten auch eine andere pädagogische Dimension. Wir lernten, dass der Widerstand auf den Straßen, selbst der heftigste, zur Niederlage verurteilt sein kann, und dass Gewalt Gegengewalt hervorruft. Aus diesem Grund waren Verantwortungsbewusstsein, Organisation und eine starke Führung Bestandsteile des Ethos der Danziger Proteste von 1980. Diese Elemente schufen einen mächtigen Rahmen für die Emotionen und gaben unserem Kampf einen tiefen Sinn und eine Siegesperspektive. Wir wurden reifer.

Die August-Ereignisse und die Solidarność wurden mir zur Heimat. Sie markierten den Beginn einer großen Umwälzung und das Ende des Kommunismus. Um es genauer zu sagen: Den ersten Akkord der Veränderungen symbolisiert das Jahr 1980, den zweiten 1989.

Damals war alles sehr einfach. Wir gingen zur Solidarność wie zu einem Volksaufstand. Wir waren überzeugt, dass es sich nach langer Zeit wieder um einen siegreichen Nationalaufstand handelte. Siegreich, weil fähig zur Selbstbeschränkung, also zur Verbindung von Mut und Besonnenheit, was seit Jahrhunderten ein Prinzip des Handelns in meiner Heimatstadt ist.

Innerlich wurden wir im August 1980 unabhängig. Wer vor dem Tor der streikenden Werft stand, wird das Gefühl der Befreiung nicht vergessen, das eine Quelle der Kraft war und das uns zu besseren Menschen als sonst machte. Die Unterdrückten standen auf und erhoben ihre Häupter, um ihre eignen Rechte einzufordern. Das war ein Triumph der in uns (in unserem Geist und Körper) verborgenen Bürger über die Untertanen des kommunistischen Staates. Die Sprache erlangte wieder ihren Stolz und hörte auf, verdächtig zu ein. Klare Sätze besiegten die Lüge. Wir wurden Zeugen einer unerwarteten und bislang unbekannten ethischen Revolution. Niemand hatte Zweifel, dass in Danzig das eintrat, was Johannes Paul II während seiner ersten Pilgerreise 1979 in Polen vorausgesagt hatte. Ja, in Danzig erneuerte sich das Antlitz meines Landes.

Und so begann ein Jahrzehnt, dessen Ende 1989 den Ländern Mitteleuropas die Freiheit und Deutschland die Wiedervereinigung brachte.

Mit ihrer Schwungkraft löste die Solidarność einen enormen Prozess der politischen Reifung der Gesellschaft aus. Die Solidarność erwies sich als eine friedliche, freiheitliche und antitotalitäre politische

Karl der Große / ***Karol Wielki***

Revolution, von der ich zuvor nur träumen oder lesen konnte. Jetzt erfüllten sich vor unseren Augen Hannah Arendts Worte vom öffentlichen Glück, das frühere Generationen entdeckt hatten. Im August 1980 hatten auch wir es erfahren. Das öffentliche Glück wurde damals zu einer Erfahrung für Millionen von Polen. Die Quelle dieses Glücks war das in seiner Kraft ungewöhnliche Gefühl der Teilhabe an etwas sehr Wichtigem, Großem, das nahe war am Wunder, vergleichbar mit dem Wunder eines Obstbaums voller reifer Früchte im Winter.

Mit dem Band der Solidarność vereint, haben wir neue Wächter unserer Zukunft, mit Lech Wałęsa an vorderster Stelle, ausgewählt. Wir sagten damals: Alle für einen, einer für alle, wir sprachen ständig von der Einheit in der Vielfalt und wussten nicht, dass dies der Leitspruch der Europäischen Union ist.

Wie die Solidarność zur Heimat wurde, so wurde Danzig im August 1980 zu einer Agora. Jemand, der wie ich vom antiken Griechenland fasziniert ist, konnte mehrere Analogien erkennen. Ich weiß nicht, ob die Streikenden Erinnerungen an die Athener Bürger der Zeiten von Perikles weckten, aber sie waren, ähnlich wie die Athener, um das Gemeinwohl und die Zukunft der Polis besorgt. Die Agora entstand in den Hallen der Hüttenwerke und in den Straßenbahndepots, in den Betrieben und Universitäten, überall dort, wo sich Menschen trafen, um dem Wort „Demokratie" seinen elementaren Sinn zurückzugeben. Nebenbei lernte man die Regeln der Demokratie, und ohne Mühe wurde die Tradition der „Herrschaft des Volkes durch das Volk und für das Volk" erneuert. Diese Ideale ließ man sich, trotz Kriegsrechts, Verhaftungen und Repressionen, nicht wegnehmen. Wir entzogen der alten Ordnung ihre Rechtmäßigkeit.

Mit der Solidarność sind wir zum Europa der freien und demokratischen Nationen zurückgekehrt. Die Solidarność wurde gleichzeitig zu einer neuen europäischen Erfahrung. 1989 vollzog sich die erste symbolische Vereinigung unseres Kontinents, denn damals fiel der „Eiserne Vorhang". Die zweite, tatsächliche Vereinigung vollzog sich fünfzehn Jahre später: 2004.

Unsere Generation hatte Glück. Wir leben in besonderen Zeiten. Wir konnten unsere moralischen Vorstellungen und großen politischen Träume verwirklichen. Wir haben es geschafft. Wir konnten auch das erreichen, was ältere Generationen erstrebt hatten. Man könnte sagen, das alles geschah so schnell und war zugleich irgendwie so normal ...

Wir befinden uns heute in dem Europa eines großen gesellschaftlichen und politischen Experiments. Mutig und mit Bedacht versuchen wir, eine gewisse Einheit – deren Konturen wir noch nicht kennen – über der Vielfalt der Staaten, Nationen, Sprachen und Religionen zu schaffen. Wir sind uns bewusst, dass unsere Europa-Idee aus den ewigen Träumen von der Gemeinschaft freier Nationen und der Brüderlichkeit freier Menschen erwächst.

Aus dem Polnischen von Basil Kerski

Donald Tusk

Polens Premierminister Donald Tusk wurde mit dem diesjährigen Karlspreis zu Aachen ausgezeichnet. Dieser Essay diente ihm als Grundlage seiner Dankesrede am 13. Mai 2010 in Aachen.

Donald **Tusk**

Duch Europy

Donald Tusk und / *i* Angela Merkel in Aachen / *w Akwizgranie*

Wyjątkowość Europy polega na głębokim poczuciu historyczności, dzięki któremu ma ona swoją organiczną ciągłość i tożsamość. Dzięki temu, że jest wspólnotą współpracy i konfliktów, wymiany i obyczajów, a nie wytworem ideologów, może opierać się właśnie ideologiom, nawet tym, które – jak nazizm i komunizm – wyrosły z europejskiego ducha, ale ostatecznie nie były w stanie go zdeprawować.

Urodziłem się w Gdańsku, mieście, którego historia, zwłaszcza ostatniego stulecia, stanowi lekcję dziejów powszechnych. Tu rozegrały się wszystkie ważniejsze dramaty, które ludzkość przeżyła w XX wieku. To właśnie taki Gdańsk jest moją „rodzinną" Europą.

Z poddasza domu, w którym mieszkałem, można było obserwować pracę dźwigów stoczniowych, piękny stary dworzec kolejowy, a dalej wieże kościoła Mariackiego i Ratusza. W najbliższej okolicy było siedem cmentarzy, do których wiodły ścieżki wyznaczone przez wiekowy żywopłot, ślad botanicznej fantazji i rozmachu dawnych gdańszczan. Na grobowcach i nagrobkach z trudem odczytać można było nazwiska i epitafia, głównie niemieckie, ale też polskie, rosyjskie, a nawet ze wschodnimi półksiężycami. Jeden z cmentarzy, pielęgnowany i strzeżony, zapełniony był setkami grobów bez krzyży i nazwisk, tylko z gwiazdami i numerami. Pochowano tu żołnierzy Armii Czerwonej, którzy polegli przy zdobywaniu Gdańska w 1945 roku.

W latach mojego dzieciństwa ślady wojny były w mieście jeszcze świeże: ruiny, leje po bombach, liszaje po kulach na tynkach kamienic. Wiele ulic odbudowano i budowano, co przecież też było konsekwencją nie tak odległego w czasie kataklizmu. Co rusz natrafialiśmy jednak na ślady innej epoki: jakieś monety z rybą lub żaglowcem, naczynia z gotyckim napisem „Salz", guziki od mundurów żołnierzy nieistniejących armii. Ale, tak naprawdę, od tamtej epoki, z której pochodziły te przedmioty, dzieliła nas wieczność.

Pewnie wtedy, gdy szedłem do szkoły lub do sklepu, mijając raz ruiny, a czasem stare domy i kamienice, nie wiedziałem, że to moje miejsce na Ziemi przesiąknięte jest starą historią, która czyniła nas obywatelami długiej tradycji, a nie tylko mieszkańcami jednego z miast. Znacznie później przyszło mi zrozumieć, do jakich fenomenów europejskich sięga ta tradycja.

Zaczynałem to rozumieć, kiedy czytałem u francuskiego historyka Ferdynanda Braudela, że w XVI i XVII wieku „to miasto – położone między szerokim światem a bezmiarem Polski – jest, jeśli nie jedyną, to w każdym razie najdonioślejszą bramą dla obu kierunków handlu, wwozu i wywozu".

Zaczynałem to rozumieć, kiedy angielski historyk Norman Davies opisywał Gdańsk jako „ruchliwe mrowisko pracy, dobrobytu i kultury", co było „zjawiskiem dobrze znanym we Włoszech czy Niderlandach, lecz absolutnie niespotykanym w Polsce".

Podobnie było przy lekturze wspomnień Joanny Schopenhauer, matki filozofa – obydwoje urodzili się w Gdańsku. Trudno czytać bez emocji te strony, przesycone sentymentem i przywiązaniem do Polski. Pod jej piórem Gdańsk jawi się jako „cząsteczka Zachodu powiązana z Polską realnymi interesami, a jednocześnie oko Zachodu patrzące na nią z bliska od kilkuset lat" (Kazimierz Brandys).

Nieświadomie zwiedzałem tropy tej starej i długiej tradycji podczas spacerów w oliwskim parku, do którego nierzadko prowadziła mnie mama, a który nosił już wtedy imię Adama Mickiewicza, wielkiego poety polskiego romantyzmu. Chodziłem po śladach i wśród pozostałości średniowiecznej cywilizacji cysterskiej, o której historycy powiadają, że zasięg jej ośrodków pokrywa się z granicami Europy.

Zastanawiałem się nie jeden raz, jak to się stało, że nazizm i komunizm nie zdołały wydziedziczyć nas z Europy. Wydawać by się mogło, że na swoją obronę mieliśmy

Fot. MHMG

Izaak van der Blocke, Apotheose des Bündnisses Danzigs mit dem Königreich Polen
Izaak van der Blocke, Apoteoza Gdańska **(1608, Danzig / *Gdańsk*)**

tak niewiele: zrujnowane cmentarze, cień wielkiego gotyckiego kościoła, bicie dzwonów na ratuszowej wieży... Mieliśmy jeszcze coś, co ktoś pięknie nazwał skromną dostojnością obyczaju. W moim wypadku były to niedzielne wyprawy z rodzicami do cukierni, podejmowane wbrew szarości i biedzie dnia powszedniego. W mojej rodzinie było to wspólne muzykowanie przy okazji świąt, co – jak się później dowiedziałem – praktykowano (a może praktykuje się do dzisiaj?) w Trieście, Monachium czy Utrechcie.

Taka Europa była w nas, a przynajmniej była w nas wierność marzeniu o Europie. Może rację ma Ortega y Gasset, który pisze, że wyjątkowość Europy polega na głębokim poczuciu historyczności, dzięki któremu ma ona swoją organiczną ciągłość i tożsamość. Dzięki temu, że jest wspólnotą współpracy i konfliktów, wymiany i obyczajów, a nie wytworem ideologów, może opierać się właśnie ideologiom, nawet tym, które – jak nazizm i komunizm – wyrosły z europejskiego ducha, ale ostatecznie nie były w stanie go zdeprawować.

Jednak takie ideologie musiały odcisnąć ślad na europejskiej tożsamości. Może dotyczy to zwłaszcza tych połaci kontynentu, które z powodu różnych racji historycznych i geograficznych mają charakter pogranicza. Komunizm bez wątpienia wzmocnił tu pewien rodzaj podwójnych uczuć: czujemy się w Europie zarazem tubylcami jak i cudzoziemcami, że odwołam się do polskiego noblisty Czesława Miłosza.

Ale może jest tak, że Europie potrzebni są tacy Europejczycy, dla których jest ona zarazem ojczyzną i zagranicą, czymś swoim i czymś obcym. Może z takich relacji i napięć wyrasta wspólnota coraz lepsza i bardziej ludzka.

Być może wszystko to w jakiejś mierze złożyło się również na genezę Sierpnia 1980 roku w Gdańsku. Epopeja Solidarności jest nie tylko fragmentem mojej biografii. Wydarzenia, o których będę mówił składają się bowiem na zbiorową biografię pokolenia, które współtworzyło ten wielki ruch społeczny, dzięki któremu rozpoczął się upadek komunizmu, dzisiaj wiemy także, że był to pierwszy krok na polskiej drodze do Europy i naszej obecności w Unii Europejskiej.

Sierpień 1980 roku zaczął się w Gdańsku, w stoczni im. Lenina. Historia przystanęła wtedy nad brzegiem Bałtyku, a moje miasto użyczyło swojego krajobrazu za tło wielkiego strajku.

Ale Sierpień zaczął się w Gdańsku dziesięć lat wcześniej. To pozorny paradoks. Wybuchł wtedy robotniczy protest przeciwko podwyżkom cen, zwłaszcza żywno-

ści. Miałem czternaście lat, więc byłem wystarczająco dorosły, by rozumieć, co się wokół mnie dzieje. Widziałem wówczas sceny, które uformowały mnie na całe życie. Tysiące demonstrantów śpiewających „Warszawiankę", płonący Komitet partii komunistycznej, milicjanci bijący kogo popadnie, strzelający do tłumu i przez ten tłum rozszarpywani. Wszystko to było jak z czytanek o rewolucji. Dobrzy robotnicy i zła władza. Równość, braterstwo, rewolucja. A równocześnie uczucie wielkiego strachu i radosnej euforii. Czułem z tymi ludźmi absolutną i bezwzględną solidarność.

Radykalizmu uczyliśmy się na ulicach, a demonstracje, niezależnie od ich tragicznego żniwa, były dla nas młodych świętym czasem. Z tego misterium wyszliśmy jakoś bogatsi, dostrzegliśmy mianowicie, że istnieje coś bardzo ważnego: przestrzeń publiczna, w której dziać się mogą sprawy porywające. W tych dniach nikt nie miał wątpliwości, po czyjej stronie jest racja. Zdolność rozpoznawania dobra i zła w publicznej przestrzeni – to jedno z najważniejszych grudniowych doświadczeń.

Takich rzeczy się nie zapomina. Kto przeżył Grudzień w Gdańsku, mając kilkanaście lat, kto widział czołgi na ulicach i zalew kłamstw w gazetach, ten dojrzewał politycznie bez porównania szybciej niż rówieśnicy pozbawieni podobnych doświadczeń. Pamiętam napis wypisany niezdarnymi literami na murze, którego sens zrozumiałem dopiero później: Katyń! Był dziełem siedemnastoletniego Arama Rybickiego, potem działacza opozycji demokratycznej, a w wolnej Polsce posła na Sejm i mego przyjaciela. Zginął on tragicznie miesiąc temu w katastrofie pod Smoleńskiem.

Ale tamto doświadczenie miało także inny wymiar edukacyjny. Zapamiętaliśmy, że konfrontacja uliczna, nawet najgwałtowniejsza, może być przegrana, że przemoc rodzi przemoc. Dlatego w etos gdańskiego buntu w 1980 roku wpisane były odpowiedzialność, organizacja i silne przywództwo. One stworzyły mocne ramy dla emocji i dały nam wszystkim głębokie poczucie sensu walki, wizję wygranej. Dojrzewaliśmy.

Sierpień i Solidarność stały się moją ojczyzną. To był początek wielkiej zmiany i końca komunizmu. A nazywając rzecz dokładniej: pierwszym akordem tej zmiany był rok 1980, drugim 1989.

Wtedy wszystko było proste. Szliśmy do Solidarności jak do powstania narodowego. Byliśmy przekonani, że mamy wręcz do czynienia z pierwszą od pokoleń zwycięską insurekcją. Zwycięską, bo zdolną do samoograniczenia, czyli łączenia odwagi z rozwagą, co stanowi od wieków zasadę postępowania mego rodzinnego miasta.

W sierpniu staliśmy się wewnętrznie niepodlegli. Kto był pod bramą strajkującej stoczni, ten nie zapomni uczucia wyzwolenia, które dodawało sił i czyniło być może lepszymi niż zwykle jesteśmy. Zniewoleni wstali z kolan i wysoko podnieśli głowy domagając się swoich praw. To był tryumf obywateli w nas samych (w naszych umysłach i sercach) nad poddanymi państwa komunistycznego. Słowa odzyskały wtedy godność i przestały być podejrzane. Mowa jasna zwyciężyła nad kłamstwem. Na naszych oczach dokonała się nieoczekiwana i niespotykana rewolucja etyczna. Nikt nie miał wątpliwości, że właśnie w Gdańsku spełnił się akt zapowiedziany przez Jana Pawła II podczas jego pierwszej wizyty w Polsce. Tak, w Gdańsku odnowiło się oblicze mego kraju.

Karl der Große / ***Karol Wielki***

W ten sposób rozpoczęła się dekada, której finał w 1989 roku przyniósł wolność krajom Europy Środkowej i zjednoczenie Niemiec.

Solidarność swoim impetem uruchomiła olbrzymi proces politycznego dojrzewania społeczeństwa. Okazała się pokojową rewolucją polityczną, wolnościową i antytotalitarną, o której mogłem wcześniej tylko marzyć lub ... czytać. Teraz na naszych oczach spełniały się słowa Hannah Arendt o szczęściu publicznym, które odkrywały minione pokolenia. W sierpniu odkryliśmy je dla siebie. Szczęście publiczne stało się wtedy udziałem milionów Polaków. Jego źródłem było niezwykłe w swej mocy poczucie uczestnictwa w czymś bardzo ważnym, wielkim, bliskim cudu jak owocowanie drzewa owocowego w zimie.

Połączeni więzami Solidarności wybraliśmy nowych strażników naszej przyszłości z Lechem Wałęsą na czele. Mówiliśmy wtedy: wszyscy za jednego, jeden za wszystkich, powtarzaliśmy słowa o jedności w różnorodności, nie wiedząc nawet, że taka jest dewiza wspólnoty europejskiej.

Jeśli Solidarność była ojczyzną to Gdańsk w sierpniu 1980 roku stał się agorą. Ktoś zafascynowany starożytnymi Grekami, jak ja, z łatwością mógł dostrzec niejedną analogię. Nie wiem, czy strajkujący przypominali Ateńczyków z czasów Peryklesa, ale byli podobnie jak oni zatroskani nad wspólnym dobrem i przyszłością polis. Odzyskana wolność uobywatelniała każdego. Agora powstawała w halach hutniczych i zajezdniach tramwajowych, zakładach pracy i uniwersytetach, wszędzie tam gdzie spotykali się ludzie, by przywrócić elementarny sens pojęciu demokracji. Jej reguł uczono się w ruchu, lecz bez trudu odnawiano tradycję „rządów ludu przez lud dla ludu". I tych ideałów nie pozwolono już sobie odebrać, mimo stanu wojennego, aresztowań i represji. Odmówiliśmy prawomocności staremu porządkowi.

Za sprawą Solidarności powróciliśmy do Europy wolnych i demokratycznych narodów. Solidarność stała się zarazem nowym doświadczeniem europejskim. W 1989 roku dokonało się pierwsze symboliczne zjednoczenie naszego kontynentu, bo upadła „żelazna kurtyna". Drugie, rzeczywiste dokonało się piętnaście lat później w 2004 roku.

Nasze pokolenie miało szczęście. Żyjemy w niezwykłych czasach. Mamy za sobą racje moralne i wielkie polityczne marzenia. Udało się. Osiągnęliśmy to, czego oczekiwały również wcześniejsze pokolenia. Można powiedzieć, że to wszystko stało się tak nagle, a zarazem jakby zwyczajnie...

Odnajdujemy się dzisiaj w Europie wielkiego eksperymentu społecznego i politycznego. Odważnie i z rozwagą podejmujemy próby zbudowania pewnej całości – której kształtu jeszcze nie znamy – nad wielością państw, narodów, języków i religii. Ale pamiętamy, że nasza idea Europy wyrasta z odwiecznych marzeń o wspólnocie wolnych narodów i braterstwie wolnych ludzi.

Donald Tusk

Publikowany wyżej esej premiera Donalda Tuska był podstawą jego wystąpienia, które wygłosił podczas uroczystości przyznania mu nagrody Karola Wielkiego w Akwizgranie 13 maja 2010 roku.

Zdzisław **Najder**

Nach der Katastrophe von Smolensk

Piotr Mordel

Der 10. April 2010 verursachte eine kollektive und eschatologische Erschütterung. Die Anzahl und Zusammensetzung der Opfer der Katastrophe führte dazu, dass sich hunderttausende Polen persönlich betroffen fühlten: Es waren Menschen gestorben, die sie selbst kannten. Sie waren unerwartet gestorben. Dieses Sterben zwang jeden einzelnen dazu, sich die drängende Frage nach dem Sinn seines Lebens zu stellen. Einem Sinn fern allen äußeren Scheins, Distinktionen, Rollen, Vorrechten und Ehren. Diese plötzliche Konfrontation mit den letzten Dingen hat ein sehr umfassendes Gemeinschaftsgefühl entstehen lassen, das nicht nur Polen verband. Ich war erstaunt, wie wenig davon in einem Land die Rede war, das sich so durchgehend und vorbehaltlos als christlich versteht.

Der Totentanz war ein von der spätmittelalterlichen religiösen Malerei oft aufgegriffenes Motiv. Er wurde unterschiedlich dargestellt. Ganz typisch ist, wie etwa auf einem Fresko im burgundischen La Ferté-Loupière zu sehen, dass sich zwei Reihen von Tänzern ineinander verschränken. Die erste Reihe besteht aus Repräsentanten der verschiedenen Stände: von Königen, Bischöfen, Fürsten, Rittern und Geistlichen bis hin zu Kaufleuten und Bauern. Alle sind sie in prächtige Farben gekleidet, tragen Kronen und Bischofsmitren, prahlen mit ihren Waffen und Geldbeuteln, mit ihren Korngarben und Säcken, glänzen mit ihrem Erfolg. Die zweite Reihe besteht aus denselben Personen, aber nunmehr in der Gestalt von Gerippen oder unbekleideten Toten. Der Sinn ist unmissverständlich: *Memento mori*, im Tode sind wir alle gleich. Wenn unser hiesiges Dasein zu Ende geht, wird nicht über unsere irdischen Ehren und Reichtümer geurteilt, sondern über unsere Seelen.

Die Gegenwart hat den Tod aus der alltäglichen Erfahrung verbannt. Die Menschen hören nicht auf, zu sterben, aber sie tun das im Verborgenen, und der Gedanke daran ist aus dem Bewusstsein gedrängt. Zwar wissen wir noch, dass in unserem irdischen Dasein nichts sicher ist außer seinem Ende, aber der Tod ist nicht mehr in den Alltag integriert. Der moderne Mensch lässt sich nur unter Zwang mit dem „Jenseits“ konfrontieren. Übrigens beten wir seit Hunderten Jahren darum, vor einem „plötzlichen und unerwarteten Tod“ bewahrt zu werden. So als ob der Tod eines krebskranken Menschen weniger schmerze, als ob sich der Gedanke an den Sinn des Lebens dabei weniger dringlich stelle. In Wirklichkeit ist der Tod in einem solchen Fall nur weniger erschütternd, wenn er dann eintritt. Er lässt einem Zeit, sich innerlich vorzubereiten. Ein plötzlicher Tod macht Angst, denn er verdeutlicht, wie ungeheuer ratlos wir doch gegenüber den letzten Dingen sind.

Der 10. April brachte eine solche kollektive und eschatologische Erschütterung. Die Anzahl und Zusammensetzung der Opfer der Katastrophe führte dazu, dass sich hunderttausende Polen persönlich betroffen fühlten: Es waren Menschen gestorben, die sie selbst kannten. Sie waren unerwartet gestorben. Dieses Sterben zwang jeden einzelnen dazu, sich die drängende Frage nach dem Sinn seines Lebens zu stellen. Einem Sinn fern allen äußeren Scheins, Distinktionen, Rollen, Vorrechten und Ehren. Denn, wie uns der Totentanz gemahnt, nicht König noch Bischof beendet sein irdisches Dasein, sondern der Mensch. Seine besondere Stellung in der Gesellschaft hat seinen Körper keineswegs gegen die Vergänglichkeit gewappnet. In jenem letzten Augenblick sind wir alle gleich. Unabhängig davon, ob wir glauben, dass wir „vor dem Angesicht des Höchsten“ stehen werden oder dass wir ins Nichts übergehen.

Diese plötzliche Konfrontation mit den letzten Dingen hat – hätte – ein sehr umfassendes Gemeinschaftsgefühl entstehen lassen, das nicht nur Polen verband. Ich war erstaunt, wie wenig davon in einem Land die Rede war, das sich so durchgehend und vorbehaltlos als christlich versteht, nicht einmal in den Äußerungen der hohen Geistlichkeit. Nach den Zeitungsberichten zu urteilen, kümmerten sich einige überhaupt nicht um die letzten Belange und nutzten den Anlass für ganz diesseitige Aufrechnungen. Doch nicht mit den Verstorbenen, sondern mit denen, die ihnen angeblich nicht die gebührende Ehre erwiesen hatten. Aufgerechnet wurde keinesfalls im Sinne der Barmherzigkeit, die schließlich jedem unabhängig von seinen Verdiensten zusteht. Stattdessen bekamen wir erstaunlicherweise von dem „unfreien Polen" zu hören, dessen „Befreiung" angeblich erst in den letzten Jahren stattgefunden habe. Nicht das Nachdenken über die letzten Dinge, sondern aktuelle politische Belange begleiteten die Totenfeiern.

Ein weiterer Beleg für die Oberflächlichkeit der polnischen geistlichen und religiösen Kultur, von der etwa Czesław Miłosz schrieb? Ich war darin nie seiner Meinung. Was heißt denn „Oberflächlichkeit", wenn Menschen unvermittelt und vorbehaltlos bereit sind, Opfer zu bringen? Davon abgesehen, ist der polnische Totenkult doch kein Strohfeuer; unsere Friedhöfe bezeugen das. Ich meine, dass darin eher die unserer Kultur innewohnende Neigung zum Ausdruck kommt, sich an Konkretes zu halten, also nicht an den Tod als Negierung des Daseins, sondern an das Ableben eines bestimmten Menschen zu denken. Dieser Hang zum Konkret-Anschaulichen hat seine Vorzüge (darauf gründete sich die Lemberg-Warschauer Philosophische Schule), aber er führt auch dazu, allzu leichthin vom Wesen der Sache zu ihrem zufälligen Äußeren überzugehen. Von der Seele zu ihrer vergänglichen Gewandung. Und wer denn, wenn nicht ein Bischof, soll im Augenblick der Krise die Menschen aufrütteln und an diesen Unterschied erinnern, den der Totentanz so unzweideutig offenbart? Schade, der besondere Augenblick dauerte so kurz und schade, dass anstelle der letzten Dinge wieder einmal so leichthin nur das vergängliche Äußere wahrgenommen wurde.

Schlimmer noch, augenblicklich, geradezu blitzartig war man bereit, den Tod mit Hilfe von Verschwörungstheorien zu banalisieren, die Erschütterung durch ihn mit der allerprimitivsten aller möglichen Erklärungen abzuhaken: „Die da" haben sie umgebracht. Zu Mahnung und Trost erlaube ich mir anzumerken, dass vor zwanzig Jahren jeder vierte Wähler seine Stimme für Stanisław Tymiński abgab, der sich ähnlicher Sprache bediente, wie die „wahrhaften Patrioten" heute ... Auch damals war es das Misstrauen, das seine Anhänger um ihn scharte. Heute sind wir viel stärker in der Gegenwart angekommen, und dennoch treibt das Misstrauen immer noch die Gesellschaft um.

Schmerzhafter Verlust

Die geplante Teilnahme des polnischen Staatspräsidenten an der zweiten Jahrestagsfeier auf dem Friedhof von Katyn innerhalb von vier Tagen war eine Selbstverständlichkeit. Lech Kaczyński sollte in zwei

Ryszard Kaczorowski

Eigenschaften dort sein: als Staatsoberhaupt und als Oppositionsführer. Ganz offenkundig war die Präsidentendelegation als mächtiges Gegengewicht zu der nach Stärke und Ämtern bescheidenen Equipe zusammengestellt worden, die am 7. April den Ministerpräsidenten begleitet hatte. Und dann geschah es.

Mitglieder der unglücklichen, aus teilweise selbstverständlichen Gesichtspunkten zusammengesetzten Delegation waren bemerkenswerterweise auch zwei Personen, die der tragischen Gruppe ganz und gar nicht zufällig angehörten. Ich bekenne, dass ich diese beiden besonders schätzte und mochte. Ihr Verlust geht mir besonders nahe.

Ryszard Kaczorowski war der älteste unter den Umgekommenen. Sein Lebenslauf hätte für mehr als einen verdienten Polen ausgereicht. Er flog in zwei Eigenschaften nach Smolensk: als Repräsentant derjenigen, die sich vor 67 Jahren weigerten, das von den Deutschen aufgedeckte Verbrechen zu verschweigen, und die für ihre Widersetzlichkeit einen hohen Preis zahlten, und als personifiziertes Bindeglied zwischen der Zweiten und der Dritten Unabhängigen Republik.

Als am 3. März 1940 Stalin, Kalinin, Molotow, Mikojan und Woroschilow die dann von Kalinin gutgeheißene Entscheidung über die Ermordung von mehr als 25.000 in Gefangenschaft befindlichen polnischen Staatsangehörigen unterschrieben, war der damals zwanzigjährige Pfadfinderführer Ryszard Kaczorowski Kommandant der Untergrundbewegung im Bezirk Białystok. Nach seiner Verhaftung durch den NKVD vier Monate später wurde er am 1. Februar 1941, also bereits nach dem Mord, genannt Mord von Katyn, zum Tode verurteilt. Das Urteil wurde in eine zweijährige Lagerhaft umgewandelt. Zusammen mit der Anders-Armee verließ er die UdSSR. Nach dem Krieg, in dem er auch bei Monte Cassino kämpfte, ließ er sich als politischer Emigrant in England nieder.

In der Menge, die in Warschau an seinem Sarg vorüberzog, um ihm die letzte Ehre zu erweisen, waren viele, die erst nach seinem Tod erfuhren, dass er der „letzte Präsident der Zweiten Republik" gewesen war. Und nur wenige wussten, dass Ryszard Kaczorowski persönlich dafür Sorge getragen hatte, zwischen der Zweiten und der Dritten Republik eine personelle und institutionelle Verbindung herzustellen. Im Herbst 1990 wurde eine solche keineswegs allgemein für notwendig erachtet.

Damals war bereits der Präsidentschaftswahlkampf angelaufen. Ich war in dieser Zeit Leiter des gesamtpolnischen Bürgerkomitees, für diese Aufgabe von Lech Wałęsa abgestellt. Ich versuchte mit wechselndem Erfolg, die Neutralität des Komitees zu wahren. Die Aufgabe war allein schon deshalb schwierig, weil einige Präsidentschaftskandidaten wie Roman Bartoszcze und Tadeusz Mazowiecki zu seinen Mitgliedern gehörten. Ich hatte jedoch keine Zweifel, dass der Vorsitzende der „Solidarność" schließlich gewinnen müsse. Im September 1990 erhielt ich aus Paris einen Brief von meinem Freund und vormaligen Stellvertreter in der polnischen Redaktion des Senders Freies Europa, dem alten Emigranten (und zukünftigen polnischen Botschafter in Brüssel) Andrzej Krzeczunowicz. Er meinte, es sei doch der Mühe wert, eine Brücke zwischen der politischen Emigration und der im Aufbau befindlichen neuen Republik zu schlagen. Ich schlug vor, Lech Wałęsa solle für den Fall seines Wahlsieges ankündigen, Ryszard Kaczorowski nach Polen einzuladen, um die Hoheitszeichen der Zweiten Repu-

blik zu übergeben. Ich schlug ebenso vor, diese Möglichkeit jedem zu geben, der die polnischen Präsidentschaftswahlen gewinnen würde. Diese Idee fand die Unterstützung von Jan Olszewski und Wojciech Włodarczyk aus dem Bürgerkomitee, daraufhin auch von Jarosław Kaczyński und Jacek Merkel aus Wałęsas Wahlkomitee, schließlich nach kurzem Zureden ebenso von Lech Wałęsa selbst.

Am 12. Oktober flog ich nach London. Nach ganztägigen Beratungen mit Leuten, die ich von früher her kannte – mit Ryszard Kaczorowski, mit seinem Vorgänger Edward Raczyński, mit Zygmunt Szadkowski, dem Vorsitzenden des Nationalrates der Republik (d. h. des Sejms in der Emigration) und mit anderen, unterzeichneten wir ein Kommuniqué, dass „zwischen dem Präsidenten der Republik, Ryszard Kaczorowski, und dem zu diesem Zweck aus Warschau angereisten Vorsitzenden des Bürgerkomitees bei Lech Wałęsa, Dr. Zdzisław Najder, Gespräche stattgefunden haben. Der Präsident erklärte seine Bereitschaft, sich nach der Durchführung der polnischen Präsidentschaftswahlen auf Einladung des neu gewählten Präsidenten nach Warschau zu begeben, um die Hoheitszeichen der rechtmäßigen Präsidentschaft der Zweiten Republik zu übergeben."

Ich erlaube mir, aus meinen eigenen Erinnerungen zu zitieren: „Es wurde bereits dunkel, als wir im mir gut bekannten Präsidentenbüro im sogenannten Londoner ‚Schloss' am Eaton Place unsere Unterschriften unter den kalligraphierten Bogen des Kommuniqués setzten. Ich war tief gerührt, und ich empfand, dass die am selben Tisch sitzenden älteren Herren, Veteranen des Zweiten Weltkriegs, die seit 1939 oder 1944 nicht mehr den polnischen Boden betreten und sicher oft gedacht hatten, sie würden niemals in ein freies Vaterland zurückkehren, auch einen ergreifenden und erhebenden Moment erlebten. Das im Augenblick zuvor unterschriebene Dokument bedeutete, dass sie bereit waren, ihre Mission als erfüllt zu betrachten."

Zu meinem Bedauern musste ich feststellen, dass die Idee, die Kontinuität zwischen der Zweiten und der Dritten Republik hervorzuheben, weder auf Verständnis noch Entgegenkommen traf. Die meisten Blätter in Polen, allen voran die unverhüllt ironische „Gazeta Wyborcza", verhielten sich ablehnend. Die ganze Unternehmung wurde als Wahlkampftrick hingestellt, man machte sich über die Emigration, über Wałęsa und mich lustig. Auch viele Emigrantenzirkel äußerten ihre Zweifel. Jerzy Giedroyc war dagegen. Aus der Umgebung von Ministerpräsident Mazowiecki begriff wohl nur Aleksander Hall den Sinn des Unternehmens. Dieser offenbare Mangel an historischem Bewusstsein war peinlich. Umso wertvoller war der vernunftgeleitete Mut Ryszard Kaczorowskis und anderer Persönlichkeiten aus der Londoner Emigration, die ihr Vertrauen auf die Veränderungen in Polen setzten.

Dass nach dem Wahlsieg Lech Wałęsas die Londoner Erklärung umgesetzt und am 22. Dezember im Warschauer Königsschloss die Insignien feierlich überreicht wurden, verdanken wir der entschlossenen Haltung Jarosław Kaczyńskis, damals Chef der Präsidentenkanzlei. Er hatte die Tragweite des Aktes verstanden und besaß ein gutes Gespür für den historischen Augenblick. Dass zwanzig Jahre danach beide Präsidenten an Bord der verunglückten Tupolew 154 waren, war also mit Blick auf die Geschichte der polnischen Staatsinstitutionen kein Zufall, sondern ein Symbol.

Damit jedoch die Reise nach Smolensk überhaupt stattfinden konnte, damit der Ministerpräsident und anschließend der Präsident einen Grund hatten, dorthin zu fliegen, musste der Friedhof von Katyn geschaffen werden, die stattlichste, schön angelegte zeitgenössische Grabstätte in Russland, so voller Gräber der Ermordeten. Dieser Friedhof ebenso wie die Glocke von Katyn und die Feierlichkeiten dieses Jahres waren die Krönung von achtzehn Jahren Arbeit eines einzigartigen Menschen – Andrzej Przewoźniks. Dafür hatte er Tausende Stunden über alten Papieren verbringen, Dutzende von Reisen anstellen, endlose Verhandlungen führen müssen, die manchmal dramatisch verliefen. Seine auf Grundsätzen fußende Klugheit und vernunftgeleitete Diplomatie, sein ungeheures Wissen und unermüdliche Geduld, die zurückhaltende Beharrlichkeit des Staatsbeamten und den großen persönlichen Charme eines bescheidenen Menschen hatte es dazu gebraucht.

Ich vertraue darauf, dass der zukünftige Präsident die Anerkennung und Dankbarkeit der Polen dadurch aussprechen wird, dass er Andrzej Przewoźnik posthum den Orden vom Weißen Adler verleiht, den er schon längst verdient hat.

Emotionalisierung der Politik

Die Katastrophe von Smolensk betraf unmittelbar die Polen, aber sie hatte internationale Auswirkungen. Der gleichzeitige Tod so vieler wichtiger Persönlichkeiten unseres öffentlichen Lebens ruft in Polen die heftigsten Gefühle wach. Er emotionalisiert den Präsidentschaftswahlkampf in einer ungesunden Weise. Außerhalb Polens geht dieser Aspekt der Katastrophe jedoch nur wenige an: Er ist eine innere Angelegenheit Polens. Besonders bei unseren unmittelbaren Nachbarn und in der gesamten Europäischen Union stoßen hingegen die Veränderungen im Tonfall der polnisch-russischen Beziehungen auf breites Interesse. Denn die unerwartetste Folge der Flugzeugkatastrophe war, dass die russische Regierung plötzlich eine Diskussion über die stalinistischen Verbrechen einleitete. Unter diesen unvorhersehbaren und schrecklichen Umständen wurde Andrzej Wajdas Katyn-Film innerhalb weniger Tage von mehr Fernsehzuschauern als in der gesamten Zeit seit seiner Entstehung gesehen. Und dazu noch von Zuschauern, die vorher nie mit dieser Thematik konfrontiert gewesen waren.

Wir wissen nicht, ob sich das länderübergreifende Interesse an dem Mord von Katyn und seine Täter länger halten wird. Wir wissen nur, dass das Thema in Russland selbst nicht verschwindet. Zbigniew Herbert lässt sein Gedicht „17. September" [1939, der Tag des Einmarsches sowjetischer Truppen in Ostpolen, A.d.Ü.] mit den Worten enden: „damit jene die nach uns kommen sie wieder lernen / die schwierige kunst – die vergebung der schuld." Das Gedicht ist Józef Czapski gewidmet, dem Autor des ersten Buches über den Mord von Katyn, einer großen Autorität in der polnischen politischen Emigration und zugleich einem unermüdlichen Fürsprecher der Versöhnung und Verzeihung. Von derartigen Stimmungen konnten Czapski und Herbert nur träumen. Die Polen haben an das Gewissen der Russen gerührt, im Namen der Gerechtigkeit nicht nur für sich, sondern auch für die Russen selbst.

Louis Pasteur hat einmal gesagt, der Zufall begünstige die Vorbereiteten. Die Katastrophe von Smolensk war, unabhängig von ihren konkreten menschlichen oder flugtechnischen Ursachen, ein makabrer Zufall. Polen aber war vorbereitet. Die Russen wurden zur Geschichtsstunde an die Schultafel vorgerufen.

Für die Regierung des unabhängigen polnischen Staates begann eine politisch-moralische Erprobung am 13. April 1943, als die Deutschen ihre Entdeckung der Massengräber bei Smolensk öffentlich machten. Ministerpräsident Tomasz Arciszewski, ein altgedienter Sozialist, Teilnehmer von Anschlägen im Revolutionsjahr 1905, gab im Frühjahr 1943 nicht dem britischen Druck nach („Zieht Ihr die Deutschen wirklich den Russen vor?", an diese den Polen gestellte Frage erinnerte sich unlängst Mi-

nister Jacek Rostowski), ebenso wenig wie dem amerikanischen. Die polnische Regierung im Exil hängte sich nicht an die deutsche Propagandakampagne an, sondern wandte sich an das Internationale Komitee vom Roten Kreuz mit der Bitte, die Angelegenheit zu untersuchen. Das reichte Moskau als Vorwand, um die diplomatischen Beziehungen abzubrechen; dem schlossen sich nach Jalta 1945 London und Washington an. Die britische Zensur unterband Veröffentlichungen über Katyn. Noch 1985 wurde britischen Offizieren untersagt, offiziell an den Feierlichkeiten teilzunehmen, die an das Verbrechen erinnerten ...

Polnische politische Emigranten sammelten jahrzehntelang Daten und Dokumente, hielten die Erinnerung wach und lieferten Erklärungen. Die Liste der Autoren, angeführt von Józef Czapski, Władysław Anders und Józef Mackiewicz, ist lang. Nach Jahren vieler Schwierigkeiten und Absagen wissenschaftlicher Verlage veröffentlichte Janusz K. Zawodny, Teilnehmer des Warschauer Aufstandes, das erste Buch zum Thema in den Vereinigten Staaten. Später folgten Wissenschaftler in Polen selbst dem Beispiel. Andrzej Przewoźnik arbeitete bis zum letzten Augenblick an dem neusten Buch zum Thema; im Februar erzählte er mir, dass weit über einhundert neue Namen der Liste der Opfer zugefügt werden konnten. Alles war dokumentiert, und es gab eine beharrliche Erinnerung an die Wahrheit. Andrzej Wajdas bewegender und zugleich didaktischer Film wurde zu einem Symbol dieses Erinnerns.

Zum Glück gab es daneben auch Bemühungen um die Aufnahme des Dialogs. Wenn das Unglück sich ein Jahr früher ereignet hätte, wäre es in eine Zeit gefallen, in der die polnische und die russische Regierung überhaupt nicht miteinander sprachen. Zu unserem Nachteil. Die Einladung Wladimir Putins nach Danzig zu den Jahrestagsfeiern im September 2009 war als Türöffner für die polnisch-russische Verständigung notwendig. Ich erinnere daran, dass sowohl diese Einladung als auch die spätere Annahme der Einladung des russischen Ministerpräsidenten nach Katyn aus parteipolitischer Taktik als den polnischen Staatsinteressen abträglich kritisiert wurden. Die Verunglückung der Präsidentenmaschine veränderte die Sichtweise und verlieh dem Gang der Ereignisse einen eindeutigen Sinn und nationale Bedeutung.

Die Smolensker Tragödie vom 10. April war ein dramatischer Aufschrei – aber sie teilte nichts Neues mit. Sie brachte in die polnisch-russischen Beziehungen keinen neuen Inhalt ein. Die Ansprache, die Präsident Lech Kaczyński vorbereitet hatte, war im Wesentlichen eine Wiederholung des bekannten polnischen Standpunktes in Sachen des Verbrechens an sich wie auch der Notwendigkeit, es abschließend aufzuklären. Das, was Anfang April 2010, beim damaligen Stand der Beziehungen zwischen Warschau und Moskau, gesagt werden konnte, das war bereits in der ausgezeichneten Rede Donald Tusks drei Tage vor dem Unglück gesagt worden, darunter die einprägsamen Worte von den „leeren Augenhöhlen der Schädel", die voller Erwartung auf uns blicken.

Ehrenwache an den Särgen des Präsidentenpaares in Warschau
Warta honorowa przy trumnach pary prezydenckiej w Warszawie

Aber um eine solche Rede halten, um sich direkt an den russischen Ministerpräsidenten wenden zu können, musste der polnische Regierungschef zuvor mit Wladimir Putin einen Spaziergang über die Bunkeranlage auf der Westerplatte machen und mit ihm gemeinsam des Ausbruchs des Zweiten Weltkriegs gedenken. Schließlich begann in der russischen Tradition dieser Krieg erst am 22. Juni 1941, also zu einem Zeitpunkt, da die Leichen der ermordeten Polen schon über ein Jahr in sowjetischer Erde lagen ...

Nach dem 10. April wurden die drei Tage zuvor von Donald Tusk ausgesprochenen Worte zu einem wichtigen Bestandteil einer anderen, neuen Fabel, oder modisch gesprochen, „Narration": der Chronik der polnisch-russischen Verständigung. Der Verständigung, ich formuliere vorsichtig: das heißt einer Situation, in der die beiden Seiten sich des Sinnes der zueinander eingenommenen Haltungen bewusst sind und ihre unterschiedlichen Sichtweisen und Ziele anerkennen, sich aber dennoch weiter wechselseitig informieren wollen. Das ist noch nicht viel, aber doch eine unbedingte Voraussetzung, um sich um Weiteres zu bemühen. Einander zugleich guten Willen zu bekunden, reicht noch nicht aus, um von Versöhnung zu sprechen, aber es ist unbedingt notwendig, denn das lässt sich weder verordnen noch durch irgendein internationales Abkommen ersetzen. Wir legen eine feste Grundlage für einen Weg durch ein morastiges und unebenes Gelände. Aber wir wissen sehr gut, wofür wir den Weg anlegen: Er ist besser als Sümpfe und Gräben.

Ich bediene mich hier ganz bewusst einer metaphorischen Sprache, denn das Konkrete kommt erst noch. Es ging mir darum zu zeigen, wie sorgfältig das Fundament für Veränderungen vor allem von polnischer Seite vorbereitet wurde.

Aus dem Polnischen von Andreas R. Hofmann

Zdzisław Najder
Literaturhistoriker, ehemaliger Direktor der polnischen Redaktion des Senders Freies Europa, Mitglied im Programmrat des Museums des Zweiten Weltkrieges in Danzig, Professor an der Europäischen Josef-Tischner-Hochschule in Krakau, lebt in Warschau.

Zdzisław **Najder**

Po katastrofie w Smoleńsku

10 kwietnia 2010 roku przyniósł zbiorowy wstrząs eschatologiczny. Liczba i różnorakość ofiar katastrofy sprawiła, że setki tysięcy Polaków poczuło się osobiście dotknięte: zginęli ludzie, których znali osobiście. Zginęli nagle. Ten zgon kazał zadać sobie pilne pytanie o sens życia każdego z nas. Sens odarty z szat, dystynkcji, ról, uprawnień i zaszczytów. Nagłe przeżycie zderzenia się z eschatologią tworzyło najszerszą płaszczyznę wspólnoty, łączącą nie tylko wszystkich Polaków. Zdziwiło mnie, że niewiele było o tym mowy w kraju, tak powszechnie i skwapliwie określanym jako chrześcijański.

Motywem wielokrotnie podejmowanym przez średniowieczne malarstwo religijne był taniec śmierci. Przedstawiano go rozmaicie. Najbardziej typowe jest – jak na fresku w burgundzkiej La Ferté-Loupière – przeplatanie się dwu orszaków. Pierwszy

Fresko „Der Totentanz", La Ferté-Loupière/ *fresk „Taniec śmierci", La Ferté-Loupière*

tworzą postacie reprezentujące rozne stany: od królów, biskupów, książąt, rycerzy i kanoników – do kupców i rolników. Wszyscy są barwnie wystrojeni, świecą koronami i infułami, pysznią się zbrojami i sakwami, snopami i worami, popisują sukcesem. Drugi orszak – to ciż sami, ale w postaci szkieletów lub nagich trupów. Sens był oczywisty: *memento mori*, wobec śmierci jesteśmy wszyscy równi. Kiedy się przerwie nasz byt doczesny, sądzeni będziemy nie na podstawie ziemskich zaszczytów i bogactw, ale przez ocenę naszych dusz.

Współczesność wyprowadziła śmierć poza obszar codziennego doświadczenia. Ludzie nie przestali umierać, ale robią to po kryjomu, pamięć o tym trzymana jest na obrzeżach świadomości. Niby to wiemy, że w naszej ziemskiej egzystencji niczego pewnego nie ma właśnie poza jej końcem, ale sam fakt końca nabrał cech niezwykłości. Człowiek nowoczesny zderza się z „tamtym światem" tylko pod przymusem. Zresztą od wieków modlimy się o zachowanie „od nagłej i niespodziewanej śmierci". Czy śmierć osoby konającej na raka mniej boli? Czy nasuwa mniej natrętne myśli o sensie życia? Nie. Jest tylko mniejszym wstrząsem w chwili nastąpienia. Daje możliwość wewnętrznego dostosowania. Nagły cios przeraża, bo ujawnia naszą istotną, niezbywalna bezradność wobec tego, co ostateczne.

10 kwietnia przyniósł taki zbiorowy wstrząs eschatologiczny. Liczba i różnorakość ofiar katastrofy sprawiła, że setki tysięcy Polaków poczuło się osobiście dotknięte: zginęli ludzie, których znali osobiście. Zginęli nagle. Ten zgon kazał zadać sobie pilne pytanie o sens życia każdego z nas. Sens odarty z szat, dystynkcji, ról, uprawnień i zaszczytów. Bo – jak Taniec Śmierci przypomina – swoje doczesne istnienie kończy nie Król ani Biskup, ale człowiek. To, że w danym momencie pełnił jakieś funkcje, nie wyposażyło jego ciała w żadne moce przetrwania. W owej chwili ostatecznej wszyscy jesteśmy tacy sami. Niezależnie od tego, czy wierzymy, że staniemy „przed obliczem Najwyższego", czy też odejdziemy w nicość.

Nagłe przeżycie zderzenia się z eschatologią tworzyło – mogło tworzyć – najszerszą płaszczyznę wspólnoty, łączącą nie tylko wszystkich Polaków. Zdziwiło mnie, że niewiele było o tym mowy w kraju, tak powszechnie i skwapliwie określanym jako chrześcijański. Nawet w wypowiedziach hierarchów Kościoła. Niektórzy, sądząc z doniesień prasowych, na rzeczy ostateczne nie zwrócili uwagi i przystąpili do rozrachunków całkiem doczesnych. Nie bezpośrednio ze zmarłymi, ale z tymi, którzy ponoć nie oddawali im należnej czci. I były to rozrachunki wcale nie w kategoriach miłosierdzia, które należy się przecież niezależnie od zasług. Usłyszeliśmy zdumiewające słowa o „Polsce zniewolonej", której „uwolnienie" dokonało się rzekomo w ciągu ubiegłych paru lat. Spoza obrzędu wychylała się nie eschatologia, ale doraźna praktyka polityczna.

Czy to kolejny dowód na powierzchowność polskiego życia duchowego i religijnego, o której pisywał między innymi Czesław Miłosz? Nie zgadzałem się z nim. Co to za „powierzchowność", która wyraża się w nagłej, ale pełnej gotowości do ofiary? Zresztą polski kult zmarłych nie jest przecież słomianym ogniem; dowodem nasze cmentarze. Sądzę, że to raczej nasza kulturowa skłonność do myślenia konkretami: więc nie o Śmierci jako antytezie Istnienia, ale o zgonie tej właśnie, a nie innej osoby. Ta skłonność do empiryzmu ma swoje zalety (na jej podłożu wyrosła filozoficzna szkoła lwowsko-warszawska), ale także sprzyja zbyt gładkiemu przechodzeniu od istoty sprawy do jej przypadkowego

kształtu. Od duszy do jej doczesnego ubioru. I w krytycznym momencie kto, jeżeli nie biskup, ma łapać ludzi za rękaw i przypominać o różnicy, tak jednoznacznie ukazanej w Tańcu Śmierci? Szkoda, chwila szczególna trwała tak krótko i że to, co ostateczne, tak gładko ubrano znowu w szaty doczesnych funkcji.

Co gorsza, pojawiła się natychmiast – z szybkością ponaddźwiękową – gotowość, by śmierć oswoić teoriami spiskowymi. Odfajkować śmiertelny wstrząs tłumaczeniem najbardziej prymitywnym z możliwych: „oni" ich zabili. Dla przestrogi i na pocieszenie pozwalam sobie przypomnieć, że 20 lat temu na Stanisława Tymińskiego, mówiącego podobnym językiem, co dzisiejsi „prawdziwi patrioci", głosował co czwarty wyborca... Wówczas także tym, co zjednywało jego zwolenników była nieufność. Jesteśmy teraz o wiele bardziej dojrzali do współczesności – ale robak braku zaufania nadal toczy wspólnotę.

Bolesne straty

Planowana obecność prezydenta RP podczas drugich w ciągu czterech dni rocznicowych obchodów na Cmentarzu Katyńskim była oczywista. Lech Kaczyński miał wystąpić w dwu rolach: głowy państwa oraz wodza opozycji. Rzecz jasna, że delegacja prezydencka była ułożona jako potężna przeciwwaga wobec skromnego liczbą i tytułami zespołu, który 7 kwietnia towarzyszył premierowi. I stało się.

W owej nieszczęsnej delegacji, częściowo oczywistej, znamienna była obecność dwu osób, najmniej spośród całego tragicznego zespołu NIE przypadkowych. Wyznam, że ceniłem i lubiłem ich szczególnie. Ich stratę odczułem najboleśniej.

Ryszard Kaczorowski był najstarszą z ofiar. Miał życiorys, którym mógłby obdzielić kilku zasłużonych Polaków. Do Smoleńska leciał w dwu spojonych ze sobą rolach: jako przedstawiciel tych, którzy przed 67 laty nie zgodzili się na przemilczenie odkrytej przez Niemców zbrodni i zapłacili za swój upór wysoką karę – i jako osobowy zwornik między II i III niepodległą Rzeczpospolitą.

Kiedy 5 marca 1940 roku Stalin, Kalinin, Mołotow, Mikojan i Woroszyłow podpisali (a Kalinin zaaprobował) decyzję o wymordowaniu ponad 25 tysięcy więzionych obywateli polskich – dwudziestoletni harcmistrz Ryszard Kaczorowski pełnił konspiracyjną funkcję komendanta Okręgu Białostockiego. Aresztowany przez NKWD cztery miesiące później, został skazany na śmierć 1 lutego 1941 – już po dokonaniu mordu, zwanego katyńskim. Wyrok zmieniono mu na dwa lata obozu. Wyszedł z ZSRR razem z armią gen. Andersa. Po wojnie (walczył między innymi pod Monte Cassino) osiadł w Anglii jako emigrant polityczny.

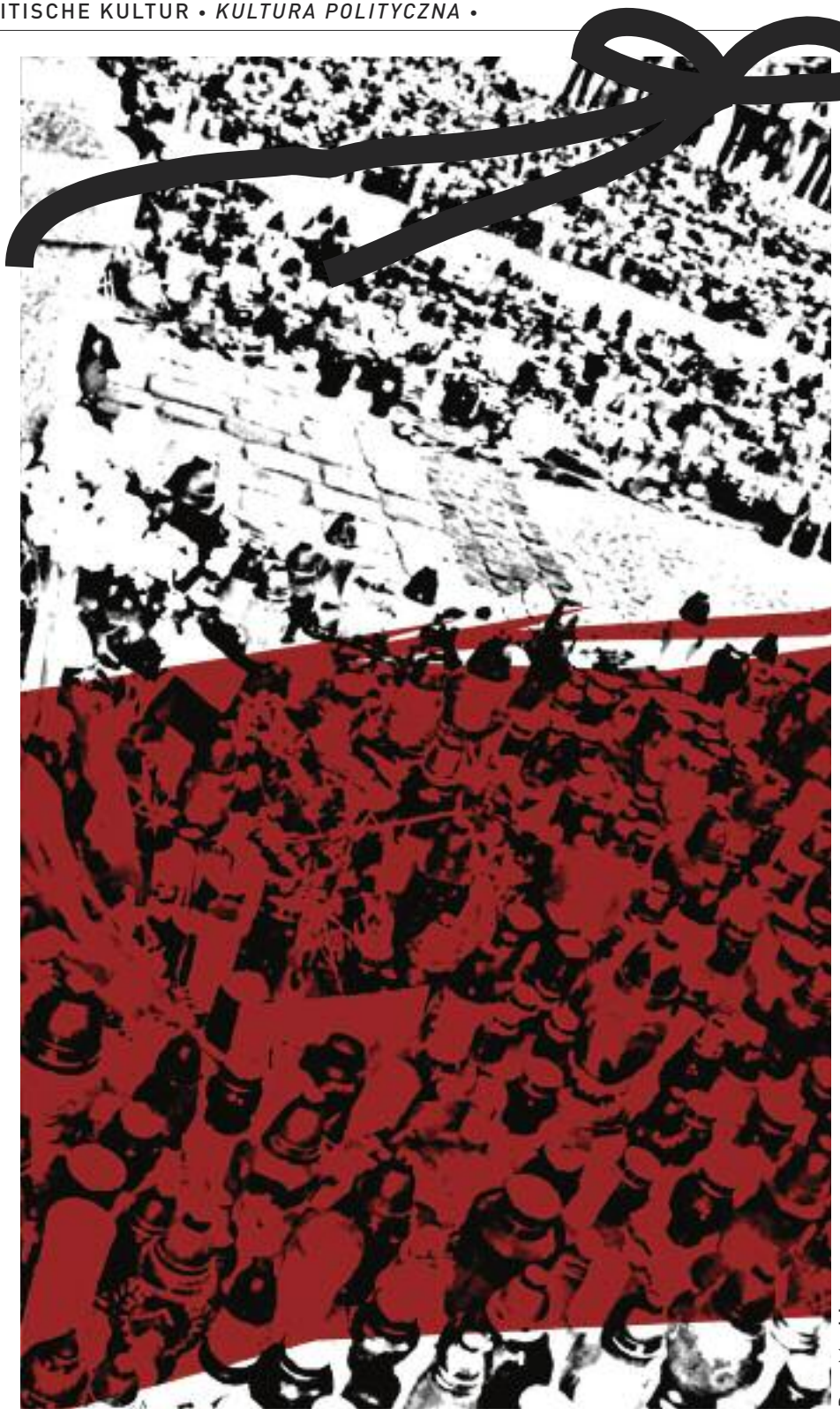

Piotr Mordel

W tłumie, składającym w Warszawie hołd defilując przed jego trumną, byli także ludzie, którzy dowiedzieli się o istnieniu „ostatniego prezydenta II RP" dopiero po Jego śmierci. A tylko nieliczni wiedzieli, że Ryszard Kaczorowski osobiście przyczynił się do wytworzenia więzi osobowo-instytucjonalnej między II i III Rzeczpospolitą. Na jesieni roku 1990 poczucie potrzeby takiej więzi wcale nie było powszechne.

Toczyła się już kampania przed wyborami prezydenckimi. Byłem wówczas przewodniczącym ogólnopolskiego Komitetu Obywatelskiego, powołanym na to stanowisko przez Lecha Wałęsę. Usiłowałem,

ze zmiennym skutkiem, zachować neutralność Komitetu – choćby dlatego, że wśród jego członków było paru kandydatów, jak Roman Bartoszcze i Tadeusz Mazowiecki. Nie wątpiłem jednak, że przewodniczący „Solidarności" ostatecznie musi wygrać. We wrześniu napisał do mnie z Paryża mój przyjaciel i były zastępca w Rozgłośni Polskiej Radio Wolna Europa, stary emigrant (a niebawem ambasador RP w Brukseli) Andrzej Krzeczunowicz. Zwracał uwagę, że warto by postarać się o przerzucenie mostu między emigracją niepodległościową a wyłaniającymi się władzami nowej Rzeczypospolitej. Wysunąłem pomysł, by Lech Wałęsa oświadczył, że jeżeli zostanie wybrany prezydentem, zaprosi do Polski Ryszarda Kaczorowskiego dla przekazania insygniów II RP. I aby to było otwarciem możliwości dla każdego, kto w Polsce wygra zbliżające się wybory prezydenckie. Pomysł poparli Jan Olszewski i Wojciech Włodarczyk z Komitetu Obywatelskiego, potem Jarosław Kaczyński i Jacek Merkel z komitetu wyborczego Wałęsy, a ostatecznie, po krótkich namowach, także sam Lech Wałęsa.

12 października poleciałem do Londynu. Po całodziennych naradach z ludźmi, których znałem już od dawna – Ryszardem Kaczorowskim, jego poprzednikiem Edwardem Raczyńskim, przewodniczącym Rady Narodowej RP (emigracyjnego sejmu) Zygmuntem Szadkowskim i innymi, podpisaliśmy komunikat: „odbyły się rozmowy między Prezydentem RP Ryszardem Kaczorowskim a przybyłym w tym celu z Warszawy Przewodniczącym Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, dr. Zdzisławem Najderem. Prezydent wyraził swoją gotowość – po dokonaniu wyboru, w głosowaniu powszechnym, Prezydenta RP w Polsce – udania się – na zaproszenie nowo wybranego Prezydenta – do Warszawy, by przekazać insygnia prawowitej władzy prezydenckiej II Rzeczypospolitej".

Pozwolę sobie zacytować własne wspomnienie: „Ciemniało już, kiedy w znanym mi dobrze gabinecie prezydenta na tzw. 'Zamku' londyńskim przy Eaton Place składaliśmy swoje podpisy na pokreślonej kartce komunikatu. Ogarnęło mnie wielkie wzruszenie – i czułem, że siedzący przy tym samym stole starsi panowie, weterani II wojny, ludzie, którzy nie widzieli Polski od roku 1939 albo 1944, którzy z pewnością nieraz myśleli, że do wolnej Ojczyzny nigdy nie wrócą, też przeżywają chwilę przejmującą i podniosłą. Podpisany przed chwila dokument znaczył, że są gotowi uznać swoją misję za wypełnioną".

Z przykrością stwierdziłem, że pomysł zaznaczenia kontynuacji nie spotkał się ze zrozumieniem ani życzliwością. Większość prasy krajowej, z otwarcie szydzącą „Gazetą Wyborczą" na czele, była niechętna. Ujęto całą sprawę wyłącznie w kategoriach wyborczego chwytu, naśmiewano się z emigracji, Wałęsy i ze mnie. Wątpliwości wyrażało wiele środowisk emigracyjnych. Przeciwny był Jerzy Giedroyc. W otoczeniu premiera Mazowieckiego zrozumiał jego sens bodaj tylko Aleksander Hall. Żenujący był ten przejaw głuchoty historycznej. Tym cenniejsza okazała się rozumna odwaga Ryszarda Kaczorowskiego i innych londyńskich emigrantów, którzy zaufali przemianom w Polsce.

To, że po zwycięstwie Lecha Wałęsy deklaracja londyńska została zrealizowana i 22 grudnia nastąpiło na Zamku Królewskim uroczyste przekazanie insygniów, zawdzięczamy także zdecydowanej postawie Jarosława Kaczyńskiego, wówczas szefa Kancelarii Prezydenta. Zrozumiał doniosłość aktu, okazał dobre wyczucie momentu dziejowego. Dwadzieścia lat później obecność na pokładzie nieszczęsnego Tupolewa 154 obu prezydentów była więc z punktu widzenia historii polskich instytucji państwowych nie przypadkiem, ale symbolem.

By jednak sama podróż do Smoleńska mogła się odbyć, aby było dokąd i po co latać tam najpierw premierowi, potem prezydentowi – musiał powstać cmentarz katyński. Najbardziej okazała, pięknie pomyślana współczesna nekropolia na ziemi rosyjskiej, tak obfitej w groby pomordowanych. I ten cmentarz, i dzwon katyński, i tegoroczne uroczystości były zwieńczeniem osiemnastu lat pracy człowieka wyjątkowego, jakim był Andrzej Przewoźnik. Potrzebne były tysiące godzin, spędzonych przez niego nad dokumentami. Dziesiątki podróży. Niekończące się negocjacje, czasem dramatyczne. Pryncypialna mądrość i rozsądna dyplomacja. Ogromna wiedza i niestrudzona cierpliwość. Dyskretny trud urzędnika państwowego i wielki osobisty urok skromnego człowieka.

Ufam, że przyszły prezydent RP wyrazi uznanie i wdzięczność Polaków nadaniem Andrzejowi Przewoźnikowi orderu Orła Białego, na który już dawno zasłużył.

Jarosław Kaczyński am Sarg seines Bruders Lech Kaczyński, Warschau
Jarosław Kaczyński przy trumnie brata, Lecha Kaczyńskiego, Warszawa

Andrzej Przewoźnik

Emocjonalizacja polityki

Katastrofa smoleńska dotknęła bezpośrednio Polaków, ale rozegrała się na scenie międzynarodowej. Jednoczesna śmierć tylu

ważnych uczestników naszego życia publicznego budzi w tej chwili w Polsce największe emocje. Wywołuje niezdrowe podniecenie podczas kampanii wyborczej. Ale poza Polską ten aspekt katastrofy mało kogo obchodzi: to są nasze wewnętrzne sprawy. Szerokie zainteresowanie, szczególnie u naszych bezpośrednich sąsiadów, i w całej Unii Europejskiej, przyciąga natomiast zmiana atmosfery w stosunkach polsko-rosyjskich. Bo oto najbardziej niespodziewanym skutkiem rozbicia się polskiego samolotu było nagłe otwarcie przez władze Rosji dyskusji na temat zbrodni stalinowskich. W nieoczekiwanych, okrutnych okolicznościach film Andrzeja Wajdy o Katyniu obejrzało w ciągu kilku dni więcej telewidzów, niż od czasu jego nakręcenia. I to telewidzów, nigdy przed tym niewystawionych na taką tematykę.

Czy międzynarodowe zainteresowanie sprawą mordu katyńskiego i jego sprawców utrzyma się dłużej, nie wiemy. Widzimy tylko, że w samej Rosji temat nie zanika. Zbigniew Herbert kończy swój wiersz „17 IX" słowami: „by ci co po nas przyjdą uczyli się znowu / najtrudniejszego kunsztu – odpuszczania win". Wiersz dedykowany jest Józefowi Czapskiemu, autorowi pierwszej książki o mordzie katyńskiej, wielkiemu autorytetowi polskiej emigracji politycznej a zarazem niestrudzonemu orędownikowi pojednania i wybaczenia. Czapski i Herbert o takich nastrojach mogli tylko marzyć. Polacy stali się budzicielami rosyjskich sumień. W imię sprawiedliwości nie tylko dla siebie, ale i dla samych Rosjan.

Louis Pasteur powiedział, że przypadek sprzyja przygotowanym. Katastrofa smoleńska była, niezależnie od jej konkretnych przyczyn ludzkich czy nawigacyjnych, makabrycznym przypadkiem. Polska okazała się przygotowana. Rosjanie zostali wyrwani do historycznej tablicy.

Dla władz niepodległego państwa polskiego próba polityczno-moralna rozpoczęła się 13 kwietnia 1943 roku, kiedy Niemcy ujawnili wykrycie masowych grobów pod Smoleńskiem. Premier Tomasz Arciszewski, stary socjalista, uczestnik rewolucyjnych zamachów w roku 1905, wiosną 1943 nie uległ naciskom brytyjskim („czy naprawdę wolicie Niemców od Rosjan?" – takie zadawane stronie polskiej pytanie przypomniał niedawno minister Jacek Rostowski) i amerykańskim. Rząd RP nie dołączył do niemieckiej kampanii propagandowej, ale zwrócił się do Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża z prośbą o zbadanie sprawy. To wystarczyło jako pretekst do zerwania przez Moskwę stosunków dyplomatycznych; w jej ślady poszły niebawem Londyn i Waszyngton. W Wielkiej Brytanii cenzura zakazywała pisanie o Katyniu. Jeszcze w 1985 zakazywano oficerom brytyjskim brania oficjalnego udziału w uroczystości, upamiętniającej zbrodnię...

Polscy emigranci polityczni przez długie dziesięciolecia gromadzili dane i dokumenty, przypominali i wyjaśniali. Lista autorów, którą otwierają Józef Czapski, Władysław Anders i Józef Mackiewicz, jest długa. Pierwszą książkę ogłosił w Stanach Zjednoczonych, po latach utrudnień i odmów ze strony wydawnictw akademickich, powstaniec warszawski Janusz K. Zawodny. Później dołączyli naukowcy krajowi. Nad książką najnowszą pracował do ostatniej chwili (w lutym opowiadał mi o dodaniu stu kilkudziesięciu nieznanych przed tym nazwisk) Andrzej Przewoźnik. Była dokumentacja i było uparte dopominanie się o prawdę. Symbolem tego dopominania stał się przejmujący, a zarazem edukacyjny film Andrzeja Wajdy.

Były jednak, na szczęście, również starania, by nawiązać dialog. Gdyby ta katastrofa wydarzyła się o rok wcześniej – nastąpiłaby w okresie, kiedy władze Polski i Rosji w ogóle ze sobą nie rozmawiały. Z NASZĄ szkodą. Zaproszenie Władimira Putina do Gdańska na rocznicowe uroczystości wrześniowe 2009 roku było niezbędnym otwarciem polsko-rosyjskich płaszczyzn porozumienia. Przypominam, że zarówno to zaproszenie, jak późniejsze przyjęcie zaproszenia premiera Rosji do Katynia, były krytykowane z partyjnych pozycji jako wątpliwe z punktu widzenia interesów państwa polskiego. Katastrofa prezydenckiego Tupolewa 154 zmieniła perspektywy, nadała jednoznaczny sens i ogólnopaństwowy wymiar całemu ciągowi wydarzeń.

Tragedia smoleńska 10 kwietnia była dramatycznym wykrzyknikiem – ale nie przekazała żadnego nowego komunikatu. Nie wniosła do stosunków polsko-rosyjskich nowej treści. Mowa, którą przygotował prezydent Lech Kaczyński, była w istocie powtórzeniem znanego polskiego stanowiska, zarówno w sprawie samej zbrodni, jak i potrzeby jej ostatecznego wyjaśnienia. To, co mogło na początku kwietnia 2010 – przy ówczesnym stanie stosunków na linii Warszawa-Moskwa – być powiedziane, to co, było wypowiedziane – zostało zawarte w znakomitym przemówieniu Donalda Tuska na trzy dni przed wypadkiem. Z pamiętnymi słowami o „pustych oczodołach czaszek", patrzących na nas wyczekująco.

Ale aby takie przemówienie wygłosić, aby mieć możność bezpośredniego zwracania się do premiera Rosji, premier RP musiał mieć za sobą wspólną z Władimirem Putinem przechadzkę wśród bunkrów na Westerplatte, wspólne wspominanie początku II wojny światowej. Przecież w rosyjskiej tradycji ta wojna zaczęła się dopiero 22 czerwca 1941 roku. To znaczy wtedy, kiedy trupy pomordowanych obywateli polskich leżały w ziemi sowieckiej już od ponad roku...

Po 10 kwietnia wypowiedziane trzy dni wcześniej słowa Donalda Tuska stały się istotnym składnikiem innej, nowej fabuły (modnie mówiąc, „narracji"): kroniki procesu porozumienia polsko-rosyjskiego. Porozumienia, mówię ostrożnie: to znaczy takiej sytuacji, w której obie strony zdają sobie sprawę z sensu zajmowanych wobec siebie stanowisk i uznają istnienie odmiennych racji i celów, ale nadal chcą wymieniać informacje. To jeszcze niewiele, ale to stan rzeczy konieczny, by starać się o coś więcej. Jednoczesne przejawy wzajemnej życzliwości nie wystarczą, by mówić o pojednaniu – ale są niezbędne, bo zadekretować ich się nie da i żadna umowa międzynarodowa ich nie zastąpi. Kładziemy podkład pod drogę przez teren grząski i nierówny. Ale dobrze wiemy, po co ją budujemy: droga jest lepsza, niż bagna i rowy.

Świadomie używam tu języka metaforycznego: konkrety dopiero nastąpią. Starałem się pokazać, że grunt pod zmianę został, głównie przez stronę polską, starannie przygotowany.

Katastrofa smoleńska dotknęła bezpośrednio Polaków, ale rozegrała się na scenie międzynarodowej. Szerokie zainteresowanie, szczególnie u naszych bezpośrednich sąsiadów przyciąga natomiast zmiana atmosfery w stosunkach polsko-rosyjskich. Bo oto najbardziej niespodziewanym skutkiem rozbicia się polskiego samolotu było nagłe otwarcie przez władze Rosji dyskusji na temat zbrodni stalinowskich.

Zdzisław Najder
historyk literatury, były dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, członek Rady Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, wykładowca Wyższej Szoły Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera w Krakowie, mieszka w Warszawie.

Marcin **Król**

Patriotismus als Wahl und als Zwang

Es gibt nicht mehr nur eine Interpretation des Polentums (als ob sie irgenwann existiert hätte!) und nicht nur eine Gruppe, eine ideologische Tendenz, eine politische Einstellung oder eine Religion, die zu einer solchen ausschließlichen Interpretation berechtigen oder ermächtigen würde. Der moderne Patriotismus ist angesichts dessen unvermeidlicherweise pluralistisch. Die Feinde des modernen Patriotismus und somit diejenigen, welche uns nach Krähwinkel zurücktreiben möchten, sind die, die Exklusivität verlangen.

Patriotismus oder auch die Existenz einer Gemeinschaft der Polen als Form kollektiver Organisation ist immer sowohl mit freier Wahl als auch mit gewissen Formen des Zwangs verbunden. Zwang taucht bei verschiedenen Gelegenheiten auf. Oft dann, wenn es um einen organisierten Zwang in Gestalt nationaler Feiertage oder anderer kollektiver Situationen geht, wenn etwas in unserem Namen oder im Namen unserer Tradition geschieht. Zwang, und das ist seine schlimmste Form, taucht aber vor allem dann auf, wenn wir von außen als Mitglieder einer Gemeinschaft wahrgenommen werden, zu der wir nicht unbedingt gehören wollen und wir nicht wollen, dass man uns dazu zählt. Zwang tritt also auch dann auf, wenn wir im Ausland Polen treffen, zu denen wir keinerlei Verbindungen spüren und wir oft sogar ihr Polnisch am liebsten nicht hören würden, wie auch dann, wenn man uns kollektiv als Polen behandelt. Trotz aller politischen Tendenzen in Richtung Globalisierung und Verschwinden des Nationalstaates werden wir auch auf politischer Ebene als Kollektiv wahrgenommen; aus dieser Lage gibt es keinen Ausweg. Wir verfahren im Übrigen ähnlich, wenn wir uns über andere Staaten wie über Kollektive äußern. Oder auch über uns selbst, dann tauchen Kommentare auf, die Polen seien eben so, wie sie sind, was angeblich aus der polnischen politischen Tradition herrühren soll. Wir möchten nicht, dass es so ist, nicht einmal, dass das Wort „Polen" in Bezug auf die aktuellen Verhaltensweisen unserer jetzigen Spitzenpolitiker gebraucht wird, die wir nicht unbedingt mögen. Es gibt aber keinen Ausweg, und so wie man in der Vergangenheit über ein Polen zwischen Russland und Deutschland gesprochen hat, oder auch über Polens Platz in Europa, obgleich es im Grunde nur um konkrete Gruppen bzw. Schichten oder ganz konkrete Menschen ging, ist es jetzt ähnlich. In dieser Hinsicht hat sich nichts geändert. In der Politik werden die Nationalstaaten im Prinzip genauso behandelt wie im Sport.

Eine solche Behandlung weckt meinen Protest, der zwei Formen annimmt. Die erste ist ein bisschen kindisch: Ich möchte mich von allen Äußerungen distanzieren, in denen ich als Element einer Polen genannten Menge behandelt werde. Ich fühle mich einfach nicht als Fragment einer solchen Menge und sehe keine Grundlagen dafür, mich dazu zu rechnen. Die ernsthaftere Form des Protestes besteht aber darin, dass ich verlange, weil ich es eben weiß, dass eine solche Behandlung von außen unvermeidlich ist, Einfluss darauf zu haben, was man für Polen hält. Und gerade das ist das Streitobjekt. Anders ausgedrückt ist das grundlegende Objekt des Streits – außer einer Tatsacheninterpretation – das Recht darauf, wer eine Entscheidung darüber fällen kann, was das Polentum ist. Dieses Streitobjekt, was heutzutage nicht besonders wichtig zu sein scheint, hat ganz und gar nicht aufgehört, wichtig zu sein, denn ich weigere mich, dass mich irgendjemand mit Leuten gleichsetzt, mit denen ich unter keinen Umständen gleichgesetzt werden möchte. Ich weigere mich nicht deswegen, um mich von ihnen durch eine Barriere der Verachtung zu distanzieren, sondern deswegen, weil ich – solange das meine Sprache und mein Haus sind – gewisse Rechte besitze, darüber zu entscheiden, wen ich in dieses Haus hereinlassen möchte. Und hier treffen wir langsam auf eine erste Definition dafür, was moderner Patriotismus ist: Es ist das Recht, andere entweder in mein Haus zu lassen oder nicht, sogar wenn sie darauf Ansprüche anmelden.

Natürlich muss ich dieses Recht auch anderen zubilligen, die mich reinlassen können oder auch nicht, ganz nach ihrem Ermessen. Es gibt nicht mehr nur eine Interpretation des Polentums (als ob sie irgenwann existiert hätte!) und nicht nur eine Gruppe, eine ideologische Tendenz, eine politische Einstellung oder eine Religion, die zu einer solchen ausschließlichen Interpretation berechtigen oder ermächtigen würde. Der moderne Patriotismus ist angesichts dessen unvermeidlicherweise pluralistisch. Die Feinde des modernen Patriotismus und somit diejenigen, welche uns nach Krähwinkel zurücktreiben möchten, sind die, die Exklusivität verlangen. Aus einem solchen Patriotismus folgert aber nicht, dass alle Werte und Interpretationen in meinen Augen identisch und gleichberechtigt sind. Wie könnte ich auch, egal was, dezidiert beurteilen und gleichzeitig kritiklos das Recht der anderen auf genauso starke, aber deutlich andere Urteile in derselben Angelegenheit akzeptieren?

Und deshalb kam es in den modernen liberalen Gesellschaften nicht zu einem Verschwinden des Patriotismus, wie man oft denkt, sondern zu seiner Pluralisierung. Dabei kommt wie in jedem Fall des Pluralismus die Toleranz ins Spiel. Am gefährlichsten ist die falsche Toleranz bzw. nicht nur das Einverständnis zur Existenz anderer Auffassungen als meiner, sondern auch das Gefühl, dass ich mich bemühen sollte, die Gründe und Absichten der Menschen zu verstehen, die sie verkünden, oder alles in allem sie teilweise zu akzeptieren, so zu akzeptieren, wie man die Existenz vieler Blumen akzeptiert. Es ist ein solches falsches Verständnis von Toleranz, das uns das Bild des modernen liberalen Patriotismus verdüstert. Sofort als Sieger im patriotischen Wettbewerb erweisen sich nämlich diejenigen, die lautstark das Recht einfordern, die wahren Patrioten zu sein. Ich werde ihnen niemals ein solches Recht einräumen. Meine Toleranz besteht nur darin, dass ich fremde, abweichende Meinungen in der Frage danach, was sich zur Gesamtheit der das Polentum definierenden Faktoren zusammenfügt, unter der Bedingung ertrage, dass auch sie meine andersartigen Ansichten ertragen werden. Wenn sie meine anderen Auffassungen nicht tolerieren, dann sehe ich auch nicht den geringsten Grund für Toleranz. Wenn daraus resultiert, dass verschiedene Menschen und Gruppen von Menschen radikal abweichende Ansichten

dazu haben, worin das Polentum besteht, dann ist das schwierig. Ein Bürgerkrieg wird deswegen aber ganz bestimmt nicht ausbrechen, wenngleich ein Bürgerkrieg auf dem Gebiet von Kultur und Sitten sehr wahrscheinlich ist.

Natürlich gibt es negative Konsequenzen einer solchen Spaltung. Die wichtigsten sind erstens mit der Intensität dieses Streits verbunden, der verursachen kann, dass es schwierig wird, von einem Land oder einer Vision der Vergangenheit eines Landes zu sprechen, sowie zweitens die die Konzeption des nationalen Interesses betreffenden, die ja stark davon abhängt, wie Polentum verstanden wird.

Die bedeutende amerikanische Wissenschaftlerin Gertruda Himmelfarb hat vor Kurzem erklärt, dass zwei Amerikas existieren, und zwar wegen grundlegender Unterschiede im Bereich der Werte, der Kultur und der Sitten, die sich im Übrigen oft auf Unterschiede in den politischen Einstellungen übertragen. In Polen ist die Lage ähnlich, obwohl man das nicht immer gleich gut sehen kann. Unter markanten Umständen aber, wenn man diskutieren kann, jedoch sich für eine der Interpretationen entscheiden muss, stellt sich heraus, dass die innere Spaltung sehr stark ist. Zu sehen war das aus Anlass der Debatte zum Thema Jedwabne, sowie – vollkommen unerwartet – anlässlich der Diskussion um die Beerdigung von Czesław Miłosz oder von Präsident Lech Kaczyński. Diese Debatte erschien vielen Kommentatoren anstößig. Ich sehe in ihr ganz im Gegenteil nichts Schlechtes, denn der Unterschied der Positionen trat so ausdrücklich zutage, dass man sich kaum eine deutlichere Situation vorstellen kann. Niemand von uns hätte doch gedacht, dass der Streit um den Begräbnisort eines Dichters oder zuletzt eines Präsidenten so heftig sein würde. Ich glaube übrigens nicht, dass man die Einstellungen derer, die in diesem Streit meine Gegner sind und deren Äußerungen mich entrüsten, gering schätzen sollte. Gerade weil diese Äußerungen mich empören, kann ich sie nicht als nebensächlich, unwichtig ignorieren. Als der Streit zum Thema Jedwabne aufkam, war ich überzeugt, darin kämen zwei völlig entgegengesetzte Einstellungen zum Polentum zum Vorschein. Es sei im Grunde genommen kein Streit in dem Sinne, dass sein Abschluss irgendeine Form des Kompromisses sein könne, sondern er sei Ausdruck einer tatsächlichen Spaltung, die in der polnischen Gesellschaft in Bezug auf ihr Verhältnis zur Vergangenheit, und eher noch zur Gegenwart auftritt.

Zygmunt Januszewski

Schließlich ging es anlässlich der Beerdigungen, zunächst der von Miłosz und jetzt der von Lech Kaczyński, nicht um die Vergangenheit, ja es war nicht einmal ein Streit um Tatsachen, denen gegenüber man keine so großen Diskrepanzen besaß, sondern ein Streit um die Interpretation der Tatsachen. Niemand im Vollbesitz seiner geistigen Kräfte hat behauptet, dass die Ereignisse in Jedwabne einen komplett anderen Verlauf genommen haben, als es beschrieben wurde, aber sofort tauchten Unterschiede auf, als man zu bewerten versuchte, wer Täter und wer Opfer gewesen ist und auf welche Weise man die Schuld verteilen sollte. Niemand versuchte zu einem Einvernehmen beizutragen, denn wie ist ein solches mit Antisemiten möglich. Ähnlich schwer ist es mit denen zu einer Einigung zu kommen, die Miłosz für keinen großen polnischen Dichter halten, denn wer ist denn ein solcher, wenn nicht der, der auf Polnisch großartige Gedichte geschrieben hat. Der Streit macht also die Einstellungen von Menschen deutlich, die sich miteinander nicht einigen können und sich nicht verstehen. Man muss sich, wenn man den liberalen Patriotismus akzeptiert, darüber im Klaren sein, dass es so ist und dass unsere Einstellung nicht die einzige ist.

Nehmen wir ansonsten an, dass wir es in diesen Auseinandersetzungen – Jedwabne, Miłosz, auch die Katastrophe bei Smolensk, obwohl es noch zu früh ist, um alle Probleme zu analysieren, die sich mit ihr verbinden – jedes Mal mit einer etwas anderen Form von Meinungen, mit deutlich verschiedenen Tatsachen, aber alles in allem mit identischen Ansichten zu tun hatten. Umso berechtigter ist daher die Überzeugung, dass zwei Formen von Patriotismus existieren, die nichts miteinander zu tun haben. Es wäre daher Unsinn, Versuche zu unternehmen, die andere Seite zu überzeugen, weil man niemandem eine Interpretation vorwerfen kann. Gibt es nur zwei Interpretationen, zwei Arten des Polentums, oder gibt es noch mehr davon? In so einer drastischen Form treten nur zwei Typen des Polentums auf, aber wenn wir etwas genauer hinschauen, stellt sich heraus, dass es auch noch andere Gegensätze gibt, die nicht identisch mit dem stärksten sind.

Es kommen also Gegensätze zwischen denen vor, die im Allgemeinen die Chance in der Suche nach Quellen oder Grundlagen für das heutige Polentum in der Vergangenheit, im Archiv erblicken, und denen, die der Meinung sind, das Polentum sei im Prinzip zu nichts zu gebrauchen. Das glauben sie und sie irren sich, aber das ist ihr Recht. Einen solchen Standpunkt nehmen in radikaler Form liberale Milieus ein, für die die Vergangenheit – wie erwähnt – nur eine Last ist, und keine Interpretation von ihr wird – wie sie schon vorher wissen – ihre Meinung ändern. Die Identität des Individuums und kollektive Identität sollen ausschließlich darauf gestützt errichtet werden, was jetzt passiert. Interessanterweise hatte dieser Standpunkt bedeutenden Einfluss auf das Verhältnis zur Solidarność – mir geht es nicht um die Pflege der Traditionen von Solidarność, was ohne Zweifel aussichtslos ist und nur eine Veteranendimension hat – sondern um ihee Methode der Organisation des gesellschaftlichen und politischen Lebens. Die Ansichten, die von der einmaligen Brauchbarkeit der Solidarność sprechen, sie dann aber sogleich als Ausnahme, die sich nicht wiederholen sollte, und als Anachronismus behandeln, erfüllten die Funktion einer selbsterfüllenden Prophezeihung. Ich verstehe nicht, warum man die Solidarność für eine geschichtliche Ausnahme hält und die unaufhörliche Destabilisierung der politischen Szene für die Norm. Warum wird die Zusammenarbeit von Menschen für das Gemeinwohl, ohne zu zögern, als Gefühlsduselei und als in der Geschichte unbekannte Fiktion abgelehnt? Schließlich hat es doch – hier ist nicht der Ort, um Beispiele anzuführen – die Zusammenarbeit für das Gemeinwohl vielleicht nicht aller Bürger des jeweiligen Landes, aber doch ihrer gewaltigen Mehrheit vielfach gegeben. Natürlich handelte es sich nicht um eine auf Gefühle gestützte Zusammenarbeit, sondern um eine auf ein gutes Verständnis dessen, was im gemeinsamen Interesse liegt, was ein gemeinsames Gut ist, gestützte. Dagegen wurde in Polen – und zwar von denen, die das Polentum ansonsten liberal auffassen – der Versuch unternommen, die Solidarność in jene schon tote Tradition des Polentums abzuschieben, die irgendwo in den Zeiten des Kościuszko-Aufstands begonnen hat und 1981 endete. Das war ein Fehler im Bereich der Interpretation, für den wir schon teuer bezahlen mussten.

Eine weitere Spaltung betrifft das Verhältnis zur katholischen Kirche und diese deckt sich nur in geringem Maße mit den vorigen. Beinahe alle in Polen kennen und schätzen die äußeren Eigenschaften und Symbole der Kirche sowie die Glaubenssymbole. Dagegen gehen die Meinungen darüber, in welchem Maße in der heutigen Welt Glaube, Religion und ihre Manifestationen nach außen (und nicht die Kirche als Institution) einen Bestandteil des Polentums darstellen, auseinander und viel hängt hier nicht von einer mehr oder weniger offenen Einstellung ab, sondern von der persönlichen Sensibilität, der Art der Erziehung oder der Bereitschaft, Symbole als wichtige Tatsachen zu behandeln. Außerdem besitzt für manche die metaphysische Sphäre prinzipielle Bedeutung. Deren Verkörperung ist der Katholizismus, selbst wenn sie keine aktiv gläubigen Menschen sind. Mit anderen Worten wäre es eine Spaltung in diejenigen, welche unter den geistigen Vektoren des Polentums die metaphysische Dimension ernst nehmen sowie sie in unterschiedlichem Ausmaß und auf verschiedene Weisen mit dem Katholizismus assoziieren, und denjenigen, für die die metaphysische Sphäre für den Aufbau einer geistigen Dimension des Polentums verzichtbar ist.

Außerdem treten – alle Spaltungen werde ich nicht aufzählen – solche auf, die keinen konflikterzeugenden Charakter haben, aber eine gegenseitige Verständigung oder Zusammenarbeit unmöglich machen. Von sehr einfachen, aber weiterhin beständigen Unterschieden wie der Bindung an einen bestimmten Teil Polens mit seiner Landschaft, den Bräuchen und dem Typ der menschlichen Sensibilität (ich fühle mich z. B. in Großpolen fremd), was von der Erziehung und der Gewohnheit herrührt, aber kein sogenannter Lokalpatriotismus ist, bis hin zu den mit der sozialen Herkunft verbundenen Unterschieden, wie man früher gesagt hat, die im Alltagsleben eine fundamentale Bedeutung haben und noch lange wird sie die 1989 begonnene soziale Revolution nicht überwinden. All diese Spaltungen reichen jedoch nicht an den grundsätzlichen Streit über ein – um die Terminologie Karl Poppers zu verwenden – geschlossenes oder offenes Polentum heran.

Somit bleibt die Frage, ob bei solch starken inneren Spaltungen, die nicht politisch, weil diese weniger wichtig sind, sondern kulturell und lebensartlich bedingt sind, und bei der Existenz mindestens zweier Formen von Polentum die Formulierung und Realisierung eines nationalen Interesses möglich ist.

Aus dem Polnischen von Markus Krzoska

Marcin Król
Politischer Philosoph und Ideenhistoriker; Professor der Warschauer Universität, Mitbegründer der Zeitschrift „Res Publica".

Marcin **Król**

Patriotyzm jako wybór i jako przymus

Nie ma już jednej interpretacji polskości (tak jakby kiedykolwiek była!), i nie ma jednej grupy, jednej tendencji ideologicznej, jednej postawy politycznej czy jednej religii, która by do takiej wyłącznej interpretacji uprawniała lub upoważniała. Nowoczesny patriotyzm jest wobec tego nieuchronnie pluralistyczny, a wrogami nowoczesnego patriotyzmu i tymi, którzy chcieliby nas cofnąć do ciemnogrodu są ci, którzy domagają się wyłączności.

Mirosław Gryń

Patriotyzm czy też istnienie wspólnoty Polaków jako formy zbiorowej organizacji związane jest zawsze zarówno z wolnym wyborem, jak i z pewnymi formami przymusu. Przymus pojawia się przy różnych okazjach. Często wtedy, kiedy jest to przymus zorganizowany w postaci świąt narodowych czy innych zbiorowych sytuacji, kiedy to coś się dzieje w naszym imieniu lub w imię naszej tradycji. Przymus, i to najgorsza forma przymusu, pojawia się jednak przede wszystkim wtedy, kiedy jesteśmy z zewnątrz postrzegani jako członkowie wspólnoty, do której niekoniecznie chcielibyśmy się zaliczać i nie chcielibyśmy, żeby nas zaliczano. Przymus występuje więc i wtedy, kiedy spotykamy Polaków za granicą i nie poczuwamy się do żadnych związków z nimi, a często wolelibyśmy nawet ich polskiego języka nie słyszeć, jak i wtedy, kiedy nas zbiorowo jako Polaków traktują. Wbrew wszystkim tendencjom politycznym ku globalizacji i zanikowi państwa narodowego, także na poziomie politycznym jesteśmy z zewnątrz postrzegani jako zbiorowość i nie ma z tej sytuacji żadnego wyjścia. Podobnie zresztą postępujemy, kiedy wypowiadamy się o innych państwach jako o zbiorowościach. Czy też o nas samych, a wtedy pojawiają się komentarze, że Polacy już tacy są, jacy są, co ma rzekomo wynikać z polskiej tradycji politycznej. Nie chcielibyśmy, żeby tak było, nie chcielibyśmy nawet, żeby słowa „Polska" używano w odniesieniu do bieżących zachowań naszych aktualnych politycznych przywódców, których niekoniecznie cenimy. Jednak nie ma wyjścia i tak jak w przeszłości mówiło się o Polsce między Rosją a Niemcami, czy też o miejscu Polski w Europie, chociaż w istocie chodziło jedynie o konkretne grupy czy warstwy lub wręcz konkretnych ludzi, podobnie jest teraz. Nic się w tej mierze nie zmieniło. W polityce państwa narodowe są traktowane w zasadzie identycznie jak w sporcie.

Takie traktowanie budzi mój protest, który przybiera dwie formy. Pierwsza jest nieco dziecinna: chciałbym odciąć się od wszelkich wypowiedzi, w których ja jestem traktowany jako element zbioru nazywanego Polska. Po prostu nie czuję się fragmentem takiego zbioru i nie widzę żadnych podstaw do tego, żeby mnie do niego zaliczano. Jednak poważniejsza forma protestu polega na tym, że skoro wiem, że takie traktowanie z zewnątrz jest nieuniknione, to domagam się wpływu na to, co jest za Polskę uważane. I to właśnie jest przedmiotem sporu. Innymi słowy podstawowym przedmiotem sporu – oprócz interpretacji faktu – jest uprawnienie, kto może podejmować decyzję dotyczącą tego, czym jest polskość. Ten przedmiot sporu, wydawałoby się w naszych czasach niezbyt istotny, wcale nie przestał być istotny, bo ja nie mogę sobie pozwolić na to, żeby mnie ktokolwiek utożsamiał z ludźmi, z którymi pod żadnym pozorem utożsamiany być nie chcę. Nie mogę sobie pozwolić nie dlatego, bym nie mógł odciąć się od nich barierą pogardy, ale dlatego, że skoro to jest mój język i mój dom, to mam pewne prawa decydować o tym, kogo chcę do tego domu wpuszczać. I tu docieramy powoli do pierwszego określenia czym jest nowoczesny patriotyzm: jest to prawo do wpuszczania innych do mojego domu i do nie wpuszczania, nawet jeżeli roszczą sobie do tego pretensje.

Oczywiście, prawo to muszę przyznać także innym, którzy mogą mnie wpuszczać

lub nie, według swojego uznania. Nie ma już jednej interpretacji polskości (tak jakby kiedykolwiek była!), i nie ma jednej grupy, jednej tendencji ideologicznej, jednej postawy politycznej czy jednej religii, która by do takiej wyłącznej interpretacji uprawniała lub upoważniała. Nowoczesny patriotyzm jest wobec tego nieuchronnie pluralistyczny, a wrogami nowoczesnego patriotyzmu i tymi, którzy chcieliby nas cofnąć do ciemnogrodu są ci, którzy domagają się wyłączności. Z takiego patriotyzmu nie wynika jednak, że wszystkie wartości i wszystkie interpretacje są w moich oczach identyczne i równoprawne. Jakże bym mógł cokolwiek zdecydowanie sądzić i równocześnie bezkrytycznie akceptować prawo innych do równie silnych, ale wyraźnie odmiennych sądów w tej samej kwestii?

A zatem w nowoczesnych społeczeństwach liberalnych nie doszło do zaniku patriotyzmu, jak to się często sądzi, lecz do jego pluralizacji. Jednak, jak w każdym przypadku pluralizmu, w grę wchodzi tolerancja. Najbardziej niebezpieczna jest tolerancja fałszywa, czyli nie tylko zgoda na istnienie innych poglądów niż moje, ale także poczucie, że powinienem starać się zrozumieć te poglądy, zrozumieć intencje ludzi, którzy je głoszą, czyli w sumie po części je akceptować, tak jak akceptuje się istnienie wielu kwiatów. Otóż takie błędne pojmowanie tolerancji zaciemnia nam obraz nowoczesnego liberalnego patriotyzmu. Natychmiast bowiem zwycięzcami w patriotycznym konkursie okazują się ci, którzy głośno domagają się prawa do bycia prawdziwymi patriotami. Ja im nigdy takiego prawa nie przyznam. Tolerancja moja polega tylko na tym, że znoszę cudze odmienne poglądy w kwestii tego, co się składa na całość czynników określających polskość, pod warunkiem że i oni znoszą moje odmienne poglądy. Jeżeli oni moich poglądów nie tolerują, to i ja nie widzę najmniejszego powodu do tolerancji. Jeżeli z tego wynika, że różni ludzie i różne grupy ludzkie mają radykalnie odmienne poglądy na to, czym jest polskość, to trudno. Wojna domowa zapewne z tego powodu się nie rozpocznie, chociaż domowa wojna w dziedzinie kultury i obyczaju jest bardzo prawdopodobna.

Oczywiście, istnieją negatywne konsekwencje takiego podziału. Najważniejsze związane są, po pierwsze, z intensywnością sporu, który może powodować, że trudno mówić o jednym kraju, czy o jednej wizji przyszłości kraju, oraz – po drugie – konsekwencje dotyczące koncepcji interesu narodowego, która przecież jest ściśle uzależniona od tego, jak pojmowana jest polskość.

Gertruda Himmelfarb, wybitna uczona amerykańska, niedawno oświadczyła, że istnieją dwie Ameryki, a to z racji zasadniczych różnic w zakresie wartości, kultury i obyczaju, które zresztą często przekładają się na różnice w postawach politycznych. W Polsce sytuacja jest podobna, chociaż nie zawsze to widać równie dobrze. Jednak w okolicznościach wyrazistych, kiedy można dyskutować, ale trzeba się opowie-

dzieć za jedną z interpretacji, okazuje się, że podział wewnętrzny jest bardzo silny. Widać to było przy okazji debaty na temat Jedwabnego, widać to – zupełnie niespodziewanie – przy okazji debaty wokół pogrzebu Czesława Miłosza, czy prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Debata ta wydaje się wielu komentatorom gorsząca. Ja, przeciwnie, nic złego w niej nie widzę, bowiem różnica postaw wychodzi na jaw tak dobitnie, że trudno byłoby wyraźniejszą sytuację sobie wyobrazić. Nikt z nas przecież nie sądził, że spór o miejsce pochówku poety oraz ostatnio prezydenta, stanie się tak gwałtowny. Nie sądzę również, że nie należy lekceważyć postawy tych, którzy w tym sporze są moimi przeciwnikami, których wypowiedzi mnie oburzają. Właśnie dlatego, że wypowiedzi te mnie oburzają, nie mogę ich ignorować jako marginesowych, nieważnych. Kiedy pojawił się spór na temat Jedwabnego, byłem przekonany, że w tym sporze ujawniają się dwie zupełnie odmienne postawy wobec polskości, że w gruncie rzeczy nie jest to spór w tym rozumieniu, że jego finałem może być jakakolwiek forma kompromisu, lecz że jest to demonstracja rzeczywistego podziału, jaki występuje w polskim społeczeństwie odnośnie stosunku do przeszłości, a raczej do teraźniejszości.

Bo przecież przy okazji pogrzebów, wcześniej Czesława Miłosza i teraz Lecha Kaczyńskiego, nie chodziło o przeszłość, nie chodzi nawet o spór o fakty, co do których nie ma aż tak wielkich rozbieżności, ale o spór o interpretację faktów. Nikt przy zdrowych zmysłach nie twierdził, że wydarzenia w Jedwabnem miały zupełnie inny przebieg niż to opisano, ale natychmiast pojawiały się różnice, kiedy próbowano oceniać, kto był katem, kto ofiarą i w jaki sposób winę należy rozłożyć. Nikt nie próbował doprowadzić do zgody, bo jak jest możliwa zgoda z antysemitami. Podobnie trudno o zgodę z tymi, którzy nie uważają Miłosza za wielkiego polskiego poetę, bo któż jest wielkim polskim poetą, jak nie ten, kto po polsku pisał wspaniałe wiersze. Więc spór wyraża postawy ludzi, którzy ze sobą porozumieć się nie mogą i się nie porozumieją. Trzeba, akceptując liberalny patriotyzm, zdawać sobie sprawę z tego, że tak jest i że nasza postawa nie jest jedyna.

Zauważmy zresztą, że w tych sporach – Jedwabne i Miłosz, także katastrofa pod Smoleńskiem, choć za wcześnie jeszcze, żeby analizować wszystkie problemy, które się z nią wiążą – za każdym razem mieliśmy do czynienia z nieco inną formą poglądów, z wyraźnie odmiennymi faktami, ale w sumie z identycznymi postawami. Tym bardziej zatem uprawnione jest przekonanie, że istnieją dwie formy patriotyzmu, które nic wspólnego ze sobą nie mają. Nonsensem byłoby zatem podejmowanie prób przekonania drugiej strony, bo interpretacji nie da się nikomu narzucić. Czy są to tylko dwie interpretacje, dwa typy polskości, czy też istnieje ich więcej? W tak drastycznej formie występują tylko dwa typy polskości, ale jeżeli przypatrzymy się nieco dokładniej, to okaże się, że mamy do czynienia także z innymi podziałami, które nie są identyczne z tym najsilniejszym.

Występują więc podziały między tymi, którzy dostrzegają w ogóle szansę na poszukiwanie źródeł czy podstaw dla obecnej polskości w przeszłości, w jej archiwum – a tymi, którzy sądzą, że polskość w zasadzie nie jest do niczego potrzebna. Sądzą i się mylą, ale to ich prawo. Takie stanowisko zajmują radykalnie liberalne środowiska, dla których przeszłość – jak wspominaliśmy – jest tylko obciążeniem, a żadna jej interpretacja, co wiedzą z góry, nie zmieni ich poglądu. Tożsamość jednostki i tożsamość zbiorowa powinna być budowana wyłącznie w oparciu o to, co się dzieje teraz. Co ciekawe, stanowisko to miało znaczny wpływ na stosunek do Solidarności – nie chodzi mi o kultywowanie tradycji solidarnościowych, co jest niewątpliwie beznadziejne i ma tylko wymiar kombatancki –

ale do solidarnościowej metody organizacji życia społecznego i politycznego. Poglądy głoszące jednorazową przydatność Solidarności, ale potem natychmiast traktujące ją jako wyjątek, który nie może się powtórzyć, i jako anachronizm, spełniły funkcję samospełniającego się proroctwa. Nie rozumiem, dlaczego Solidarność uznano za dziejowy wyjątek, a za „normę" nieustającą destabilizację sceny politycznej? Dlaczego współpracę ludzi dla dobra wspólnego bez wahania odrzucono jako sentymentalizm czy fikcję nieznaną w dziejach. Przecież – nie miejsce tu na przytaczanie przykładów – współpraca dla dobra wspólnego, może nie wszystkich obywateli danego kraju, ale olbrzymiej ich większości, miała wielokrotnie miejsce. Naturalnie, nie była to współpraca oparta na sentymentach, lecz na dobrym pojmowaniu tego, co leży we wspólnym interesie, co jest wspólnym dobrem. Natomiast w Polsce dokonany został zabieg – i to dokonany przez tych, którzy polskość pojmują skądinąd liberalnie – zepchnięcia Solidarności do tej już martwej tradycji polskości, która rozpoczyna się gdzieś w czasach powstania kościuszkowskiego, a kończy w 1991 roku. Był to błąd w zakresie interpretacji, za który już przyszło nam drogo zapłacić.

Inny podział dotyczy stosunku do Kościoła katolickiego i podział ten w niewielkim tylko stopniu pokrywa się z poprzednimi. Otóż w Polsce niemal wszyscy znają i szanują zewnętrzne cechy Kościoła oraz oznaki wiary. Natomiast pogląd na temat tego, w jakiej mierze w dzisiejszym świecie wiara, religia i jej zewnętrzne manifestacje (a nie Kościół instytucjonalny) stanowią składnik polskości bywa odmienny i wiele tu zależy nie od mniej lub bardziej otwartego nastawienia, lecz od osobistej wrażliwości, typu wychowania czy skłonności do traktowania symboli za ważne fakty. Ponadto, dla niektórych sfera metafizyczna odgrywa zasadnicze znaczenie, a jej ucieleśnieniem jest katolicyzm, nawet jeżeli nie są ludźmi aktywnie wierzącymi. Innymi słowy, byłby to podział na tych, którzy pośród duchowych wyznaczników polskości poważnie traktują wymiar metafizyczny i wiążą go, w rozmaitym stopniu i na różne sposoby, z katolicyzmem i tych, dla których sfera metafizyczna nie jest niezbędna dla zbudowania duchowego wymiaru polskości.

Poza tym – wszystkich podziałów nie wyliczę – występują takie, które nie mają charakteru konfliktogennego, ale uniemożliwiają wzajemne zrozumienie czy współpracę. Od bardzo prostych różnic, ale wciąż trwałych, jak przywiązanie do pewnej części Polski z jej pejzażem, obyczajem, typem ludzkiej wrażliwości (ja na przykład obco się czuję w Wielkopolsce), co wynika z wychowania i z przyzwyczajenia, co jednak nie jest patriotyzmem określanym mianem lokalnego – po różnice związane z pochodzeniem społecznym, jak się kiedyś mowiło, a które mają w codziennym życiu fundamentalne znaczenie i długo jeszcze rewolucja społeczna rozpoczęta po 1999 roku ich nie pokona. Wszystkie te podziały jednak nie równają się zasadniczemu sporowi o polskość – używając terminologii Poppera – zamkniętą i otwartą.

Pozostaje zatem pytanie o to, czy przy tak silnych podziałach wewnętrznych, podziałach nie politycznych, bo te są mniej istotne, lecz kulturowych i obyczajowych, przy istnieniu dwóch, co najmniej, form polskości, możliwe jest sformułowanie i realizowanie jednego interesu narodowego.

Marcin Król
filozof polityki i historyk idei; współzałożyciel „Res Publiki"; profesor Uniwersytetu Warszawskiego, ostatnio opublikował: „Nieco z boku. Autobiografia niepraktyczna" (2009) oraz „Czego nas uczy Leszek Kołakowski" (2010).

Helmut Kohl Ehrenbürger der Stadt Danzig • Danzigs Stadtpräsident Paweł Adamowicz überreichte Helmut Kohl am 19. Mai 2010 die Ehrenbürgerschaft der Stadt Danzig. Der Stadtrat von Danzig würdigte mit dieser Ehrung die besonderen Verdienste des ehemaligen Bundeskanzlers um die europäische Einigung und die deutsch-polnischen Beziehungen. Die Zeremonie fand im Privathaus von Helmut Kohl in Ludwigshafen statt (Foto). Begleitet wurde der Danziger Stadtpräsident u. a. von Polens Botschafter Marek Prawda, dem Vorsitzenden des Danziger Stadtrates Bogdan Oleszek sowie dem Chefredakteur des Magazins DIALOG Basil Kerski.

Fot. Biskup/Bild-Zeitung

Helmut Kohl Honorowym Obywatelem Gdańska • 19 maja 2010 roku prezydent Gdańska Paweł Adamowicz wręczył Helmutowi Kohlowi Honorowe Obywatelstwo Miasta Gdańska. Tym wyróżnieniem Rada Miasta uhonorowała byłego kanclerza za jego wyjątkowe zasługi na rzecz zarówno europejskiego, jak i polsko-niemieckiego porozumienia. Uroczystość miała miejsce w domu Helmuta Kohla w Ludwigshafen (fot.). Prezydentowi Gdańska towarzyszyli m.in. ambasador Polski w Berlinie Marek Prawda, przewodniczący Rady Miasta Bogdan Oleszek oraz redaktor naczelny Polsko-Niemieckiego Magazynu DIALOG Basil Kerski.

30 Jahre DPG Wolfsburg-Gifhorn • Aus Anlass des 30. Jahrestages der Gründung der Deutsch-Polnischen Gesellschaft Wolfsburg-Gifhorn fanden vom 18. bis 20. Juni 2010 die „Deutsch-Polnischen Tage in Wolfsburg" statt. Im Rahmen dieser Kulturveranstaltung wurde u. a. ein Denkmal für ehemalige Zwangsarbeiter in der Wolfsburger Porschestraße eingeweiht. Als Initiator der Partnerschaft Wolfsburg – Bielsko-Biała unterstützt die DPG Wolfsburg-Gifhorn die vielfältigen Kontakte zwischen den zwei Städten.

30-lecie Towarzystwa Polsko-Niemieckiego Wolfsburg-Gifhorn • Z okazji 30 rocznicy powstania Towarzystwa Polsko-Niemieckiego Wolfsburg-Gifhorn w dniach od 18 do 20 czerwca br. odbyły się „Polsko-niemieckie dni w Wolfsburgu". W ramach imprezy kulturalnej odsłonięto na wolfsburskiej Porschestraße pomnik upamiętniający robotników przymusowych. Towarzystwo wolfsburskie, inicjator partnerstwa Wolfsburg – Bielsko-Biała, wspiera rozliczne kontakty między obydwoma miastami.

Themenschwerpunkt

Stettin und die neue deutsch-polnische Grenzregion

Prezentacja

Szczecin a nowe polsko-niemieckie pogranicze

Wiesław Smętek

Agencja Gazeta

Bogdan **Twardochleb**

Stettin – Auf der Suche nach einer neuen Identität

In der kurzen Nachkriegsgeschichte durchlief Stettin einen langen Weg von der Vision einer antideutschen Festung bis zur Schengen-Ära

Deutsch-polnische Kontakte gibt es in Stettin und im Grenzgebiet sehr viele. Mit der Dynamik dieses Prozesses können die Politiker und Politologen, die Soziologen und Kulturwissenschaftler nicht Schritt halten. Könnte denn Stettin tatsächlich erneut das Zentrum der historischen Region werden? Um diese Frage zu beantworten, lohnt es sich, sich bewusst zu machen, dass die Öffnung der topografischen Grenze und die Ausweitung des Verkehrs die Stärke anderer Barrieren offenbarte: der sprachlichen, finanziellen, mentalen, rechtlichen, administrativen, der Barrieren des Brauchtums usw. Die deutsch-polnische Nachbarschaft ist deshalb weiterhin schwierig, wenngleich aus völlig anderen Gründen als einst.

Die Stadt ist weitläufig: vierzig Kilometer Luftlinie von der nordwestlichen zur südöstlichen Stadtgrenze. Zwei Oderarme, die Erhebungen des Odertals, Inseln, von Norden her ein großer See und von drei Seiten naturbelassene Wälder, von denen der eine an den Alleen im Zentrum der Stadt beginnt und erst weit hinter der Grenze zu Deutschland endet. Betrachtet man Bücher und Alben über Stettin, deutsche und polnische, so unterscheiden sich diese in vielerlei Hinsicht, doch erstaunlich übereinstimmend sind sie in der Beschreibung der schönen und vor allem *gemütlichen* Umgebung.

Nahe dem geografischen Zentrum Stettins befindet sich die heute leblose Werft, über viele Jahre nach dem Kriege der Stolz Stettins. Die Bemühungen, die Produktion von Schiffen wiederzubeleben oder – im ungünstigsten Falle – irgendeine Produktion aufzunehmen, dauern an. Entlang der Oder sind noch andere Betriebe stillgelegt, jedoch nicht alle, dem zum Trotz, was die Verfasser düsterer Visionen behaupten. Gut hält sich die Stettiner Reparaturwerft, es entstehen auch kleine private Werften, im Hafen herrscht Betrieb und von Jahr zu Jahr legen in Stettin mehr seetüchtige Urlauberschiffe an, obwohl bis vor Kurzem nicht eines anlegte.

Es ist wahr – das Zentrum der Stadt entvölkert sich und ein postindustrielles Stet-

Fot. 4Dfoto

tin hat sich ausgebreitet, hauptsächlich in seinem geografischen Zentrum, auf der Insel Łasztownia (Lastadie), wo sich eine große Anzahl von Lagergebäuden des Hafens aus der Zeit der Wende vom 19. zum 20. Jahrhundert befindet sowie Objekte des alten Schlachthofes, welche die Künstler, doch nicht immer die Geschäftsleute faszinieren. Es gibt auch eine zweite Seite der Medaille: In Stettin arbeiten neue Programmier- und Projektfirmen, die Lehreinrichtungen werden modernisiert und am Stadtrand sowie in den Nachbargemeinden wachsen die Einfamilienhaussiedlungen, wodurch es um freie Flächen für Investitionen immer schlechter bestellt ist.

Unmittelbar hinter dem westlichen Stadtrand befindet sich die deutsch-polnische Grenze. Von den Politikern vor fast 65 Jahren festgelegt und Polen von Deutschland scharf trennend – weist sie heute, nach dem Beitritt Polens zur Europäischen Union sowie zur Schengen-Zone, keinerlei Ähnlichkeit mehr mit ihrem noch unlängst vorhandenen Zustand auf.

Was weiß man außerhalb von Stettin über Stettin? Die Stettiner sind sich sicher, in den zentralen Einrichtungen Polens und Deutschlands sehr wenig, schlechterdings nichts. Es kann sein, dass sich dies allmählich ändert, vielleicht in Anbetracht der landesweiten politischen, wissenschaftlichen und künstlerischen Karrieren einer kleinen Gruppe von Stettinern, doch für eine Metropole mit einer halben Million Einwohnern ist dies eher wenig. Die wichtigsten Zentren Polens sind von Stettin immer noch „fern", insbesondere Warschau, das im zentralisierten Polen ohne den geringsten Zweifel am bedeutendsten ist.

Die Einreise nach Stettin – ein Abriss der Probleme

Für die Deutschen, vor allem die älteren, pflegt die Einreise nach Stettin per Zug traumatisch zu sein. Die Gleise verlaufen entlang der alten Zuckerfabrik, in der sich nach dem Kriege ein Sammellager für Tausende Aussiedler befand. Hier stiegen sie in die Züge und ohne einen Anspruch auf Rückkehr in ihre Heimat überquerten sie die neue, für sie unbegreifliche Grenze. Die älteren Polen haben eine andere Erinnerung an diesen Ort: Hier stiegen sie aus den Zügen, begaben sich in die unbekannte Stadt, ohne genau zu wissen, wo sich die Grenze befand. Die einen trennte von den anderen alles, es verband sie die Ungewissheit des Morgen, vielleicht der Glaube, dass sie nach Hause zurückkehren werden, ganz gewiss die Angst ums Leben, denn das Lager und diese Station waren nicht ohne Gefahren.

Mit dem Auto fährt man aus Richtung Berlin oder aus Richtung des pommerschen Pasewalk idyllisch nach Stettin – durch Wälder und Felder. Kaum jemand bemerkt das charakteristische kleine Denkmal am Grenzübergang in Pomellen, das gegen Ende der neunziger Jahre errichtet wurde: Ein nackter Junge reitet auf einem Pferd entlang der Grenze. Er soll das heutige, friedliebende Deutschland symbolisieren. Das Pferd ist kein Streitross, auf ihm sitzt kein Eroberer, es will die Grenze nicht überschreiten, ganz

im Gegenteil – es lädt ein in ein friedliches Land.

Die Ankunft in Polen beendet die idyllischen Landschaften. Dicht hinter der Grenze folgen bunte Tankstellen, Marktplätze (nicht groß, wenn man sich an die Situation vor einigen Jahren erinnert), Firmenhallen, Wohnsiedlungen, Supermärkte und Stettin.

Aus Richtung Polen kommt man anders nach Stettin. Auch hier gibt es Wälder und Felder, doch die Landschaft ist deutlich stärker urbanisiert. In das auf der linken Seite des Oderdeltas gelegene Zentrum gelangt man auf einer breiten Verkehrsader über die Brücke über den östlichen Arm des Deltas, man passiert das Hafengelände auf Lastadie und fährt auf eine weitere hohe und lange Brücke, von der man die westliche Oder und das Panorama der Stadt mit den repräsentativen Wały Chrobrego (Hakenterrassee) sowie auf der rechten Seite die stillgelegte Werft sehen kann. Unvermittelt endet die sonnige Verkehrsader auf den Kreuzungen im Zentrum. Gegenüber entsteht ein riesiger Supermarkt, obgleich ein anderer, auch im deutschen Grenzgebiet wohlbekannter und erst vor einigen Jahren eröffneter Supermarkt nur wenige Hundert Meter entfernt ist. Bald werden beide das Stadtzentrum dominieren. Man könnte auch anders formulieren: Sie werden in Stettin das Zentrum bilden, das es – wie viele Einwohner meinen – immer noch nicht gibt.

Stettin ist selten das Ziel von Touristenreisen, die länger als einen Tag dauern. Über Nacht in den Hotels bleiben Touristengruppen, deren Reiseziel zumeist Danzig oder die Masuren sind. Reist man aus der Mitte Polens in die Badeorte der westlichen Ostsee, ist es ebenfalls am bequemsten Stettin zu umfahren.

Die Öffnung der Grenze erleichterte auch das Reisen von Stettin in die in südlicher Richtung an der Oder gelegenen polnischen Städtchen. Von Polen nach Polen fährt man hier durch Deutschland. Der Verkehr ist stark, denn man fährt beispielsweise auch zur Arbeit.

Die Grenze – Von der Festung zur Linie auf der Landkarte

Die deutsch-polnische Grenze, einst mit Verhauen und Fotozellen befestigt, welche die Feinde nicht hindurchlassen sollten, und nach 1990 mit einem Graben verstärkt, der den Schmuggel eindämmen sollte, kann man heute an beliebiger Stelle überqueren, sogar dort, wo der Graben nicht zugeschüttet wurde. In den Wäldern ist es wie auf einer Schneise und zwischen den Feldern wie auf einem breiten Feldrain. Dies verändert die Situation Stettins erheblich. Es lohnt sich jedoch, daran zu erinnern, wie es hier noch vor Kurzem war, welch tiefe Veränderungen sich vollzogen, welch ein Wunder die offene Grenze ist.

Das Jahr 1945 war das wichtigste in der gesamten Geschichte Stettins, es war für Stettin – bildlich gesprochen – der Beginn einer neuen Ära: Es beendete den deutschen Zeitabschnitt und eröffnete den polnischen. Ähnlich war es auch in anderen zu jener Zeit von Polen übernommenen Landesteilen, in denen eine ethnische Revolution durchgeführt wurde – der Austausch (Transfer) der Bevölkerung. Doch auch aus anderen Gründen befand sich Stettin in einer neuen Situation.

Bis zum Jahre 1945 war es das administrative und geografische Zentrum einer historischen Region – nun wurde es zu einer Stadt an der Staatsgrenze. Während das ähnlich große Breslau – das für die Stettiner heute eine der Musterstädte ist – das regionale Zentrum blieb und die räumlichen Verbindungen aufrecht erhielt, so trennte die Grenze Stettin von dem größeren Teil seines westlichen Hinterlandes ab. Der über Jahrhunderte entstandene Organismus hörte damit auf, zu existieren. Das Grenzregime beeinflusste auch stark die Stadt und dies betraf nicht nur die überdurchschnittliche Präsenz des Militärs. Eine scharf gesicherte Grenze gab es auch im Hafen und somit innerhalb des Stadtgebietes. Aus diesem Grunde war der Hafen nur für seine Mitarbeiter sowie für Seeleute zugänglich.

Die neue Grenze änderte die Vektoren Stettins. Bis zum Jahre 1945 war es eine Stadt am Kreuzungspunkt der Handelswege Ost-West und Nord-Süd, nun befand es sich nur auf der Linie Nord-Süd sowie in östlicher Ausrichtung. Die Grenze durchtrennte alle Verbindungen mit dem Westen. Zerstört wurden Eisenbahnlinien und Straßen sowie vielfältige Verbindungen mit Berlin, die Warenströme aus den Häfen der östlichen Ostsee hörten auf, Stettin zuzufließen, Berlin sollte aus dem Gedächtnis Stettins verschwinden.

Bis zum Jahre 1945 war Stettin ein Eisenbahnknotenpunkt und Bestimmungsort – nun wurde es zur Endstation. Festgelegt wurden ein Grenzübergang für die Straße und ein Grenzübergang für die Eisenbahn. Die nördliche Richtung, von der gesagt wurde, sie sei Polens Fenster zur Welt, war lange nur für den Handel zugänglich.

Es entstand der Eindruck, Stettin befände sich am Ende der Welt. Die Propaganda dämpfte ihn mit der visionären Losung: „Hier endet Polen nicht, hier beginnt Polen." Die Stadt wurde funktional und symbolisch nach Polen ausgerichtet. Aus ihrem Stadtplan verschwanden Bezeichnungen, die nach Westen wiesen, wie zum Beispiel „Berliner Tor" oder „Pasewalker Chaussee", und es tauchten solche auf, die in entgegengesetzter Richtung – nach Osten orientiert waren. Die Ersteren wurden, wie in allen westlichen und nördlichen Landesteilen, aus dem polnischen Kulturraum getilgt.

> Der Fall des Eisernen Vorhanges und die sich danach vollziehenden Veränderungen ermöglichten die Wiederherstellung der infrastrukturellen Verbindungen Stettins mit seinem früheren, westlichen Hinterland, wie auch mit Berlin – die bis heute anhält. Jedoch kann nicht die Rede von einer Wiederherstellung der gesellschaftlichen Verbindungen sein, denn diese wurden infolge des Bevölkerungstransfers nach dem Krieg vollständig zerstört. Heute ist deshalb nur der Aufbau neuer Verbindungen möglich, nicht nur grenzüberschreitender, sondern interkultureller.

Heute nimmt man im Alltag nicht mehr wahr, dass aus Stettin mithilfe dieser Bezeichnungen eine symbolische grenznahe Festung geschaffen wurde, eine mythische Feste, in der die Sieger der Kriege mit den Deutschen wachsam ausruhten, denn die Bezeichnungen lexikalisierten sich. Es entstand eine Grenzfestung – ein Adlerhorst, wie eine zeitgenössische Dichterin schrieb. Illustriert wird dies durch eine charakteristische Folge von Namen der Straßen und Plätze, die von der Oder in Richtung Ausfahrt zur Grenze mit Deutschland führen. Es sind dies Namen, die an polnische Herrscher und Könige erinnern wie: Wały Chrobrego, ul. Zygmunta Starego, ul. Krzywoustego, al. Piastów, ul. Mieszka I sowie Namen mit historischem oder gesellschaftlichem Bezug wie ul. Jana Matejki, pl. Hołdu Pruskiego (Platz der Preußischen Huldigung), pl. Żołnierza Polskiego (Platz des Polnischen Soldaten), al. Niepodległości (Allee der Unabhängigkeit), pl. Zwycięstwa (Platz des Sieges). Der seiner-

zeit zentrale Platz der Stadt erhielt den Namen pl. Grunwaldzki (Grunwald-Platz).

Obgleich die Staatsgrenze einige Kilometer Luftlinie von der Stadtgrenze entfernt festgelegt wurde, hatte sie mit ihr keine Verbindung und war für die Einwohner nicht zugänglich, somit spielte sie in ihrem täglichen Leben keine Rolle. Anfänglich wurde sie als Wall zum Schutz vor der germanischen Gefahr dargestellt, mit der Zeit dann als eine Art Schutzhülle des Friedens. Man könnte auch sagen, nahezu eines Reservates, denn die Stettiner konnten im Prinzip nur in einer Richtung frei aus der Stadt hinausgelangen – nämlich nach Osten, über zwei enge Brücken, eine Straßen- und eine Eisenbahnbrücke. Die Stadt, eingezwängt zwischen der Oder, der Grenze und dem Stettiner Haff im Norden, erzeugte in immer stärkerem Maße Klaustrophobie. Natürlich wurde so nicht über sie geschrieben, sondern im Gegenteil – es sei dies eine weltoffene Stadt. Währenddessen verlor sie sogar die Erinnerung an die früheren Gegebenheiten. Schließlich erübrigte sich zum Beispiel auch die städtische Ringbahn.

Das Verhältnis zur Grenze änderte sich, als im Jahre 1972 Reiseerleichterungen zwischen der DDR und Polen eingeführt wurden. Die Stettiner nutzten diese ausgiebig, ähnlich wie die Bürger der DDR. An jedem Samstag waren die Straßen im Zentrum mit Reisebussen aus der DDR zugestellt, überfüllte Züge fuhren in beide Richtungen. Doch kaum jemanden kümmerte es, als im Jahre 1980 die Grenze aus Furcht vor einem Durchsickern der Solidarność-Ideen in die DDR geschlossen wurde. Wichtiger waren die inneren Angelegenheiten des Landes, und außerdem – von Ostberlin erwartete kaum jemand freundschaftliche Gesten gegenüber der Erneuerungsbewegung.

Der Fall des Eisernen Vorhanges und die sich danach vollziehenden Veränderungen ermöglichten die Wiederherstellung der infrastrukturellen Verbindungen Stettins mit seinem früheren, westlichen Hinterland, wie auch mit Berlin – die bis heute anhält. Jedoch kann nicht die Rede von einer Wiederherstellung der gesellschaftlichen Verbindungen sein, denn diese wurden infolge des Bevölkerungstransfers nach dem Krieg vollständig zerstört. Heute ist deshalb nur der Aufbau neuer Verbindungen möglich, nicht nur grenzüberschreitender, sondern interkultureller.

Die Einbeziehung Polens in den Geltungsbereich des Schengener Abkommens ermöglichte spektakuläre Veränderungen in den Kommunikationsverbindungen Stettins, und damit auch im Denken über den Charakter der Stadt. Es wurde möglich, was bis vor Kurzem noch absurd erschien: Zwischen dem südlichen Polen und Stettin fährt man heute am schnellsten und am bequemsten über den Berliner Ring, obgleich dies nicht die kürzeste Verbindung ist. Sie wird sich von selbst erübrigen, wenn in Polen Autobahnen entstehen, doch momentan beflügelt sie stark die Phantasie.

Erst jetzt kann man sich praktisch davon überzeugen, dass Berlin und Stettin (*toute proportion gardée*) die sich am nächsten gelegenen großen Städte sind. Weiter als nach Berlin ist es von Stettin nach Grünberg (Luftlinie 200 km), Posen (220 km) und Warschau – fast 500 Kilometer (mehr als dreimal so weit wie nach Berlin). Dies verändert auch die sozialen Wahlmöglichkeiten, denn die Jugend kann beispielsweise zu den Konzerten ihrer Idole nach Berlin und muss nicht mehr in die weiter entfernten Städte Polens fahren. Bildhaft kann man auch sagen, es sei von Stettin zum Deutschen Historischen Museum dreimal näher als zum Museum des Warschauer Aufstandes. Obwohl dies nur eine expressive Beschreibung der Wirklichkeit ist, könnten sich einige politische Visionäre davon berührt fühlen.

Räumliche Verbindungen, die bis zum Jahre 1945 bestanden, erstanden neu. Bis zu den grenznahen deutschen Dörfern hatten es die Stettiner einst nur theoretisch nicht weit, doch heute gehen sie hinter der Grenze in die Pilze. Dies zieht kulturelle Veränderungen nach sich, denn die Deutschen lernen das Pilzesammeln, dabei helfen ihnen unter anderem etatmäßige Berater (Pilzberater). Um die Wiederherstellung der früheren Eisenbahnlinie Berlin-Świnoujście, die im Jahre 1945 zerstört wurde, bemühen sich Deutsche und Polen von der Insel Usedom gemeinsam.

Faszinierende Veränderungen im Grenzgebiet gibt es noch weit mehr. Die Reisefreiheit ermöglichte es, den Zoo im deutschen Ueckermünde als Stettiner Zoo zu gestalten. In Stettin gibt es kein slawisches Freilichtmuseum – dafür in dem deutschen Städtchen Torgelow.

Hauptsächlich die Unterschiede in den Immobilienpreisen zwischen Polen und Deutschland hatten zur Folge, dass bereits mehr als 1250 Stettiner in den grenznahen deutschen Dörfern und Städten gemeldet sind, vorwiegend im Kreis Uecker-Randow,

wo sie Häuser kauften oder Wohnungen mieteten. Nahezu alle Erwachsenen arbeiten in Stettin (zur Arbeit haben sie es näher als die Bewohner manch Stettiner Siedlung), doch ihre Kinder schicken sie immer häufiger in Kindergärten und Schulen in Deutschland. Es wächst die Anzahl der polnischen Bürger, welche die deutsche soziale Fürsorge (Kindergeld) in Anspruch nehmen, was besonders in Uecker-Randow, einer Region, die laut den deutschen Statistiken die ärmste der Bundesrepublik Deutschland ist, auch abfällige Kommentare gegenüber Polen hervorruft, nicht nur vonseiten der NPD. Um so mehr, da zwar viele Deutsche zum Einkauf, in die Philharmonie, die Oper oder die Museen nach Stettin fahren, jedoch nur sehr wenige Häuser in der Umgebung von Stettin kauften.

Stettin hat freien Zugang zu den Autobahnen A 11 und A 20 und über sie zum gesamten westeuropäischen Autobahnnetz. Die Stettiner können schneller in Lübeck oder Hamburg sein als in Danzig, der Flughafen in Goleniów (Gollnow) muss um Passagiere mit den Flughäfen in Berlin konkurrieren, der Hafen kann ein Kontrahent für das östliche Brandenburg und Berlin sein, und der Wettbewerb mit dem Hafen in Rostock kann gar zu einem politisch nicht geringfügigen Problem werden, wenn man berücksichtigt, dass beide Städte in den wirtschaftlichen Kontakten zu Berlin ein Gegenmittel für ihre Schwierigkeiten suchen könnten. Dies sind Probleme, die das Schengener Abkommen schuf. Polen und Deutsche wurden faktisch zu Nachbarn in direktem Kontakt. Tritt Polen in die Eurozone ein, wird dieser Kontakt noch unmittelbarer sein.

Immer weniger Leute erinnern sich daran, wie die deutsch-polnische Grenze eben noch aussah, denn an das Gute gewöhnt man sich leichter. Die Grenze ist keine Demarkationslinie, keine Pufferzone, kein Sicherheitsstreifen mehr. Sie ist ein Ort auf der Landkarte, an dem der eine Staat endet und der andere beginnt.

Schöpfungen der Geschichte – Von der Isolation zur Kontinuität

Nach dem Kriege wurde aus Stettin eine geschichtlich polnische und antideutsche Stadt geschaffen. Übereinstimmend taten dies, trotz grundsätzlicher Differenzen in anderen Fragen, sowohl der Staat als auch die Kirche. Das Blättchen des Polnischen Westbundes teilte im Jahre 1947 mit, Stettin sei nur über 120 Jahre eine deutsche Stadt gewesen, seit dem Wiener Kongress bis zum Ende des Zweiten Weltkrieges.

Als Symbol der polnischen Herrschaft in Stettin wurde das Schloss angesehen, das als Schloss der Piastenfürsten oder der Westpommerschen Piasten bezeichnet wurde (Der heutige Name lautet: Schloss der Pommerschen Fürsten). Die Aktivisten des Polnischen Westbundes forderten, überzeugt von den piastischen Anfängen ganz Pommerns, Pommern bis nach Rügen an Polen anzuschließen. Die Geschichte Stettins, wie auch sein Gebiet, wurden nach Polen ausgerichtet. In Wirklichkeit wurde damit eine neue, mythologisierte Stadt, ein nationales Symbol geschaffen.

Ein seinerzeit führender Stettiner Publizist und Verbreiter der Geschichte, der in einer populären Broschüre die Geschichte der Stadt „bis zum Tod des letzten Piasten" behandelte, schrieb über das Mittelalter: „In dieser Zeit war der Charakter der Stadt gänzlich polnisch. Sowohl die Bürger als auch die Seeleute und das gemeine Volk waren Polen. Dies bedeutet jedoch nicht, es hätte in der Stadt keine Deutschen gegeben, diese wohnten jedoch in einem speziell für sie bestimmten Stadtviertel, einfach gesagt, im deutschen Ghetto."

Hier ist kein Platz für die Beschreibung von Nuancen der späteren Historiografie, die aus der Geschichte Westpommerns [polnische Bezeichnung für den heute zu Polen gehörenden Teil des früheren Pommerns, A.d.Ü.] lange Zeit nur die polnischen Fäden aufnahm und den Eindruck vermittelte, sein historisches Wesen sei polnisch, die Historiografie damit aber de facto zerstörte. Noch immer befreit sich die Stadt aus den Lasten der Propaganda, was nicht einfach ist. Einen Durchbruch stellte die vierbändige Ausgabe der redaktionell vorwiegend von Gerard Labuda bearbeiteten „Geschichte Stettins" (erschienen in den Jahren 1963–1998, ganze 35 Jahre!) dar, insbesondere des dritten Bandes unter der Redaktion von Bogdan Wachowiak, der die Jahre 1906–1945 umfasst, aber auch des populären historischen Abrisses „Stettin" unter der Redaktion von Jan M. Piskorski (1995, 1998, 2002). Was das Jahr 1945 anbelangt, so hat die gemeinsame deutsch-polnische Quellenauswahl „Stettin – Szczecin 1945–1946. Dokumente – Dokumenty. Erinnerungen – Wspomnienia", herausgegeben von der

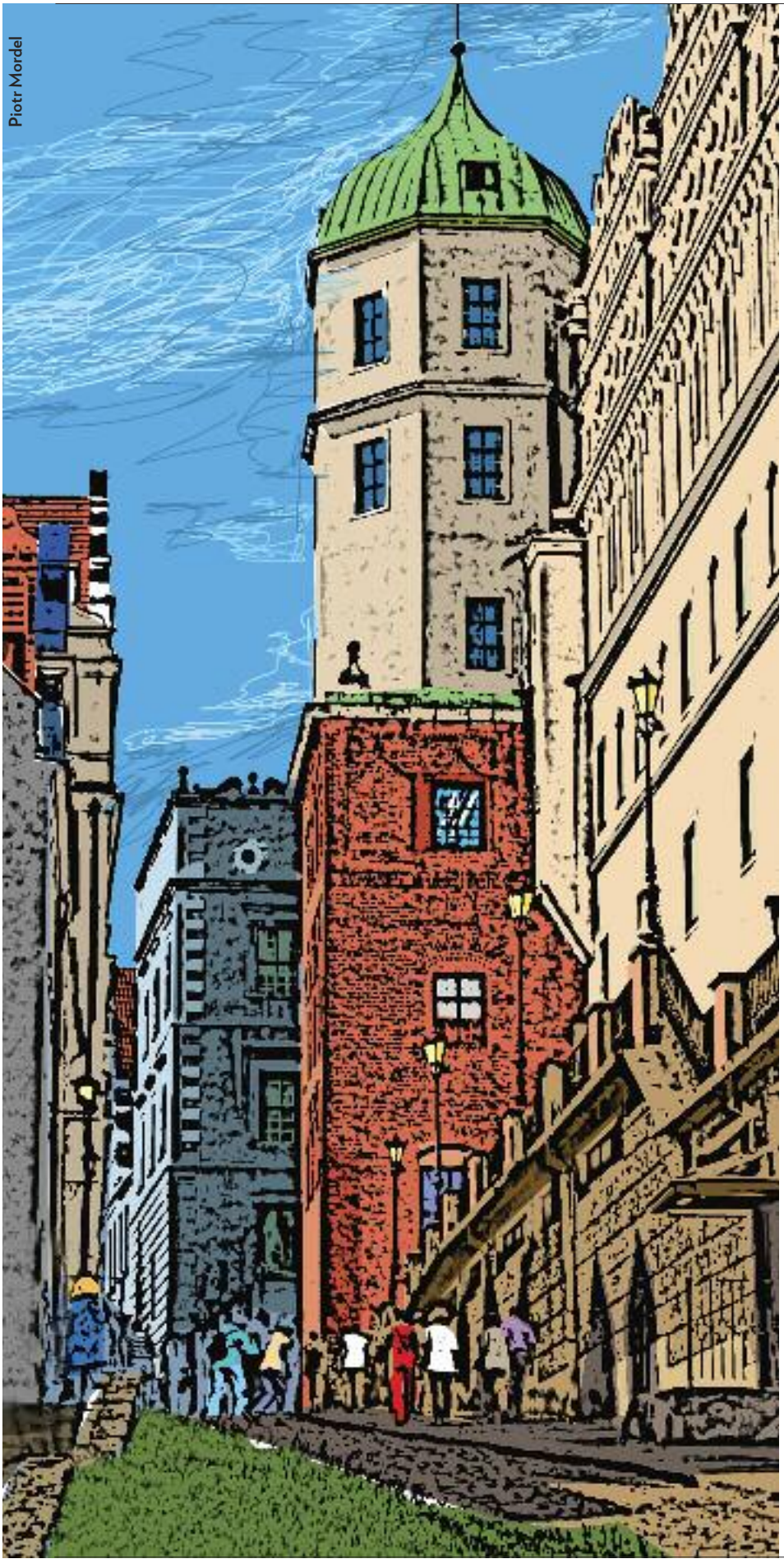
Piotr Mordel

Universität Stettin und der Ostsee Akademie unter der Redaktion von Tadeusz Białecki (1994), eine neue Forschungsetappe eingeleitet.

Endlich werden die Quellen zur Geschichte der ehemaligen Fürstentümer Pommern und Stettin ins Polnische übertragen und publiziert. Erst im Jahre 2005 erschien die grundlegende Quelle – „Pomerania" von Thomas Kantzow (1505–1542) – in der hervorragenden Übersetzung von Krzysztof Gołda (Bearbeitung: Tadeusz Białecki, Edward Rymar). Auf diese Chronik beriefen sich früher alle Pommernkenner, doch eine Übersetzung gab es nicht. Warum? Nun, Kantzow beginnt die Beschreibung Westpommerns wie folgt: „Es gibt keinen Zweifel, dass auf diesem Boden, soweit die Aufzeichnungen reichen, Germanen siedelten." In der ausgezeichneten Einleitung bemerkt Jerzy Strzelczyk, dass lange Zeit weder die polnische, noch die deutsche Wissenschaft an einer solchen Historie des Pommerschen Fürstentums interessiert waren, die frei von nationalen Interpretationen gewesen wäre. „Die polnische Wissenschaft", schreibt Strzelczyk, „verstrickt in den historischen, ja psychologischen Randbedingungen der deutsch-polnischen Beziehungen, wandte sich faktisch von der 'nichtpolnischen' oder 'nichtslawischen' Geschichte Pommerns ab (...) das (...) zumindest bis zum Erlöschen der heimischen Dynastie der Greifen im allgemeinen erfolgreich nach der Erlangung und Erhaltung einer eigenen politischen, ethnischen und kulturellen Identität strebte, natürlich – unter den Bedingungen der Zugehörigkeit zum Kaiserreich und den immer stärker überwiegenden Einflüssen deutscher Kultur und Vorbilder." Strzelczyk unterstreicht, dass im Grunde genommen erst nach den gesellschaftlichen Veränderungen in Polen und den Änderungen in den deutsch-polnischen Beziehungen „die Überzeugung zu Wort gekommen sei, in der Geschichte unserer Region hätten auch nichtpolnische Elemente eine nicht unbedeutende (...) Rolle gespielt (...) und diese gelte es als einen unveräußerlichen Bestandteil unseres kulturellen Erbes zu untersuchen".

Erst im Jahre 2008 erschien auf Initiative des kleinen Museums in Stargard eine polnische Übersetzung der ältesten Chronik des Fürstentums Pommern – das „Protocollum" des Mönches Augustinus von Stargard. Diese entstand in den Jahren 1345–1347, sie beschreibt die Grenzen des Fürstentums, hatte jedoch keine Chance auf eine Übersetzung, da sie als antipolnisch bezeichnet wurde. In Vorbereitung befindet sich die Übersetzung weiterer

Quellen, unter anderem der „Pomerania" von Johannes Bugenhagen (1485–1558), eines Freundes Martin Luthers. Man kann deshalb wohl feststellen, die Visionen der Geschichte haben geendet und die Historiografie beginnt.

Die Zäsur des Jahres 1945 trennt nicht mehr das neue Stettin vom einstigen durch eine undurchdringliche Mauer. Im Gegenteil – der Dialog der deutschen mit der polnischen Stadt hält an, was bedeutet, dass die Stettiner Zugang zur gesamten Geschichte ihrer Stadt erlangt haben. Auch dauert der Dialog mit der nach dem Krieg in Stettin angekommenen Tradition des Grenzlandes an.

Eine Stadt des Lichtes – ein Dorf mit Straßenbahnen

Der erste Stadtpräsident Stettins nach dem Krieg, der Architekt Piotr Zaremba, war begeistert von der Stadt, von ihren urbanen Lösungen, der Weite der Straßen, den sternförmigen Plätzen, dem entlang der Oder errichteten Industriebezirk, ungeachtet der schrecklichen Zerstörungen. Doch nicht nur er. Auch andere entdeckten Stettin, und die entdeckerische Begeisterung – auch heute nicht selten – regte zu urbanistischer Schwärmerei an.

In Stettin gibt es die Straße „Zur Sonne", die vormals in Richtung der Stadt Pasewalk führte und „Pasewalker Chaussee" hieß. Im Jahre 1945 musste sie ihren Namen ändern, wenn auch nur deshalb, weil Pasewalk soviel wie nirgendwo bedeutete. Den neuen Namen ersann Helena Kurycuszowa, eine Architektin. Im Mai des Jahres 1945, auf dem Rückweg aus dem Konzentrationslager Neubrandenburg nach Warschau, hielt sie sich für einige Zeit in Stettin auf. Als sie morgens und abends die „Pasewalker Chaussee" entlang zur Arbeit ging und von der Arbeit kam, bewegte sie sich immer in Richtung der Sonne – einmal der aufgehenden und einmal der untergehenden Sonne, denn die Straße, eigentlich eher eine breite grüne Allee, war auf der Ost-West-Achse angelegt worden. Sie schlug deshalb den Namen – „Zur Sonne" vor. Wenig später tauchte ein ähnlicher Name auf: Einem ausgedehnten Platz, der zu deutscher Zeit „Quistorp Aue" hieß und an den Namen eines Gönners der Stadt erinnerte, wurde der Name „Leuchtende Auen" gegeben.

Man kann behaupten, dass sich der eigentümliche Mythos der Sonne und des Lichtes in Stettin erhalten hat. Er fand seine Verkörperung in der Architektur: So wurden die engen Gassen der Altstadt nicht wiedererrichtet, um (nach offizieller Version) das Licht nicht zu verdecken und die repräsentativen Gebäude hervorzuheben, vor allem das Schloss und die Kathedrale, nicht wiedererrichtet wurden auch die Boulevards an der Oder, um eine breite Verkehrsader entlang des Flusses zum Hafen und zur Werft zu führen. Obgleich dieselben Entscheidungen auch in anderen vom Krieg zerstörten Städten getroffen wurden, so ging es in Stettin doch auch um den Aufbau einer besseren Stadt als der deutschen.

Franciszek Gil, ein heute vergessener Publizist, nannte Stettin in einer seiner Reportagen von Ende der vierziger Jahre „eine Stadt voller Licht". Dieses Schlagwort wurde später vielfach zitiert. Das in Richtung Polen gewandte Stettin wurde über all die Jahre als Stadt leuchtender Perspektiven, des Grüns, der Magnolien, Platanen, Alleen und der Jugend dargestellt. Mitte der siebziger Jahre wurde die „Sonnige Siedlung" errichtet – eine typische Plattenbausiedlung mit Hochhäusern und beengten Wohnungen. Die Anordnung der Hochhäuser erinnert, aus der Vogelperspektive betrachtet, an die strahlende Sonne. Die spontane Nachkriegsmythologie von der Stadt der Sonne (des Lichtes) wurde von der Erfolgspropaganda der Volksrepublik übernommen.

Die Nachkriegsgeschichte Stettins kann man als eine Sinuskurve der Geburt und des Falls aufeinander folgender Mythen beschreiben: der Pionier-, der Repatriierungs-, der Piasten-, der Grenz-, der ewig polnischen multikulturellen Stadt in ausnehmend günstiger Lage. Im Hinblick auf die sternförmigen Plätze wurde Stettin als Paris des Nordens bezeichnet und wegen der zahlreichen Oderkanäle – als Venedig des Nordens. Jüngst ist die Auffassung verbreitet, die Anordnung der drei sternförmigen Plätze im Zentrum Stettins sei eine Widerspiegelung des Sternbildes Orion.

Auch eine entgegengesetzte Mythologie bildete sich heraus – die einer Stadt „des Wilden Westens", des gefährlichen Grenzgebietes, oder – wie ein Journalist und Dichter schrieb – einer Stadt der Aneignung fremden Gutes und des Selbstgebrannten, stark wie Gin.

Stark veränderten die Identität Stettins die Ereignisse des Dezember1970 und des September 1980. Nach dem Jahre 1990 ließen sie neue Schöpfungen einer Stadt der erkämpften Freiheit entstehen. Die optimistischen neunziger Jahre kann man als die neue Version eines von der Nachkriegspropaganda freien Stettiner Sonnenmythos bezeichnen. Die Geschichte der Stadt begann sich von den Dogmen zu befreien, immer wieder neue, für die Kultur Stettins wichtige Persönlichkeiten aus der deutschen Vergangenheit wurden entdeckt, wie der Komponist Carl Loewe, der Mathematiker Hermann Grassmann, der Theologe Dietrich Bonhoeffer, der Bildhauer Bernhard Heiliger oder die mit dem Bauhaus verbundenen Architekten. Diese Bewegung dauert an.

Befreit vom Korsett der Grenze, begann die Stadt in den neunziger Jahren wieder zu einem Knotenpunkt zu werden, einem Zentrum deutsch-polnischer und skandinavisch-polnischer Vorhaben. Betrachtet man dies aus heutiger Sicht, kann man den Eindruck gewinnen, Stettin sei vor dem Jahre 2000 ein besonders wichtiger Ort gewesen und dies auf verschiedenen Gebieten. Spektakuläre Erfolge hatte die Stettiner Werft und nichts deutete auf ihren Zusammenbruch hin, die Stadt modernisierte sich rasch, sie organisierte regionale europäische Begegnungen und Kongresse der Euroregionen, sie war das baltische Gesprächszentrum über mo-

> Es hat den Anschein, als befände sich Stettin gegenwärtig an einem sehr wichtigen Punkt seiner Suche nach Antwort auf die für sich grundlegenden Fragen. Auch muss es das lähmende Gefühl des Misserfolgs der Stadt überwinden, deren Ursachen im Untergang aufeinander folgender Mythen und Komplexe liegen, die aus ihren jeweiligen Überresten entstanden und entstehen. Überlagert wird dies durch die Folgen der Krise der Stettiner Wirtschaft. Es scheint jedoch, als habe der Beitritt zur Europäischen Union und der Schengen-Zone neue Stettiner Einschränkungen und Hindernisse sichtbar gemacht, weniger administrative und restriktive als kulturelle und intellektuelle. Sind Stettin und mit ihm das Grenzgebiet also in der Lage, nach mutigen Projekten zu suchen?

derne Kunst und das Zentrum des deutsch-polnischen literarischen „Dialogs“. Ihre Auftaktbegegnungen hatte hier die deutsch-polnische Kopernikus-Gruppe, es gab spektakuläre Debatten, unter anderem zwischen Joachim Gauck und Andrzej Milczanowski über die deutsche und die polnische Art der Zugänglichmachung der kommunistischen Geheimdienstarchive oder zwischen Zbigniew Kruszewski, dem ehemaligen Teilnehmer des Warschauer Aufstandes und Vizepräsidenten des Kongresses der Amerikanischen Polonia und Philipp von Bismarck, dem ehemaligen Wehrmachtoffizier, Beteiligten am Hitlerattentat im Jahre 1944 und Chef der Pommerschen Landsmannschaft. Die deutschen Christdemokraten organisierten in Stettin Reisesitzungen im Einvernehmen mit der polnischen Freiheitsunion (einmal besuchte sie als Abgeordnete Vorpommerns Angela Merkel), es zeigten sich hier herausragende europäische, insbesondere deutsche und skandinavische Politiker, in speziellen Bussen kam zur Erkundung der Senat von Berlin.

Heute ist Stettin, die frühere Stadt des Lichtes, eine ganz andere. Dominiert wird sie vom Mythos des Misserfolgs, einer seiner ehemaligen Präsidenten nannte sie geradeheraus ein „Dorf mit Straßenbahnen“. Dazu beigetragen haben die Ereignisse einiger Jahre, wie der Niedergang der Stettiner Werft, dem dramatische Ereignisse vorausgingen. Der Untergang der Mythen, welche die Identität der Stadt prägten, mussten zur Erosion dieser Identität führen. Auf so einem Nährboden erwachen alte Mythologien zu neuem Leben, wie zum Beispiel der Mythos der Grenzstadt in den Aussagen von Vertretern der national-katholischen Seite oder der Mythos der ständigen deutschen Bedrohung und schleichenden Regermanisierung der Stadt.

Es entstehen Komplexe. So hat Stettin einen Breslau-Komplex, das vermeintlich deshalb die bessere Stadt ist, weil es über den Marktplatz in der Altstadt verfügt und weil dorthin nach dem Krieg das Professorenkollegium aus Lemberg gelangte, während das Professorenkollegium aus Vilnius nicht in Stettin eintraf, weil der Zug, mit dem es fuhr, mangels Kohle in Thorn anhielt. Ein fataler Zufall hatte somit zur Folge, dass Stettin nicht bereits unmittelbar nach dem Krieg eine Universität hatte. Man kann sogar hören, dass Stettin nur zufällig, durch eine Laune Stalins und später die Zähmung des ahnungslosen Chruschtschows, eine polnische Stadt ist. Der Komplex Stettins – einer unglücklichen Stadt ohne Chancen – ist gegenwärtig sehr stark.

Stettin (lat. Sedinum oder Stetinum), die Hauptstadt und größte Stadt der Woiwodschaft Westpommern • Die Vergangenheit der Stadt wird nicht nur am Schloss der Pommerschen Herzöge und den Resten der Stadtbefestigungsanlage sichtbar: dem Siebenmänteltum und dem Königstor. • Fläche: 300,55 km² (Posen: 261 km², Breslau: 293 km²) • Einwohnerzahl: 406.427 • Hochschulen: 18 • Bibliotheken: 37 (die größte Bibliothek ist die Pommersche Landesbibliothek) • Museen: das Nationalmuseum mit der Galerie für Gegenwartskunst (Abteilungen: das Museum für Stadtgeschichte, das Seemuseum); das Schlossmuseum, das Geologische Museum, das Museum in der Kathedrale • Theater: Teatr Polski, Teatr Współczesny, Teatr Kana, Krypta, Puppentheater „Pleciuga“ • Der Stettiner Hafen bedient heute Reedereien aus der ganzen Welt und ist Heimathafen zweier großer Seeschifffahrtunternehmen: der Polnischen Seeschifffahrt und der Eurafrica-Reederei. • Das monatliche Durchschnittsbruttoeinkommen im Bereich Unternehmen beträgt 3135,02 PLN (2008) • Die Arbeitslosigkeitsquote: 9,3 % (2010).

Einerseits hat Stettin seine eigene, erhebende Geschichte vom Dezember 1970 und September 1980, doch hat es auf diesem Hintergrund auch einen Danzig-Komplex, das es – im Gegensatz zu Stettin – vermochte, aus den Ereignissen jener Zeit seine neue Identität zu schöpfen, um eine der wichtigsten Städte moderner polnischer und europäischer Prägung zu werden.

Die Auflistung Stettiner Komplexe ließe sich vervielfachen. Man erzählt sich, die Stadt habe kein deutliches Zentrum und keinen altstädtischen Markt, was zu einem räumlichen, sozialen und gedanklichen Chaos führe, sie habe keine Boulevards, vergesse das polnische Erbe und hebe das deutsche hervor, und schließlich sei sie weit entfernt von Warschau, was ihre Marginalisierung im gesamtpolnischen Informationsaustausch nach sich zöge. Stettin sei deshalb wie ein ungewolltes Kind.

Stettin – eine grenzüberschreitende Stadt?

Gelegentlich hat man den Eindruck, wenn auch nur auf der Grundlage von Gesprächen, sehr viele Stettiner hätten die Grenze trotz ihrer Nähe nie überschritten. Indessen steigt die Anzahl der Stettiner, die im deutschen Grenzgebiet Häuser kaufen, und in der Umgebung der Stadt, auf polnischer Seite, sind die Baugrundstücke bereits bis an die Grenze heran verkauft. Manche stellen deshalb die Frage, ob die deutsch-polnische Grenze in einiger Zeit innerhalb des Stettiner Stadtgebietes verlaufen wird. Vermutlich wird es so sein.

Stettin – das sind 400.000 Einwohner. Die Stadt liegt hauptsächlich zwischen der Staatsgrenze und der Oder. Es gibt hier nur noch den Kreis Police (Pölitz), was zusammen eine Einwohnerzahl von nahezu einer halben Million ergibt. Hinter der Grenze liegt der deutsche Kreis Uecker-Randow, der eine beinahe doppelt so große Ausdehnung, jedoch fast siebenmal weniger an Einwohnern (74.000) hat, deren Zahl bis zum Jahre 2025 noch sinken wird.

Uecker-Randow ist der ärmste Kreis Deutschlands, doch die Kaufkraft des durchschnittlichen Einwohners ist hier größer als die der Bewohner der reichsten polnischen Stadt Warschau. Auf der einen Seite der Grenze befindet sich somit das Gebiet Stettin mit einer halben Million Einwohnern, ungeachtet der Schwierigkeiten dynamisch und jung, und auf der anderen Seite – die sich ausdehnende demografische Wüste Vorpommerns, die trotzdem Chancen für höhere Einkommen als in Polen und ein höheres Lebensniveau bietet. Kann es in einem solchen Gebiet Platz geben für mutige gesellschaftliche und wirtschaftliche Projekte, oder eher für unrealistische Visionen und populistische Schwarzmalerei? Viele kleine Projekte der Zusammenarbeit waren und sind erfolgreich, so wie die wichtigen Bildungsprojekte (das Deutsch-Polnische Gymnasium in Löcknitz), doch gelang noch kein mutiges Investitionsprojekt, das den gesellschaftlichen Pessimis-

mus des Grenzgebietes verändert hätte. Der Städtegemeinschaft Stettin, Pasewalk, Anklam und Prenzlau gelang es nicht, einen großen Investor in das Grenzgebiet zu holen. Gegenwärtig bindet man die genannten Städte in die Bemühungen Stettins um den Titel Europäische Kulturhauptstadt 2016 ein.

Deutsch-polnische Kontakte gibt es in Stettin und im Grenzgebiet sehr viele. Mit der Dynamik dieses Prozesses können die Politiker und Politologen, die Soziologen und Kulturwissenschaftler nicht Schritt halten, obgleich die sich herausbildende Wirklichkeit in der Gesellschaft durchaus wahrgenommen wird. Könnte denn Stettin tatsächlich erneut das Zentrum der historischen Region werden? Um diese Frage zu beantworten, lohnt es sich, sich bewusst zu machen, dass die Öffnung der topografischen Grenze und die Ausweitung des Verkehrs die Stärke anderer Barrieren offenbarte: der sprachlichen, finanziellen, mentalen, rechtlichen, administrativen, der Barrieren des Brauchtums usw. Die deutsch-polnische Nachbarschaft ist deshalb weiterhin schwierig, wenn gleich aus völlig anderen Gründen als einst. Nichts deutet darauf hin, dass es rasch anders wird.

In der kurzen Nachkriegsgeschichte durchlief Stettin einen langen Weg von der Vision einer antideutschen Festung bis zur Schengen-Ära. Man kann meinen, es sei dies die Rückkehr zur Gründeridee der Stadt, jedoch unter Bedingungen, die ihre Wiederentstehung gegenwärtig wohl zu einer Illusion machen. Dies bedeutet keineswegs, dass es nicht irgendeine glückliche Fügung der Umstände geben wird, irgendeinen erträumten Investor, der dies ändert. Heute ist es jedoch so, dass, obgleich sich die ehemaligen Satellitenstädte Stettins im deutschen Grenzgebiet sehr gern an ihre Metropole annähern würden, da sie darin ihre Chance erblicken, Stettin, das den Nutzen, den es daraus ziehen könnte, ebenfalls wahrnimmt, seine Dynamik vor allem in die entgegengesetzte Richtung lenkt. Die westliche, grenzüberschreitende Ausrichtung ist somit Gegenstand einer individuellen – sozusagen – von den Bürgern ausgehenden Expansion.

Um so nötiger sind deshalb heute gemeinsame deutsch-polnische Investitionsprojekte für das nördliche Grenzgebiet. Je länger sie fehlen, umso größer die Felder für soziale Frustration.

Die Quellen sind vorhanden – es mangelt an ihrer Synthese

Warum sind die Stettiner Komplexe derart anhaltend, auch die Komplexe des Grenzgebietes, warum ist es so schwierig, sie zu durchbrechen? Vielleicht flüstern die Vitrinen der Buchhandlungen, die gefüllt sind mit fragmentarischen Büchern über die Stadt, eine Antwort auf diese Frage. Gängige synthetische Abhandlungen über verschiedene Lebensbereiche sind nicht vorhanden, es fehlt an kontinuierlich aktualisierten soziologischen Analysen, die Auflagen der „Geschichte Stettins" und des populären Buches „Stettin" von Jan M. Piskorski sind seit Langem erschöpft. Es gibt die „Enzyklopädie Stettins", doch diese verstärkt naturgemäß das Informationsrauschen. Sogar die größten Errungenschaften der Stettiner bleiben so nicht in der gesellschaftlichen Erinnerung haften und können deshalb kein Katalysator der Einschätzungen sein, worauf im Übrigen in nicht wenigen Debatten verwiesen wird. Lediglich der Dezember 1980 hat in Stettin seine reichhaltige Bibliografie und wurde in den gesellschaftspolitischen Kontext der Nachkriegsgeschichte eingebunden; wichtig, obgleich diskussionswürdig, sind auch die umfangreichen historisch-politischen Synthesen, die Kazimierz Kozłowski veröffentlichte. Was die deutsch-polnischen Angelegenheiten anbelangt, so fehlt es, obwohl zahlreiche fragmentarische Bücher erscheinen, an so wichtigen Arbeiten, wie der erwähnten Auswahl von Quellen „Stettin-Szczecin 1945–1946".

Heißsporne des Grenzgebietes gibt es viele, lokale Initiativen sehr viele und alle sind wichtig. Doch auch ihnen fehlt die Zusammenführung, die Verallgemeinerung, die Prüfung der Bedeutung auf dem breiteren Hintergrund des Grenzgebietes und der deutsch-polnischen Beziehungen. Dies ist die Folge eines Mangels an systematischer Untersuchung des Grenzgebietes, des Mangels an einer Metasprache. Darum haben die Reflexionen über das Grenzgebiet weiterhin nur eine lokale, höchstens regionale Dimension. Es gibt reichlich aktuelle Publizistik, doch es mangelt an Essayistik.

Heute über Stettin und das Grenzgebiet zu schreiben, ist eine anstrengende und undankbare Beschäftigung. Das Durchsehen weiterer Bücher aus dem reichhaltigen Angebot bringt nicht viel mehr als das Kennenlernen weiterer Anekdoten. Unterdessen vollziehen sich im Grenzgebiet, wie auch in den gesellschaftlichen Kontakten zwischen Stettin und Berlin sehr wichtige Dinge.

Geht es um moderne Stettiner Erzählungen, so ging die schöngeistige Literatur am weitesten in der Überwindung ihrer lokalen Begrenztheit, was die gesamtpolnischen Karrieren einer Inga Iwasiów, eines Artur D. Liskowacki sowie eines Krzysztof Niewrzęda belegen.

***

Es hat den Anschein, als befände sich Stettin gegenwärtig an einem sehr wichtigen Punkt seiner Suche nach Antwort auf die für sich grundlegenden Fragen. Auch muss es das lähmende Gefühl des Misserfolgs der Stadt überwinden, deren Ursachen im Untergang aufeinander folgender Mythen und Komplexe liegen, die aus ihren jeweiligen Überresten entstanden und entstehen. Überlagert wird dies durch die Folgen der Krise der Stettiner Wirtschaft. Es scheint jedoch, als habe der Beitritt zur Europäischen Union und der Schengen-Zone neue Stettiner Einschränkungen und Hindernisse sichtbar gemacht, weniger administrative und restriktive als kulturelle und intellektuelle.

Sind Stettin und mit ihm das Grenzgebiet also in der Lage, nach mutigen Projekten zu suchen? Oder im Gegenteil – geben sie sich mit schönen Visionen und sympathischen Anekdoten über das Pilzesammeln in Deutschland zufrieden, der Verbindung Krakaus mit Stettin über Berlin und der *gemütlichen* Umgebung Stettins?

Das Grenzgebiet bedarf heute einer fachkundigen Sprache der Beschreibung und systematischer Erforschung. Darum würde es sich wohl lohnen, vielleicht gerade in Stettin, eine Forschungseinrichtung zu berufen, die sich damit beschäftigt. Die Wissenschaft von den Grenzen (engl. Borderology) ist seit Jahren in den USA sehr populär (dort u. a. von Prof. Zbigniew Kruszewski etabliert), erbrachte in Skandinavien interessante Ergebnisse und macht ihre ersten Schritte an der Universität Greifswald.

Aus dem Polnischen von Fritz Müller

Bogdan Twardochleb
Journalist, Redakteur der Tageszeitung „Kurier Szczeciński", lebt in Stettin.

Fot. 4Dfoto

Bogdan **Twardochleb**

Szczecin – w poszukiwaniu nowej tożsamości

W krótkiej powojennej historii Szczecin przeszedł długą drogę od wizji antyniemieckiej twierdzy do ery Schengen

Kontaktów polsko-niemieckich jest w Szczecinie i na pograniczu bardzo dużo. Za dynamiką tych procesów nie nadążają politycy i politolodzy, socjologowie i kulturoznawcy. Czy jednak Szczecin faktycznie może na powrót stać się centrum historycznego regionu? Odpowiadając na to pytanie warto sobie uświadomić, że otwarcie granicy topograficznej i wzmożenie ruchu przez nią ujawniło siłę innych barier: językowych, finansowych, mentalnych, prawnych, obyczajowych, administracyjnych. Sąsiedztwo polsko-niemieckie wciąż więc jest trudne, choć z zupełnie innych powód niż kiedyś.

Miasto jest rozwlekłe: czterdzieści kilometrów w linii prostej z północno-zachodnich krańców do południowo-wschodnich. Dwa ramiona Odry, wzgórza jej kotliny, wyspy, od północy wielkie jezioro i z trzech stron puszcze, z których jedna zaczyna się alejami w środku miasta, a kończy daleko za granicą Niemiec. Kiedy przegląda się książki i albumy o Szczecinie, niemieckie i polskie, różnią się w wielu sprawach, ale zaskakująco zgodne są w opisie pięknego, a przede wszystkim miłego otoczenia, *gemütliche Umgebung*.

Blisko geograficznego środka Szczecina jest martwa dziś stocznia, przez wiele lat po wojnie chluba Szczecina. Trwają starania o restytuowanie w niej produkcji statków, bądź – w najgorszym razie – uruchomienie jakiejkolwiek produkcji. Wzdłuż Odry są jeszcze inne nieczynne zakłady, ale nie wszystkie, wbrew temu, co mówią autorzy czarnych wizji. Dobrze trzyma się szczecińska stocznia remontowa, powstają małe stocznie prywatne, ruch jest w porcie, z roku na rok przypływa do Szczecina więcej oceanicznych statków wycieczkowych, choć do niedawna nie przypływał żaden.

Prawda – wyludnia się centrum miasta i rozrósł się Szczecin postindustrialny, głównie w geograficznym swoim centrum, na wyspie Łasztownia, gdzie jest skupisko magazynów portowych z przełomu XIX i XX wieku i obiekty starej rzeźni, fascynujące artystów, lecz nie zawsze biznes. Jest też druga strona medalu: w Szczecinie działają nowe firmy programistyczne i projektowe, modernizują się uczelnie, rozrastają osiedla domków jednorodzin-

nych na obrzeżach i w gminach sąsiednich, gdzie coraz trudniej o wolne tereny inwestycyjne.

Tuż za zachodnimi rogatkami miasta jest granica polsko-niemiecka. Wytyczona przez polityków ledwie 65 lat temu, ostro oddzielająca Polskę od Niemiec – dziś, po wejściu Polski do Unii Europejskiej i strefy Schengen, jest zupełnie do siebie niedawnej niepodobna.

Co wie się o Szczecinie poza Szczecinem? Szczecinianie są pewni, że w centralnych ośrodkach Polski i Niemiec bardzo mało, zgoła nic. Być może to się powoli zmienia, choćby ze względu na ogólnopolskie kariery polityczne, naukowe i artystyczne grupki szczecinian, lecz jak na półmilionową metropolię to raczej mało. Główne ośrodki Polski są od Szczecina wciąż „daleko", zwłaszcza Warszawa, która w scentralizowanej Polsce jest bez cienia wątpliwości najważniejsza.

Wjazd do Szczecina – zarys problemów

Dla Niemców, przede wszystkim starszych, wjazd pociągiem do Szczecina bywa traumatyczny. Tory biegną przy starej cukrowni, w której po wojnie był obóz zbiorczy dla tysięcy wysiedlanych. Tu wsiadali do pociągów i bez prawa powrotu do rodzinnych stron przejeżdżali nową granicę, dla nich niepojętą. Starsi Polacy mają z tym miejscem inne skojarzenia: tu wysiadali z pociągów, szli do nieznanego miasta, nie bardzo wiedzieli, gdzie jest granica. Jednych od drugich dzieliło wszystko, łączyła niepewność jutra, być może wiara, że wrócą do rodzinnych domów, na pewno strach o życie, bo obóz i stacja nie były bezpieczne.

Samochodem od strony Berlina i pomorskiego Pasewalku jedzie się do Szczecina idyllicznie – lasy i pola. Mało kto zauważa charakterystyczny pomniczek na przejściu granicznym w Pommellen, postawiony po koniec lat dziewięćdziesiątych: nagi chłopiec na koniu jedzie wzdłuż granicy. Ma on symbolizować dzisiejsze, pokojowe Niemcy. Koń nie jest zbrojnym rumakiem, nie siedzi na nim zdobywca, nie chce przekroczyć granicy, lecz przeciwnie – zaprasza do spokojnego kraju.

Wjazd do Polski kończy idylliczne landszafty. Tuż za granicą są kolorowe stacje paliw, targowiska (niewielkie, jeśli przypomnieć sytuację sprzed kilku lat), hale firm, osiedla mieszkaniowe, hipermarkety i Szczecin.

Od strony Polski wjeżdża się do Szczecina inaczej. Też są lasy i pola, ale krajobraz jest zdecydowanie bardziej zurbanizowany. Do centrum, położonego po lewej stronie delty Odry, jedzie się szeroką arterią przez most nad wschodnim jej ramieniem, mija się tereny portu na Łasztowni i wjeżdża na kolejny wysoki i długi most, z którego widać Odrę zachodnią i panoramę miasta z reprezentacyjnymi Wałami Chrobrego, a z prawej nieczynną stocznię. Raptem słoneczna arteria się kończy skrzyżowaniami w centrum. Naprzeciw powstaje potężny hipermarket, mimo że inny, dobrze znany także na niemieckim pograniczu, uruchomiony kilka lat temu, jest o kilkaset metrów dalej. Niebawem oba zdominują centrum miasta. W Szczecinie można by też powiedzieć inaczej: stworzą centrum, którego – jak uważa wielu mieszkańców – wciąż nie ma.

Agencja Gazeta

Schloss der Herzöge von Pommern / *Zamek Książąt Pomorskich*

Szczecin rzadko jest celem podróży turystycznych dłuższych niż jednodniowe. Na noclegi w hotelach zatrzymują się wycieczki, dla których celem podróży najczęściej jest Gdańsk i Mazury. Jadąc z centrum Polski do kąpielisk zachodniego Bałtyku Szczecin też najwygodniej jest ominąć.

Otwarcie granicy ułatwiło też podróżowanie ze Szczecina do nadodrzańskich, polskich miasteczek położonych na południe od niego. Z Polski do Polski jeździ się tu przez Niemcy. Ruch jest duży, bo dojeżdża się na przykład do pracy.

Granica. Od twierdzy do linii na mapie

Granicę polsko-niemiecką, ufortyfikowaną kiedyś zasiekami i fotokomórkami, które miały nie przepuszczać wrogów, a po roku 1990 umocnioną rowem, który miał hamować szmugiel, można dziś przekraczać w dowolnym miejscu, nawet tam, gdzie rowu nie zasypano. W lasach jest jak przesieka, a między polami jak szeroka miedza. To bardzo zmienia sytuację Szczecina. Warto jednak przypomnieć, jak było jeszcze niedawno, jak głębokie zaszły zmiany, jakim fenomenem jest otwarta granica.

Rok 1945 był najważniejszy w całej historii Szczecina, był dla niego – mówiąc obrazowo – początkiem nowej ery: zakończył okres niemiecki, zaczął polski. Podobnie było też na innych ziemiach, objętych wówczas przez Polskę, na których dokonano rewolucji etnicznej – wymiany (transferu) ludności. Ale także z innych przyczyn Szczecin znalazł się w nowych konstelacjach.

Do 1945 roku był centrum administracyjnym i geograficznym historycznego regionu – stał się miastem przy granicy państwa. Jeśli więc podobny co do wielkości Wrocław, który dziś jest dla szczecinian jednym z miast wzorcowych, pozostał centrum regionu, zachowując powiązania przestrzenne, to granica odcięła od Szczecina większą część jego zachodniego zaplecza. Przestał więc istnieć organizm, tworzący się przez wieki. Rygory graniczne silnie oddziałały także na miasto i nie chodzi tylko o ponadprzeciętną obecność wojska. Silnie strzeżona granica była także w porcie, a więc wewnątrz przestrzeni miejskiej. Z tego powodu port był dostępny tylko dla jego pracowników i marynarzy.

Nowa granica zmieniła wektory Szczecina. Do 1945 roku był miastem na skrzyżowaniu

dróg handlowych wschód-zachód i północ-południe, a znalazł się tylko na linii północ-południe i na kierunku wschodnim. Granica przecięła wszystkie połączenia z zachodem. Zerwane zostały linie kolejowe, wielorakie kontakty z Berlinem, przestały do niego płynąć strumienie towarów z portów wschodniego Bałtyku, Berlin miał zniknąć z pamięci Szczecina.

Do 1945 roku Szczecin był węzłem kolejowym i punktem docelowym – stał się stacją końcową. Wyznaczono jedno graniczne przejście drogowe i jedno kolejowe. Kierunek północny, o którym mówiono, że jest oknem Polski na świat, długo był dostępny tylko dla handlu.

Choć granicę państwa wytyczono kilka kilometrów w linii prostej od granicy miasta, nie miała ona z nim połączeń i dla mieszkańców była niedostępna, a tym samym nie odgrywała w ich codziennym życiu żadnej roli. Przedstawiana była początkowo jako wał obronny przed germańskim niebezpieczeństwem, z czasem jako swoista otulina spokoju. Można powiedzieć, że niemal rezerwatu, bo szczecinianie mogli swobodnie wydostać się z miasta w zasadzie tylko w jedną stronę – na wschód, przez dwa wąskie mosty, drogowy i kolejowy. Miasto, ściśnięte przez Odrę, tów, ul. Mieszka I. Centralny ówcześnie plac miasta otrzymał nazwę Grunwaldzki.

czem, jak też z Berlinem – i to się dzieje. Nie może być jednak mowy o odtwarzaniu powiązań społecznych, bo te skutkiem powojennego transferu ludności zostały zlikwidowane całkowicie. Dziś możliwe jest więc jedynie budowanie powiązań nowych, nie tylko transgranicznych, lecz transkulturowych.

Objęcie Polski ustaleniami układu z Schengen umożliwiło spektakularne zmiany w powiązaniach komunikacyjnych Szczecina, a tym samym w myśleniu o charakterze miasta. Stało się możliwe to, co do niedawna wydawało się absurdem: między Polską południową a Szczecinem jeździ się dziś najszybciej i najwygodniej

Stettin in den ersten Nachkriegsjahren / *Szczecin w latach powojennych*

Rodziło się wrażenie, że Szczecin jest na końcu świata. Propaganda łagodziła je wizjonerskim hasłem: „Tu Polska się nie kończy, tu Polska się zaczyna". Miasto zostało funkcjonalnie i symbolicznie odwrócone w stronę Polski. Z jego planu zniknęły nazwy, orientujące na zachód, na przykład Brama Berlińska (Berliner Tor) i Szosa do Pasewalku (Pasewalker Chausse), a pojawiły się nazwy zorientowane przeciwnie – na wschód. Wzięte zostały z polskiego uniwersum kulturowego, jak na całych ziemiach zachodnich i północnych.

Dziś się już tego nie zauważa, bo nazwy się zleksykalizowały, że nazwami tworzono ze Szczecina symboliczną przygraniczną twierdzę, mityczną warownię, w której czujnie odpoczywają zwycięzcy wojen z Niemcami. Tworzono kresową stanicę – gniazdo orła, jak pisała ówczesna poetka. Ilustruje to charakterystyczny ciąg nazw ulic i placów, prowadzących od Odry w stronę wyjazdu do granicy z Niemcami. Są to: Wały Chrobrego, ul. Zygmunta Starego, ul. Jana Matejki, pl. Hołdu Pruskiego, pl. Żołnierza Polskiego, al. Niepodległości, pl. Zwycięstwa, ul. Krzywoustego, al. Piasgranicę i Zalew Szczeciński na północy, stawało się coraz bardziej zamknięte, klaustrofobiczne. Tak oczywiście o nim nie pisano, lecz przeciwnie – że jest to miasto otwarte na świat. Tymczasem traciło ono nawet pamięć swych dawnych układów. W końcu zbędna stała się na przykład obwodowa kolej miejska.

Stosunek do granicy zmienił się, gdy w 1972 roku wprowadzono ułatwienia w podróżach między Polską a NRD. Szczecinianie korzystali z nich masowo, podobnie jak obywatele NRD. W każdą sobotę ulice centrum obstawione były enerdowskimi autobusami wycieczkowymi, przepełnione pociągi jeździły w obie strony. Mało kto jednak przejął się tym, że w 1980 roku granicę zamknięto z obawy przed przesiąkaniem idei Solidarności do NRD. Ważniejsze były wewnętrzne sprawy kraju, a po drugie – z Berlina Wschodniego raczej nikt nie oczekiwał przyjaznych gestów wobec ruchu odnowy.

Upadek żelaznej kurtyny i zmiany, jakie następowały potem, umożliwiły odtwarzanie się infrastrukturalnych powiązań Szczecina z jego dawnym, zachodnim zaplekprzez ring Berlina, choć nie jest to trasa najbliższa. Zlikwiduje się sama, gdy powstaną w Polsce autostrady, lecz teraz mocno działa na wyobraźnię.

Dopiero teraz można sprawdzić praktycznie, że Berlin i Szczecin (*toute proportion gardée*) są najbliżej siebie położonymi dużymi miastami. Dalej niż do Berlina jest ze Szczecina do Zielonej Góry (w linii prostej 200 km), Poznania (220 km) i Warszawy – prawie 500 kilometrów (ponad trzykrotnie dalej niż do Berlina). Modyfikuje to wybory społeczne, bo na przykład młodzież może jeździć na koncerty swoich idoli do Berlina, nie musi do bardziej oddalonych miast Polski. Obrazowo można też powiedzieć, że ze Szczecina do Muzeum Historii Niemiec jest trzy razy bliżej niż do Muzeum Powstania Warszawskiego. Choć to tylko ekspresyjnie opisana rzeczywistość, niektórzy polityczni wizjonerzy mogą się czuć poruszeni.

Odtworzyły się przestrzenne połączenia, jakie funkcjonowały do 1945 roku. Do przygranicznych wiosek niemieckich szczecinianie mieli kiedyś tylko teoretycznie blisko, a dziś chodzą za granicę na grzyby.

Pociąga to za sobą zmiany kulturowe, bo Niemcy uczą się zbierania grzybów, a pomagają im w tym etatowi doradcy (Pilzberater). O odtworzenie dawnej linii kolejowej Berlin-Świnoujście, zniszczonej w 1945 roku, zabiegają wspólnie Niemcy i Polacy z wyspy Uznam.

Fascynujących zmian na pograniczu jest o wiele więcej. Swoboda podróżowania pozwoliła wykreować zoo w niemieckim Ueckermünde jako zoo szczecińskie. W Szczecinie nie ma słowiańskiego skansenu – jest w niemieckim miasteczku Torgelow.

Głównie różnice w cenach nieruchomości w Polsce i Niemczech spowodowały, być kontrahentem dla wschodniej Brandenburgii i Berlina, a konkurencja z portem w Rostoku może stać się problemem także politycznie niebagatelnym, zważywszy na to, że oba miasta mogą szukać w kontaktach gospodarczych z Berlinem antidotum na swoje kłopoty. To są problemy, które stworzył układ z Schengen. Polacy i Niemcy stali się faktycznie sąsiadami pierwszego kontaktu. Gdy Polska wejdzie to strefy euro, kontakt ten będzie jeszcze bardziej bezpośredni.

Coraz mniej ludzi już pamięta, jak granica polsko-niemiecka wyglądała niedawno, bo do dobrego łatwiej się przyzwyczaić. Granica nie jest już linią demarkacyjną,

Czołowy wówczas publicysta szczeciński i popularyzator historii, omawiając w popularnej broszurze dzieje miasta „do śmierci ostatniego z Piastów", pisał o średniowieczu: „W tym okresie charakter miasta był zupełnie polski. Zarówno mieszczanie, jak marynarze i pospólstwo byli Polakami. Nie znaczy to, by Niemców w mieście nie było, mieszkali oni jednakże w specjalnie przeznaczonej dla nich dzielnicy, po prostu w niemieckim getto".

Nie miejsce tu na opisy niuansów późniejszej historiografii, która z dziejów Pomorza Zachodniego długo wybierała tylko wątki polskie, tworząc wrażenie jego historycznej polskości i de facto tę historiografię

PAP

że już ponad 1250 szczecinian jest zameldowanych w przygranicznych wioskach i miasteczkach niemieckich, głównie w powiecie Uecker-Randow, gdzie kupili domy bądź wynajęli mieszkania. Prawie wszyscy dorośli pracują w Szczecinie (do pracy mają bliżej niż mieszkańcy niejednego szczecińskiego osiedla), ale dzieci coraz częściej posyłają do przedszkoli i szkół w Niemczech. Rośnie liczba obywateli polskich korzystających z niemieckiej opieki socjalnej (Kindergeld), co szczególnie w Uecker-Randow, regionie, który według niemieckich statystyk jest najbiedniejszy w RFN, budzi także nieprzychylne Polsce komentarze, nie tylko ze strony NPD. Tym bardziej, że choć wielu Niemców przyjeżdża do Szczecina na zakupy, do filharmonii, opery, muzeów, to jednak bardzo nieliczni kupili domy w okolicach Szczecina.

Szczecin ma swobodny dostęp do autostrad A-11 i A-20, a poprzez nie do całej sieci autostrad zachodnioeuropejskich. Szczecinianie szybciej mogą być w Lubece i Hamburgu, niż w Gdańsku, lotnisko w Goleniowie musi konkurować o pasażerów z lotniskami Berlina, port może strefą buforową, otuliną bezpieczeństwa. Jest miejscem na mapie, gdzie kończy się jedno państwo, a zaczyna drugie.

Kreacje historii. Od izolacji do ciągłości

Po wojnie kreowano Szczecin na miasto historycznie polskie i antyniemieckie. Zgodnie, mimo zasadniczych różnic w innych sprawach, czyniło tak państwo i Kościół. Gazetka Polskiego Związku Zachodniego informowała w 1947 roku, że Szczecin był miastem niemieckim tylko przez 120 lat, od kongresu wiedeńskiego do końca drugiej wojny światowej.

Za symbol polskiego panowania w Szczecinie uznano zamek, nazwany Zamkiem Książąt Piastowskich, albo Piastów Zachodniopomorskich (dziś nazwa brzmi: Zamek Książąt Pomorskich). Działacze Polskiego Związku Zachodniego, przekonani o piastowskich początkach całego Pomorza, żądali, aby włączyć je do Polski aż po Rugię. Historię Szczecina, tak jak jego przestrzeń, zwrócono ku Polsce. Budowano więc w istocie miasto zmitologizowane, nowe, narodowy symbol.

niszcząc. Miasto wciąż wyzwala się z propagandowych obciążeń, co nie jest łatwe. Przełomem było czterotomowe wydanie „Dziejów Szczecina" po redakcją głównie Gerarda Labudy (ukazywały się w latach 1963–1998, aż 35 lat!), zwłaszcza tomu trzeciego pod redakcją Bogdana Wachowiaka, obejmującego lata 1906–1945, a także popularnego zarysu historycznego „Szczecin" pod redakcją Jana M. Piskorskiego (1995, 1998, 2002). Jeśli chodzi o rok 1945 nowy etap badań otworzył wspólny polsko-niemiecki wybór źródeł „Stettin – Szczecin 1945 – 1946. Dokumente – Dokumenty. Erinnerungen – Wspomnienia", wydany przez Uniwersytet Szczeciński i Ostsee Akademie pod redakcją Tadeusza Białeckiego (1994).

W końcu tłumaczy się na polski i publikuje źródła do dziejów dawnych Księstwa Pomorskiego i Szczecina. Dopiero w 2005 roku ukazało się źródło podstawowe – „Pomerania" Tomasza Kantzowa (1505–1542) – w znakomitym tłumaczeniu Krzysztofa Gołdy (opracowanie: Tadeusz Białecki, Edward Rymar). Na kronikę tę powoływali się wcześniej wszyscy pomorzoznawcy, ale tłu-

maczona nie była. Dlaczego? Otóż Kantzow tak zaczyna opis Pomorza Zachodnie: „Nie ma wątpliwości, iż na ziemi tej, odkąd pierwszy mamy zapis, Germanie siedzieli". W znakomitym wstępie Jerzy Strzelczyk zauważa, że długo ani nauka polska, ani niemiecka nie były zainteresowane taką historią Księstwa Pomorskiego, która byłaby wolna od narodowych interpretacji. „Nauka polska – pisze Strzelczyk – uwikłana w historyczne, a nawet psychologiczne uwarunkowania stosunków polsko-niemieckich, odwracała się właściwie od dziejów 'niepolskiego' czy 'niesłowiańskiego' Pomorza, (...) które (...) przynajmniej aż do wygaśnięcia rodzimej dynastii Gryfitów na ogół pomyślnie dążyło do uzyskania i utrzymania własnej osobowości politycznej, etnicznej i kulturalnej, oczywiście – w warunkach przynależności do Cesarstwa i coraz bardziej przeważających wpływach kultury i wzorów niemieckich". Strzelczyk podkreśla, że właściwie dopiero po zmianach ustrojowych w Polsce i zmianach w stosunkach polsko-niemieckich „dochodzi do głosu w naszym kraju przekonanie, że także niepolskie elementy odgrywały w dziejach naszych ziem niebagatelną (...), rolę (...) i należy ją badać jako niezbywalną część naszego dziedzictwa kulturowego".

Dopiero w 2008 roku, z inicjatywy niewielkiego Muzeum w Stargardzie Szczecińskim, ukazało się polskie tłumaczenie najstarszej kroniki Księstwa Pomorskiego – „Protocollum" mnicha Augustyna ze Stargardu. Powstała w latach 1345–47, opisuje granice księstwa, lecz nie miała szans na tłumaczenie, bo została określona jako antypolska. Przygotowane są tłumaczenia następnych źródeł, w tym „Pomeranii" Johannesa Bugenhagena (1485–1558), przyjaciela Marcina Lutra. Można więc chyba powiedzieć, że skończyły się wizje historii, a zaczęła historiografia.

Cezura roku 1945 roku nie oddziela już Szczecina nowego od dawnego nieprzenikliwym murem. Przeciwnie – trwa dialog miasta niemieckiego z polskim, co znaczy, że szczecinianie uzyskali dostęp do całej historii swego miasta. Trwa też dialog z przywiezioną po wojnie do Szczecina tradycją kresową.

Miasto światła – wioska z tramwajami

Pierwszy po wojnie prezydent Szczecina, architekt Piotr Zaremba, był zachwycony miastem, rozwiązaniami urbanistycznymi, przestronnością ulic i gwiaździstych placów, dzielnicą przemysłową, zbudowaną wzdłuż Odry, mimo że była potwornie zniszczona. Nie tylko on. Inni też odkrywali Szczecin, a zachwyt odkrywcy – dziś także nierzadki – skłaniał do urbanistycznego wizjonerstwa.

Szczecin (łac. Sedinum lub Stetinum) • stolica i największe miasto województwa zachodniopomorskiego • o jego przeszłości oprócz Zamku Książąt Pomorskich świadczą również pozostałości umocnień miejskich: Baszty Siedmiu Płaszczy i Bramy Królewskiej • powierzchnia: 300,55 km² (Poznań 261 km², Wrocław 293 km²) • liczba ludności: 406 427 • uczelnie wyższe: 18 • biblioteki: 37 (największą z nich jest Książnica Pomorska) • muzea: Narodowe z Galerią Sztuki Współczesnej (oddziały: Muzeum Historii Miasta i Muzeum Morskie); Muzeum Zamkowe, Muzeum Geologiczne, Katedralne • teatry: Polski, Współczesny, Kana, Krypta, Teatr Lalek Pleciuga • szczeciński port morski obsługuje armatorów z całego świata i jest portem macierzystym dwóch dużych przedsiębiorstw żeglugowych: Polskiej Żeglugi Morskiej i Euroafrica • przeciętne miesięczne wynagrodzenie brutto w sektorze przedsiębiorstw: 3135,02 zł (2008) • stopa bezrobocia: 9,3% (2010)

W Szczecinie jest ul. Ku Słońcu, która kiedyś prowadziła w kierunku miasta Pasewalk i nazywała się Pasewalker Chausse. W 1945 roku musiała zmienić nazwę, choćby dlatego, że Pasewalk znaczyło tyle co nigdzie. Nową nazwę wymyśliła Helena Kurycuszowa, architekt. Wracając w maju 1945 roku z obozu koncentracyjnego w Neubrandenburgu do Warszawy, zatrzymała się na jakiś czas w Szczecinie. Idąc rano i wieczorem Pasewalker Chausse do pracy i z pracy zawsze szła w kierunku słońca – raz wschodzącego, raz zachodzącego, bo ulica, a raczej szeroka zielona aleja, została wytyczona na osi wschód-zachód. Zaproponowała więc jej nazwę – Ku Słońcu. Niebawem pojawiła się podobna nazwa: rozległy plac, który w czasach niemieckich nazywał się Quistorp Aue, upamiętniając nazwisko darczyńcy miasta, nazwano Jasne Błonia.

Można powiedzieć, że swoisty mit miasta słońca i światła utrwalił się w Szczecinie. Miał swoje wcielenia w architekturze: nie odbudowano ciasnych uliczek Starego Miasta, żeby (wersja oficjalna) nie zasłaniać światła i wyeksponować reprezentacyjne budowle, m.in. zamek i katedrę, nie odbudowano bulwarów nad Odrą, żeby poprowadzić szeroką arterię wzdłuż rzeki do portu i stoczni. Choć takie same decyzje podejmowano również w innych miastach, zniszczonych przez wojnę, to jednak w Szczecinie chodziło też o zbudowanie miasta lepszego niż niemieckie.

Franciszek Gil, zapomniany dziś publicysta, w jednym ze swoich reportaży z końca lat czterdziestych nazwał Szczecin „miastem pełnym światła". Slogan ten cytowano potem po wielokroć. Odwrócony w stronę Polski Szczecin przedstawiano przez całe lata jako miasto świetlanych perspektyw, zieleni, magnolii, platanów, alei i młodości. W połowie lat siedemdziesiątych zbudowano osiedle Słoneczne – to typowa wielka płyta, wieżowce, ciasne mieszkania. Układ wieżowców, oglądanych z lotu ptaka, przypomina promieniste słońce. Powojenna spontaniczna mitologia miasta słońca (światła) przejęta została przez peerelowską propagandę sukcesu.

Powojenne dzieje Szczecina można opisywać jako sinusoidę rodzenia się i upadku kolejnych mitów: pionierskiego, repatrianckiego, piastowskiego, kresowego, wiecznie polskiego, miasta o wyjątkowo korzystnym położeniu, wielokulturowego. Ze względu na gwiaździste place Szczecin nazywano Paryżem północy, a ze względu na liczne kanały Odry – Wenecją północy. Ostatnio popularny jest pogląd, że układ trzech gwiaździstych placów w centrum Szczecina to odzwierciedlenie gwiazdozbioru Oriona.

Tworzyła się też mitologia przeciwna – miasta „dzikiego zachodu", niebezpiecznego pogranicza, czy – jak pisał dziennikarz-poeta – miasta „szabru i bimbru mocnego jak dżin".

Tożsamość Szczecina bardzo silnie zmodyfikowały wydarzenia Grudnia 1970 i Sierpnia 1980. Po roku dziewięćdziesiątym zrodziły one nowe kreacje miasta wywalczonej wolności. Optymistyczne lata dziewięćdziesiąte można nazwać

nową wersją szczecińskiego mitu słonecznego, wolnego od powojennej propagandy. Historia miasta zaczęła wyzwalać się od dogmatów, odkrywano coraz to nowe postacie z niemieckiej przeszłości, ważne dla kultury Szczecina, jak na przykład kompozytor Carl Loewe, matematyk Hermann Grassmann, teolog Dietrich Bohnhoeffer, rzeźbiarz Bernhard Heiliger, czy architekci związani z Bauhausem. Ten ruch trwa.

W latach dziewięćdziesiątych miasto, uwolnione z gorsetu granicy, zaczęło znów stawać się miastem węzłowym, centrum przedsięwzięć polsko-niemieckich i polsko-skandynawskich. Jeśli patrzy się na to z dzisiejszego punktu widzenia, można odnieść wrażenie, że przed 2000 rokiem Szczecin był miejscem wyjątkowo ważnym i to w różnych dziedzinach. Spektakularne sukcesy miała Stocznia Szczecińska i nic nie zapowiadało jej krachu, miasto szybko się modernizowało, organizowało spotkania euroregionalne i kongresy regionów Europy, było bałtyckim centrum rozmów o sztuce współczesnej i polsko-niemieckiego literackiego „Dialogu". Swoje inauguracyjne spotkania miała tu polsko-niemiecka Grupa Kopernika, był spektakularne debaty, między innymi Andrzeja Milczanowskiego i Joachima Gaucka o polskiej i niemieckiej wersji udostępniania archiwów komunistycznych tajnych służb, czy Zbigniewa Kruszewskiego, byłego powstańca warszawskiego i wiceprezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej, z Philippem von Bismarckiem, byłym oficerem Wehrmachtu, uczestnikiem spisku antyhitlerowskiego w 1944 roku i szefem Ziomkostwa Pomorskiego. Niemieccy chadecy organizowali w Szczecinie wyjazdowe posiedzenia w porozumieniu z Unią Wolności (raz przyjechała na nie Angela Merkel, posłanka z Pomorza Przedniego), pojawiali się wybitni politycy europejscy, zwłaszcza niemieccy i skandynawscy, specjalnymi autobusami przyjeżdżał na rekonesanse senat Berlina.

Dziś Szczecin, dawne miasto światła, jest zupełnie inny. Zdominowany jest przez mit klęski, a jeden z jego byłych prezydentów nazwał go wprost „wioską z tramwajami". Złożyły się na to wydarzenia kilku lat, w tym upadek Stoczni Szczecińskiej, poprzedzony dramatycznymi wydarzeniami. Upadki mitów, konstytutywnych dla tożsamości miasta, musiały powodować jej erozję. Na takim podłożu odżywają dawne mitologie, jak na przykład miasta kresów w wypowiedziach przedstawicieli opcji narodowo-katolickiej, czy ciągłego zagrożenia niemieckiego i pełzającej regermanizacji miasta.

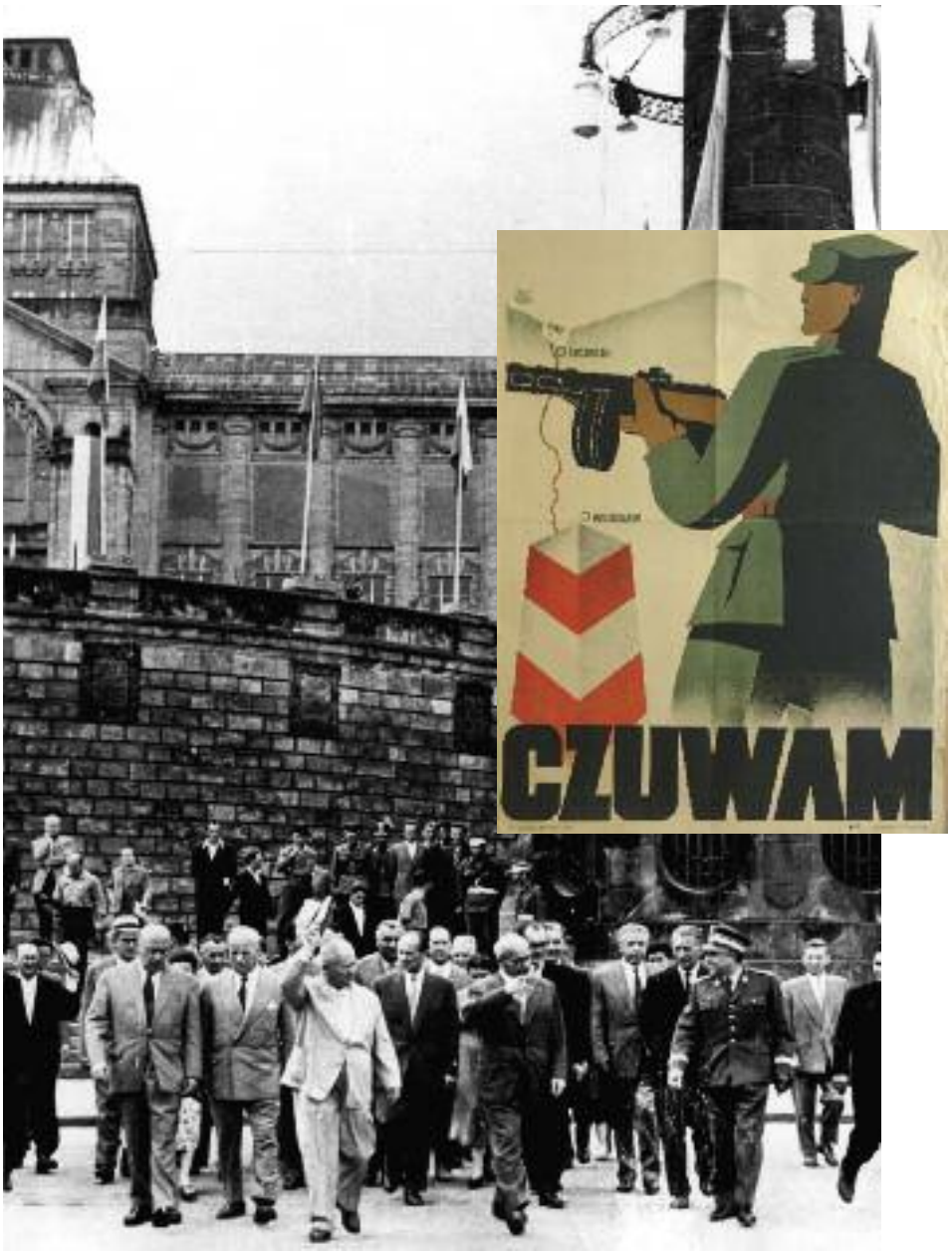

Juli 1959, sowjetischer Parteiführer Nikita Chruschtschow in Stettin / *lipiec 1959, sowiecki przywódca Nikita Chruszczow w Szczecinie*

Rodzą się kompleksy. Ma więc Szczecin kompleks Wrocławia, który jest ponoć miastem lepszym dlatego, że ma rynek na Starym Mieście i że trafiła tam po wojnie profesura ze Lwowa, a do Szczecin profesura z Wilna nie trafiła, bo pociąg, którym jechała, zatrzymał się z powodu braku węgla w Toruniu. Fatalny przypadek sprawił więc, że Szczecin nie miał uniwersytetu zaraz po wojnie. Słychać nawet, że przypadkowo, przez kaprys Stalina, a potem obłaskawienie nieświadomego Chruszczowa, jest miastem polskim. Kompleks Szczecina – miasta fatalnego i bez szans jest dziś bardzo silny.

Z jednej strony ma Szczecin swoją własną, budująca opowieść o Grudniu 1970 i Sierpniu 1980, lecz ma też na tym tle kompleks Gdańska, który – w przeciwieństwie do Szczecina – potrafił na wydarzeniach tamtego czasu wykreować swoją nowoczesną tożsamość, stając się jednym z ważniejszych miast współczesnej polskiej i europejskiej tożsamości.

Katalog szczecińskich kompleksów można mnożyć. Mówi się, że miasto nie ma wyraźnego centrum i staromiejskiego rynku, co ma powodować chaos przestrzenny, społeczny i myślowy, nie ma bulwarów, zapomina o dziedzictwie polskim, eksponując niemieckie, a wreszcie, że jest daleko od Warszawy, co powoduje jego marginalizację w ogólnopolskim obiegu informacji. Jest więc Szczecin jak niechciane dziecko.

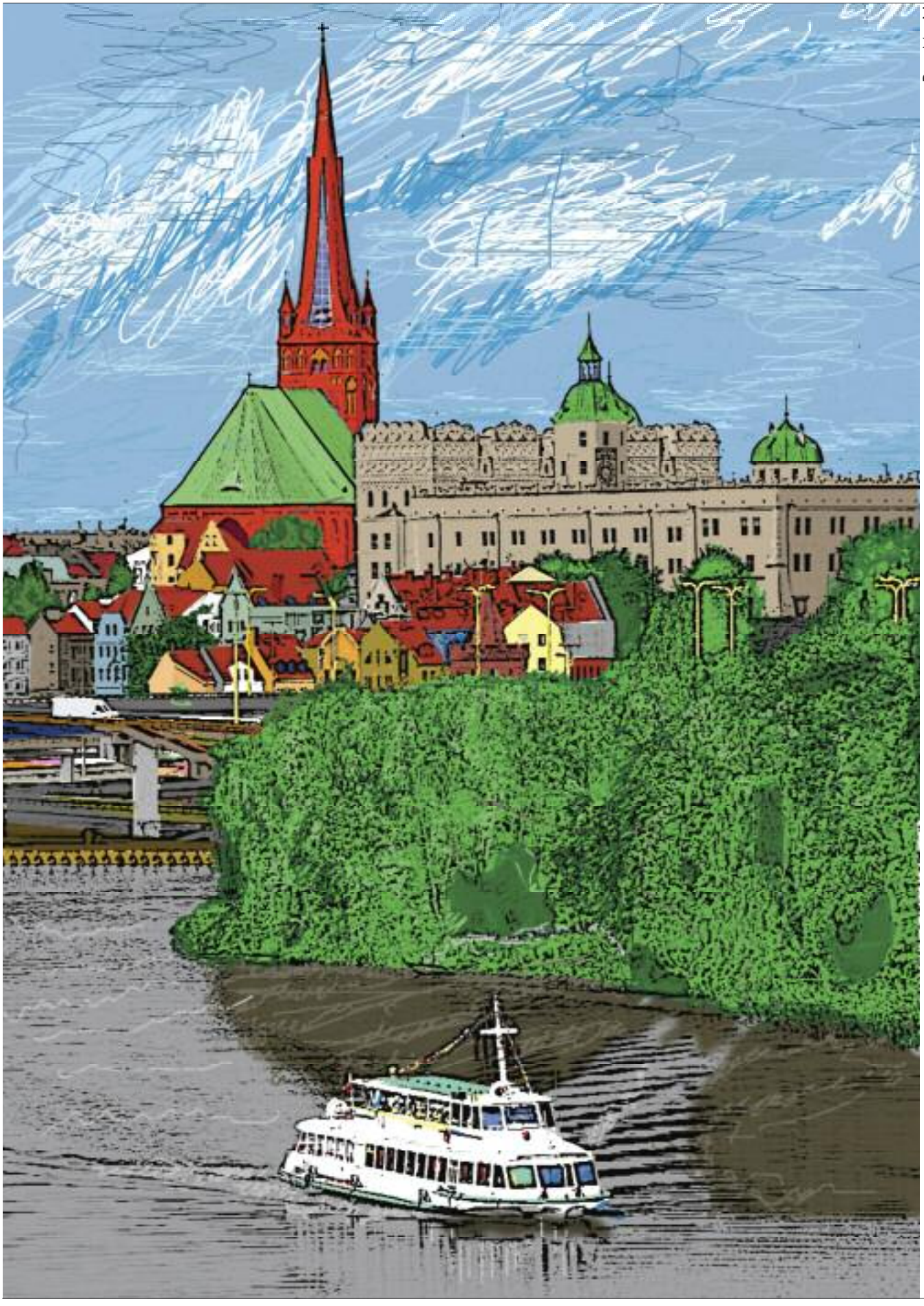

Piotr Mordel

Szczecin miasto transgraniczne?

Czasem ma się wrażenia, choćby na podstawie rozmów, że mimo bliskości granicy bardzo wielu szczecinian nigdy jej nie przekroczyło. Tymczasem liczba szczecinian, którzy kupują w domy na niemieckim pograniczu, rośnie, a w okolicach miasta, po stronie polskiej, działki budowlane sprzedano już do samej granicy. Niektórzy zadają więc pytanie: czy granica polsko-niemiecka będzie za jakiś czas przebiegać wewnątrz szczecińskiego obszaru miejskiego? Zapewne tak będzie.

Szczecin to 400 tysięcy mieszkańców. Miasto leży głównie między granicą państwa a Odrą. Jest tu jeszcze tylko powiat policki, co daje razem prawie pół miliona mieszkańców. Za granicą jest niemiecki powiat Uecker-Randow, który ma powierzchnię prawie dwukrotnie większą, a ludności prawie siedmiokrotnie mniej (74 tysiące) i do 2025 roku jej liczba będzie spadać.

Uecker-Randow jest najbiedniejszym powiatem Niemiec, ale siła nabywcza przeciętnego mieszkańca jest tu większa niż mieszkańca najbogatszej w Polsce Warszawy. Z jednej strony granicy jest więc półmilionowy okręg Szczecina, mimo kłopotów dynamiczny i jednak młody, a z drugiej – pogłębiająca się demograficzna pustka Pomorza Przedniego, stwarzająca jednak szanse na dochody wyższe niż w Polsce i wyższy poziom życia. Czy w takiej przestrzeni może być miejsce dla śmiałych projektów społecznych i gospodarczych, czy raczej dla nierealistycznych wizji i populistycznego czarnowidztwa? Wiele drobnych projektów współpracy udało się i udaje, tak jak ważne projekty oświatowe (Polsko-Niemieckie Gimnazjum w Löcknitz), ale nie udał się jeszcze żaden śmiały projekt inwestycyjny, który zmieniłby społeczny pesymizm pogranicza. Sojuszowi miast Szczecin, Pasewalk, Anklam i Prenzlau nie udało się sprowadzić na pogranicze wielkiego inwestora. Teraz włącza się je w starania Szczecina o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2016.

Kontaktów polsko-niemieckich jest w Szczecinie i na pograniczu bardzo dużo. Za dynamiką tych procesów nie nadążają politycy i politolodzy, socjologowie i kulturoznawcy, mimo że tworząca się rzeczywistość jest społecznie wrażliwa. Czy jednak Szczecin faktycznie może na powrót stać się centrum historycznego regionu? Odpowiadając na to pytanie warto sobie uświadomić, że otwarcie granicy topograficznej i wzmożenie ruchu przez nią ujawniło siłę innych barier: językowych, finansowych, mentalnych, prawnych, obyczajowych, administracyjnych itd. Sąsiedztwo polsko-niemieckie wciąż więc jest trudne, choć z zupełnie innych powód niż kiedyś. Nie zanosi się na to, żeby szybko stało się inne.

W krótkiej powojennej historii Szczecin przeszedł długą drogę od wizji antyniemieckiej twierdzy do ery Schengen. Można powiedzieć, że jest to powrót do idei założycielskiej miasta, ale w warunkach, w których jej reanimacja jest już chyba tylko iluzją. To wcale nie znaczy, że nie pojawi się jakiś szczęśliwy zbieg okoliczności, jakiś wymarzony inwestor, który to zmieni. Dziś jest tak, że choć dawne satelickie miasteczka Szczecina na pograniczu niemieckim bardzo chcą zbliżyć się do swojej metropolii, bo widzą w tym swoje szanse, to Szczecin, który też dostrzega korzyści, które mógłby z tego mieć, swoją dynamikę kieruje przede wszystkim w stronę przeciwną. Kierunek zachodni, transgraniczny, jest więc terenem indywidualnej – by tak rzec – ekspansji obywatelskiej.

Tym bardziej więc potrzebne są dziś wspólne polsko-niemieckie projekty inwestycyjne dla północnego pogranicza. Im dłużej ich brak, tym większe pole dla społecznych frustracji.

Są źródła – brak syntez

Dlaczego tak trwałe są szczecińskie kompleksy, także kompleksy pogranicza, dlaczego tak trudno je przełamać? Może odpowiedź na to pytanie podpowiadają witryny księgarń, pełne przyczynkarskich książek o mieście. Nie ma popularnych opracowań syntetycznych różnych dziedzin życia, brak stale aktualizowanych analiz socjologicznych, dawno wyczerpał się nakład „Dziejów Szczecina" i popularnej książki „Szczecin" Jana M. Piskorskiego. Jest „Encyklopedia Szczecina", ale ona z natury mnoży szum informacyjny. Nawet największe więc osiągnięcia szczecinian nie utrwalają się w społecznej pamięci i nie mogą być katalizatorem ocen, na co wskazuje się zresztą w niejednej debacie. Jedynie Grudzień 1980 w Szczecinie ma swoją bogatą bibliografię i włączony został w społeczno-polityczny kontekst powojennej historii, ważne, choć dyskusyjne, są też obszerne syntezy historyczno-politologiczne, jakie ogłosił Kazimierz Kozłowski. Jeśli chodzi o sprawy polsko-niemieckie, choć pojawia się dużo książek przyczynkarskich, to jednak brak jest prac tak ważnych, jak wspomniany wybór źródeł „Stettin – Szczecin 1945–1946".

Pasjonatów pogranicza jest wielu, lokalnych inicjatyw bardzo wiele i wszystkie są ważne. Ale im też brak syntezy, uogólnień, rozpoznania znaczeń na szerszym tle pogranicza i relacji polsko-niemieckich. Jest to skutek braku systematycznych badań pogranicza, braku metajęzyka. Dlatego refleksje nad pograniczem wciąż mają wymiar lokalny, najwyżej regionalny. Dużo jest bieżącej publicystyki, brak eseistyki.

Pisanie dziś o Szczecinie i pograniczu jest zajęciem stresującym i niewdzięcznym. Przeglądanie kolejnych książek z bogatej półki daje niewiele – poza poznaniem kolejnych anegdot. Tymczasem na pograniczu, jak też w społecznych kontaktach szczecińsko-berlińskich, dzieją się rzeczy bardzo ważne.

Jeśli chodzi o nowoczesne narracje szczecińskie najdalej w przełamywaniu lokalności poszła literatura piękna, co potwierdziły w ostatnich latach ogólnopolskie kariery Ingi Iwasiów, Artura D. Liskowackiego, Krzysztofa Niewrzędy.

***

Wydaje się, że Szczecin jest teraz w bardzo ważnym momencie szukania odpowiedzi na podstawowe dla siebie pytania. Musi też przełamać obezwładniające poczucie klęski miasta, którego źródła są w upadkach kolejnych mitów i kompleksach, które powstały i powstają na ich gruzach. Nałożyły się na to skutki kryzysu szczecińskiej gospodarki. Zdaje się jednak, że wejście do Unii Europejskiej i strefy Schengen ujawniło nowe szczecińskie ograniczenia i bariery, już nie tyle administracyjnie i restrykcyjne, co kulturowe i intelektualne.

Czy więc Szczecin, a z nim pogranicze, są w stanie szukać śmiałych projektów? Czy przeciwnie – zadowolą się pięknymi wizjami i sympatycznymi anegdotami o zbieraniu grzybów w Niemczech, drodze z Krakowa do Szczecina przez Berlin i *gemütliche Umgebung* Szczecina?

Pogranicze potrzebuje dziś fachowego języka opisu i systematycznych badań. Chyba więc warto powołać, może właśnie w Szczecinie, placówkę, która by się tym zajęła. Nauka o granicach (*borderology*) od lat jest bardzo popularna w Stanach Zjednoczonych (organizował ją tam między innymi profesor Zbigniew Kruszewski), ma ciekawe osiągnięcia w Skandynawii, raczkuje na Uniwersytecie Greifswaldzkim.

Bogdan Twardochleb
dziennikarz, redaktor dziennika „Kurier Szczeciński", mieszka w Szczecinie.

Fot. Sławomir Borek

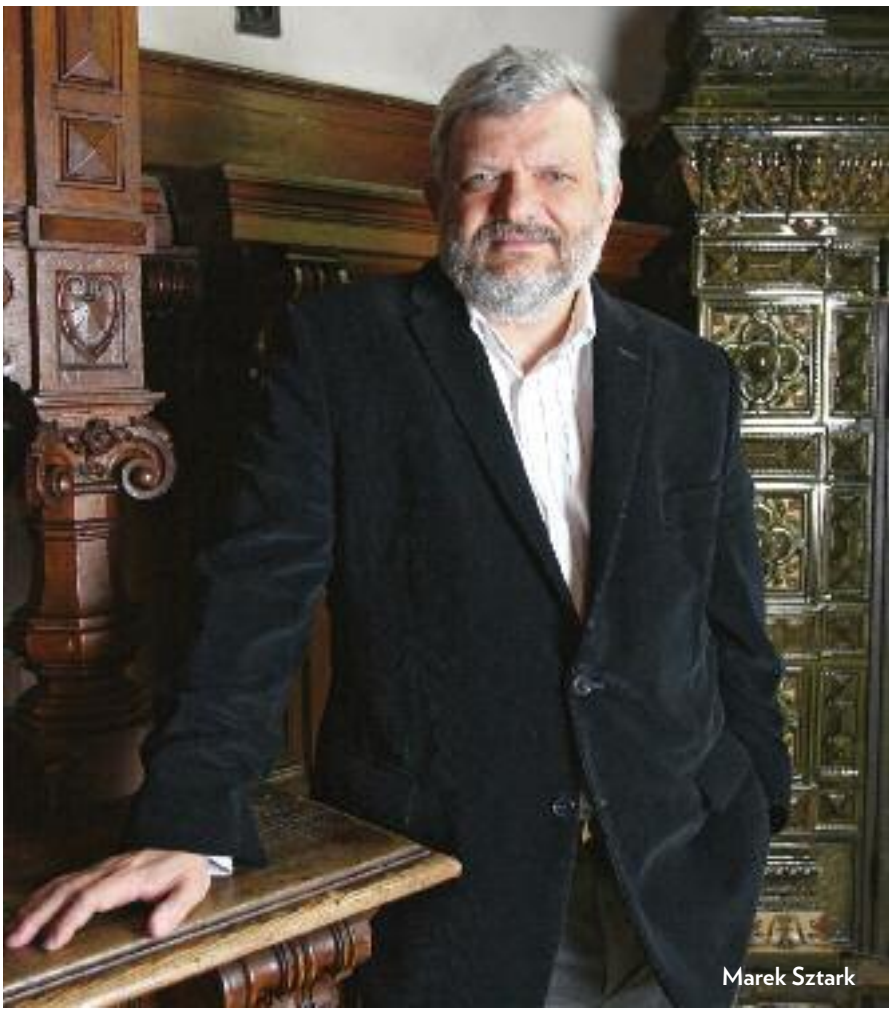

Marek Sztark

„Wir müssen uns mehr für Menschen aus dem Ausland öffnen“

Identität und Kulturleben Stettins

DIALOG-Gespräch mit Marek Sztark, dem Direktor des Projektbüros „Stettin – Europäische Kulturhauptstadt 2016“

In den Stettiner Medien gab es in letzter Zeit wieder heftige Diskussionen über die Identität der Stadt. Das ist ein wichtiges Thema auch für die von Ihnen geleitete Einrichtung, die Stettin auf den Wettbewerb um den Titel der Europäischen Kulturhauptstadt 2016 vorbereitet. Ein Versuch, das Problem zu definieren, ist das von Ihrer Einrichtung herausgegebene Buch „Co z tą kulturą” (Wie weiter mit der Kultur), eine erste soziologische Analyse, oder genauer gesagt, ein „Forschungsbericht über die Lage der Kultur in Stettin”. Was heißt das: die Identität der Stadt? Denken die Einwohner von Stettin über die Identität ihrer Stadt nach?

Der Bericht „Wie weiter mit der Kultur“ ist das Ergebnis soziologischer Forschungen, die von uns in Auftrag gegeben worden waren. Es geht daraus hervor, dass die Stettiner sich nach Identität sehnen, weil sie ihren Mangel spüren, oder besser gesagt, den Mangel an etwas, das sie Identität nennen. Offenbar empfinden sie Sehnsucht nach einer gemeinschaftlichen Wahrnehmung der Stadt, wollen eine gemeinsame Meinung von ihr haben. Heute ist es eher so, dass eine negative Meinung gemeinsam ist. Man kann es so ausdrücken: Die Identität Stettins zeigt sich in einer negativen Rhetorik. Eine zweite Schlussfolgerung, die aus diesen Forschungen zu ziehen ist: Die Stettiner haben eine besondere Fähigkeit, ihre individuellen Bilder von Identität sichtbar zu machen. Das Bild von Stettin ist also ein Mosaik verschiedener Identitäten, bunt, vielfältig, verborgen in den Erinnerungen der Menschen und in ihren Emotionen. Wir neigen nicht zu einer kollektiven Identität. Ursache ist wohl die jüngere Geschichte der Stadt und ihrer Einwohner.

Geht das Nachdenken über die Identität der Stadt einher mit einem Vergleich Stettins mit anderen Städten, ihren Vor- und Nachteilen?

Natürlich. Am populärsten ist der Vergleich mit Breslau, wahrscheinlich wegen der ähnlichen Umsiedlungsschicksale. Zugleich ist das ein Vergleich mit etwas Besserem. Die Stettiner sagen: Wir beneiden die Breslauer, denn sie stammen alle aus Lemberg, aus einer einzigen Stadt, sie sind einheitlich als Gemeinschaft, während wir eine Mischung darstellen, denn wir kommen von überall her. Möglich ist auch, dass wir die Breslauer wegen außergewöhnlicher Ereignisse beneiden, die sie miteinander verbunden haben, die eine gemeinschaftsbildende Wirkung hatten, wie etwa die berühmte Oderflut von 1997, die für die heutige Identität Breslaus zum einigenden Faktor wurde.

Haben denn die Stettiner auf eine Katastrophe gewartet, die sie miteinander verbinden soll?

Eine Katastrophe hat verbindende Wirkung. Für die Stettiner war der Dezember 1970 so ein gemeinsam erlebtes Unglück. Aber sowohl der Dezember 1970, der August 1980 als auch der August 1988 wurden – obwohl diese Daten für Stettin alle sehr wichtig waren – von Danzig überdeckt. Die Stettiner nehmen das jedenfalls so wahr. Die Stettiner reden negativ über Stettin, sie reden vom Lemberger Charakter Breslaus, sie nehmen verschiedene Defizite in ihrer Stadt wahr, die sie zum Beispiel in Breslau nicht wahrnehmen. Wenn sie sagen, Stettin sei eine Stadt ohne Zentrum und ohne Altstadt, dann denken sie dabei an Städte, wo es nicht nur ein Zentrum aber auch eine Altstadt gibt. Wenn sie sagen, die Stadt habe ein Problem mit ihren Regierenden, dann haben sie wahrscheinlich auch etwa die erfolgreichen Präsidentschaften in Breslau im Hinterkopf. Solche Bezugnahmen gibt es viele, und immer gehen sie von entgegengesetzten Polen aus: von etwas, was in Breslau gelungen ist und in Stettin eben nicht.

Versuchen die Stettiner diese negative Rhetorik und ihre Wahrnehmung einer mangelnden Identität positiv umzuwandeln? Suchen sie Auswege?

Es gibt eine Sehnsucht nach einer großen Idee für Stettin, nach einer großen Leitfigur, nach einem Ereignis, das die Stettiner in einer gemeinsamen Aktivität verbinden könnte. Aber das ist nur eine Sehnsucht. Wir beobachten, dass die negativen Argumente sich je nach der aktuellen Situation und Qualität des öffentlichen Diskurses verstärken. Sie wiederholen sich so sehr, dass man sie typologisieren könnte. Und tatsächlich, wenn wir über Stettin sprechen und die verschiedenen Meinungen hören, dann können wir Folgendes erkennen: die Rhetorik der mangelnden Identität der Stadt, des Provinziellen/ der abgeschiedenen Lage, die Rhetorik des Mangels an Großstädtischem, der Schwäche/ Entfremdung der sozialen Basis, die Rhetorik der fehlenden städtebaulichen Orientierung.

Tauchen in diesen Debatten Ideen der Bürger zur Identität auf?

Sie tauchen nicht auf, und das ist frustrierend. Man würde sich wünschen, das Projekt der Europäischen Kulturhauptstadt sei eine solche Idee, aber natürlich ist es das nicht, denn es weckt nicht die Fantasie der Masse der Menschen. Ich denke, dass wir noch zu nahe an den Ereignissen sind, die die Defizite Stettins geprägt haben, zu nahe am Zusammenbruch der Werft und anderer großer Betriebe. Das Fehlen symbolkräftiger Investitionen, das heißt der Bau neuer Objekte, von denen man seit Jahren gesprochen hat – wie etwa dem Stadion, der Ausstellungshalle, der Philharmonie, dem Aquapark – hat zur Folge, dass sich die Nostalgie nach Mythen verstärkt, die viele Jahre lang produziert wurden, beispielsweise der Mythos von der weltoffenen Hafenstadt Stettin. Heute müssen wir unsere Stadt neu definieren, und die Stettiner suchen nach dieser Neudefinition der Stadt, sie tun das sogar intuitiv. Aber ich glaube nicht, dass in der nächsten Zeit eine Idee auftauchen wird, die die Fantasien der Einwohner Stettins beflügeln kann.

Es gibt einen Unterschied zwischen der negativen Rhetorik und dem, was Sie jetzt sagen: Wenn das Bedürfnis auftaucht, die Stadt neu zu definieren, dann ist dies der Beginn eines anderen Prozesses.

Ja, das ist diese Unruhe, die immer stärker spürbar wird. Sie erscheint etwa in den Plänen einer Rückkehr Stettins an die Oder, von der es abgeschnitten wurde, einer Bewirtschaftung der Inseln Śródodrze, Łasztownia und anderen Gebieten am Wasser, zum Beispiel in dem visionären Plan von den schwimmenden Gärten, der zur Strategie der Stadt gehört, das eigene Profil zu stärken und der von der Verwaltung umgesetzt wird. Diese Unruhe ist das Interesse an der Geschichte der Stadt, die in ihrer materiellen und immateriellen Sphäre verborgen liegt, in ihrer städtebaulichen Substanz, in den Details. Dazu zählen auch die zivilgesellschaftlichen Initiativen zur Lüftung der Geheimnisse Stettins, die von der Überzeugung inspiriert sind, dass wir uns in einer Stadt bewegen, die einstmals so etwas wie Atlantis gewesen ist, schön und nicht ganz begreiflich.

Marek Sztark ***(geb. 1962), Polonist, Gründer des Stettiner Theaters Kana und dessen Schauspieler; arbeitete für die Vierteljahreszeitschrift „Między innymi" (Unter anderem), leitete das Stettiner Kulturzentrum, war Theaterregisseur und Schauspiellehrer. 2005–2007 war er Direktor der Oper im Stettiner Schloss. Heute ist Marek Sztark Berater des Stadtpräsidenten und Direktor der Kommunalen Kulturinstitution „Stettin – Europäische Kulturhauptstadt 2016".***

Vor Kurzem ist ein Roman erschienen, dessen Handlung im Stettin der Vorkriegszeit spielt. Sein Titel lautet: „Die Perle des Nordens".

Die Unruhe von unten ist eine Tatsache. Sie schlägt sich jedoch nicht in realem, entschiedenem Handeln und Planen nieder, findet keine Formel der Umwandlung in eine positive Idee. Das hat mit vielen Gegebenheiten zu tun, mit rechtlichen, ökonomischen, sozialen und menschlichen Faktoren. Wir warten immer noch auf die Menschen, wir müssen sie anlocken, schützen, ermutigen, damit sie nicht vor den öffentlichen Angelegenheiten fliehen, sondern sich mit ihnen beschäftigen, sie beschreiben wollen. Wir haben ein Problem mit dem menschlichen Kapital, und das ist auch ein Warten auf die Führungspersönlichkeiten. Diese werden nicht von außerhalb der Stadt kommen. Wir müssen jedoch diejenigen schützen und wertschätzen, die heute hier arbeiten und für diese Stadt arbeiten möchten. Das Potenzial, das sich in Stettin befindet, ist seine größte Chance. Sehr oft liegt es hier verborgen, ist entfremdet, in der inneren Emigration, aber es ist die einzige Möglichkeit.

Es gab schon einmal Versuche, Leute von außerhalb zu holen, sie dauerhaft hier anzubinden.

Das war *social engineering*, das man lange betrieben hat. Jemand hat kürzlich gesagt, deshalb sei Stettin auch eine intellektuelle Kolonie von Posen.

Dieses *social engineering* hat sich noch nirgendwo bewährt. Die Stettiner, die Elite dieser Stadt, scheinen sehr ungeduldig zu sein, sie wollen in kurzer Zeit einen schnellen Erfolg erzielen, scheuen aber zugleich Experimente. Viele Menschen meinen, dass man den Erfolg einer Stadt planen kann wie den Neubau eines Hauses: in zwölf Monaten umsetzbar, nur eine Frage von Geld und Qualifikation. Aber was die Identität angeht, über die wir hier sprechen: So geht das nicht, das läuft nicht automatisch. Das Problem von Stettin ist nicht das Potenzial, das Problem ist die Vorstellung von sich selbst.

Das ist wahr, in Stettin gibt es einen hohen Grad an Selbstzweifel, der das Handeln blockiert, weil die Leute in ihrer Angst, des Dilettantismus beschuldigt zu werden, nicht zu handeln wagen. Andererseits ist es schwierig, den Rest Polens über Erfolge oder originelle Ideen und Menschen zu informieren, denn wir sind hier am Rand, am Ende der Interessenskala, weiter entfernt kann man doch nichts mehr sein. Diese Wahrnehmung Stettins durch das restliche Polen ist für unsere Stadt eine gravierende Hürde.

Eine gewisse Zeit lang haben Sie an verschiedenen Kulturprojekten – wir nennen sie so – in ganz Nordpolen gearbeitet. Ist die Bewegung beim Thema Identität überall so intensiv, wandelt sich diese Bewegung hin zum Kreativen, oder ist das – wie in Stettin – auch ein Stochern im Dunkeln?

Die dortigen Erfahrungen sind völlig andere. Ich habe in kleinen Gemeinschaften gearbeitet, die Zusammensetzung der Gemeinschaft ist der Schlüssel zum Verständnis des Problems der Identität. Aber sicher sind die Suche nach Identität und der Schmerz darüber, ihren Mangel zu spüren, ein Problem in ganz Nordpolen, besser gesagt: in den gesamten Nord- und Westgebieten.

In den sogenannten „Wiedergewonnenen Gebieten".

Das sieht man etwa am Verhältnis zu den Begräbnisstätten der ehemaligen Bewohner dieser Gebiete. Die Unterschiede, wie man mit ihnen umgeht, sind sehr groß.

Fot. Dawid Czajkowski

Ehemalige Villa des Industriellen August Lentz in Stettin, heute Sitz des Projektbüros „Stettin – Europäische Kulturhauptstadt 2016“ / ***była willa przemysłowca Augusta Lentza, obecnie siedziba samorządowej instytucji kultury „Europejska Stolica Kultury – Szczecin 2016”***

Es gibt Dörfer, die fast nebeneinanderliegen: In dem einen Dorf pflegt man den alten Friedhof mit großer Sorgfalt, in dem anderen ist er von Unkraut überwuchert und ein Tabuthema. Solche Unterschiede habe ich in anderen Regionen Polens nicht wahrgenommen.

Womit hat das zu tun?

Mit dem Handeln konkreter Menschen. Das hat damit zu tun, dass wir in diesen Gebieten mit einer Politik der Rechtfertigung unserer Anwesenheit hier gefüttert wurden, die die Bildung, Kultur, Propaganda und die Geschichtswissenschaft durchdrang und bis heute ein starkes Muster ist, das durch nichts anderes ersetzt wurde. Als sich die Lage in Europa soweit stabilisiert hatte, dass wir über unsere Anwesenheit in diesen Gebieten in einer völlig anderen Sprache sprechen konnten, ist kein Modell für ein solches anderes Sprechen entstanden. Es gibt einzelne Motive, die mit einzelnen Personen verbunden sind, und manche von ihnen schlagen sich auch im zivilgesellschaftlichen Handeln nieder wie bei dem Verein Borussia oder bis vor Kurzem in der Museumsstube in Czaplinek – in einem konkreten Dorf, in dem man den deutschen Friedhof pflegt.

Basil Kerski und / *i* Marek Sztark

Fot. Sławomir Borek

Um es konkreter zu machen: Sie sagen, die Zeiten seien jetzt interessant, weil negative Debatten niemanden zufriedenstellen. Es gibt eine neue Sensibilität. Woher diese neue Unruhe, warum heute? Zweitens: Kann man diese neue Unruhe beim Namen nennen, sind das neue Initiativen oder alte, die heute an Glanz gewonnen haben, oder sind das neue Figuren? In den Stettiner Buchhandlungen mangelt es an größeren Versuchen, Stettin zu definieren, es gibt aber eine ganze Menge an Veröffentlichungen über Einzelthemen. Die meisten dieser Bücher wurden nicht von professionellen Historikern verfasst.

Die Generation von Menschen, die das Recht hatten, eine ganzheitliche Darstellung über die Kontinuität der Geschichte zu geben, hat ihre besten Jahre schon hinter sich. Heute erscheinen junge Leute in der Kulturszene, die nicht mit einer ideologischen Weltsicht oder irgendwelchen – sagen wir – informellen Abhängigkeiten belastet sind. Das sind zum Beispiel Internetnutzer vom Portal sedina.pl, ein für das ganze Land bzw. für die gesamten „Wiedergewonnenen Gebiete" außergewöhnliches Phänomen. Sie versuchen, sich in Stettin wiederzufinden, indem sie die Geschichte der Stadt durch das Sammeln von Erinnerungsstücken, aber auch durch inhaltlich interessante Publikationen neu erforschen. Dieses Portal ist bereits ein Ort der Reflexion, und ich glaube, dass es auch ein Partner für öffentliche Einrichtungen werden wird, welche jedoch noch keine Strategie gefunden haben, um mit ihm so eine Partnerschaft einzugehen. Sedina.pl ist eine zivilgesellschaftliche Initiative, die oft viel interessanter ist als die Arbeiten von Fachleuten. Entstanden ist auch der Verein „Czas Przestrzeń Tożsamość" (Zeit Raum Identität) mit Andrzej Łazowski und Personen aus seinem Umfeld, es gibt Verlagsleute in Stettin, Enthusiasten, die selbst neue regionalgeschichtliche Motive entdecken, Bücher veröffentlichen und andere zu Nachforschungen und zum Schreiben ermutigen. Das sind wirklich viele. Noch andere Beispiele? Die Künstler vom Teatr Kana, Weronika Fibich und Janusz Turkowski, die sich mit Räumen beschäftigen, welche für die Stettiner bisher nicht zu erkennen waren oder die bisher noch gar nicht richtig entdeckt wurden, wie zum Beispiel die Siedlung Niebuszewo, deren multikulturelle Nachkriegsgeschichte sie mit ihrer Spurensuche und durch Gespräche mit Menschen zu rekonstruieren versuchen. Solche Beispiele gibt es viele.

In welche Richtung kann man gehen, um neue, glaubwürdige Bilder von Identität zu erschaffen, die nicht künstlich konstruiert sind? Als Beispiel nenne ich hier die Entwicklung der großen Debatte über die Multikulturalität in Danzig. In den 1990er Jahren hat man versucht, eine neue Identität für Danzig zu kreieren, als einer in ihrer Geschichte multikulturellen, also toleranten Stadt. Diese Debatte ist beendet, denn der heutige allgemeine Wissensstand sieht so aus, dass in Danzig eine einzige Kultur dominiert hat, nämlich die protestantisch-deutsche. Heute rücken die Danziger in ruhiger Art und Weise von jenem Mythos des Multikulturellen ab, aber die neue Dynamik, der neue kühle Blick auf die Geschichte wird zum Bestandteil der Identität, denn er zeigt eine gewisse Souveränität im Umgang mit Illusionen.

Ähnlich ist es wohl in Stettin auch. Die Stettiner können sich in ihrem Reden über ihre Stadt berauschen an ihren Erfahrungen vieler Kulturen, an schwedischen, russischen, französischen Einflüssen, sie können erzählen, dass es in Stettin neunzehn nationale, ethnische, kulturelle Minderheiten gibt und dass es eine große ukrainische Minderheit gibt. Aber wenn wir uns dann die Zahlen anschauen, stellt sich heraus, dass wir eine sehr homogene Gemeinschaft und keineswegs von Multikulturalität geprägt sind. Vielleicht glauben die Stettiner, wir seien offener für Neues, für westliche Trends, für Andersartigkeit, aber wenn dann dunkelhäutige Studenten auftauchen, verschwindet diese Offenheit. Sie zerplatzt auch wie eine Seifenblase, wenn homosexuelle Milieus erscheinen.

Was passiert, wenn Deutsche auftauchen, die in Stettin Arbeit suchen? Die Multikulturalität in Polen ist heute in Polen eher eine Herausforderung, aber es wird sie geben, ein wenig ist sie schon zu sehen.

Zwei Richtungen sind sehr wichtig. Die eine ist die Notwendigkeit einer neuen, beinahe rituellen Definition der Geschichte oder des polnischen Charakters von Stettin. Mit ritueller Definition meine ich eine klare Ansage, wer wir sind in Stettin, durch eine Gruppe angesehener Persönlichkeiten und die Akzeptanz dieser Ansage durch die Öffentlichkeit, damit diese zum allgemein geltenden Standpunkt wird. Wir haben die Idee, im Rahmen des Projektes Europäische Kulturhauptstadt 2016 den Vorschlag zu machen, eine Charta von Stettin zu formulieren, die das Ergebnis – vielleicht mehrjähriger – Diskussionen wäre, welche mit einem Dokument nach dem Vorbild der Charta von Athen oder der Charta von Venedig ihren Abschluss finden würde, bezüglich der Denkmalpflege

und der städtebaulichen Konzeption in der Stadt. In der Charta von Stettin ginge es um das Verhältnis zum materiellen und immateriellen Erbe in den Städten, die vom Trauma der Umsiedlungen betroffen waren. Ich bin der Meinung, dass eine solche Formel auch anderen Städten mit einer ähnlichen Geschichte wie Stettin von Nutzen wäre. Vielleicht würde sie etwas in der Art der *Good-practice*-Beispiele werden, indem sie beschreibt, wie in bestimmten Städten und Regionen mit dem kulturellen Erbe umzugehen ist. Dann könnte ein Gemeindevorstand irgendwo in Westpommern entscheiden, wie man einen protestantischen Friedhof pflegen soll, auf der Grundlage eines Dokuments, eines allgemeinen Prinzips, das so gut kommuniziert, so klar, einheitlich, deutlich und selbstverständlich wäre, dass er nicht erst überlegen müsste, was er tun soll.

Er ist zur Pflege des Kulturguts gesetzlich verpflichtet.

Eine solche gesetzliche Verpflichtung besteht seit Jahrzehnten, aber was geschieht damit? Hier geht es nicht um die Suche nach Geldmitteln, es geht um einen offiziellen Standpunkt. Der Gemeindevorstand findet nicht deswegen kein Geld für die Pflege eines protestantischen Friedhofes, weil er nicht weiß, wie er das machen soll, sondern weil er nicht weiß, wie das bewertet wird.

Durch die eigenen Leute.

Durch die eigenen Leute, durch Ratsmitglieder, Nachbarn, durch wen auch immer. Das ist doch alles sehr schwierig, denn das Wissen über die Geschichte dieser Gebiete basiert immer noch auf der Literatur, die viele Jahre lang verpflichtend war. Vor nicht zu langer Zeit wurde in einem westpommerschen Dorf ein neues Denkmal aufgestellt, das an die Befreiung von der deutschen Besatzung erinnert. Die Leute sind sich nicht bewusst, dass solche Begrifflichkeiten Phrasen darstellen, durch die unsere Realität 65 Jahre lang stark geprägt wurde, denn so war die offizielle Kulturpolitik. Heute, im Jahr 2010, oder in den kommenden Jahren, müssen wir eine neue Kulturpolitik formulieren. Jene Zeit muss man abschließen, ohne sie zu bewerten, aber doch, indem man feststellt: Wir haben eine alte Etappe abgeschlossen und beginnen jetzt eine neue.

Kehren wir zum Ausgangspunkt zurück, um unser Gespräch zusammenzufassen. Wenn das Bedürfnis auftaucht, Stettin neu zu definieren, dann ist das ein sehr positives Signal.

Ich bin der Auffassung, dass es eine Möglichkeit gibt, diesen Mechanismus zu beschleunigen und diese Wirkung zu erzielen. Am besten wird eine Stadt neu definiert durch Ankömmlinge von außen, wobei es nicht darum geht, diese hier gezielt anzusiedeln. Wir müssen uns öffnen – besonders im Bereich der Kultur – für Menschen aus dem Westen, aus dem Ausland, für Künstler aus Deutschland, Skandinavien, aus ganz Europa, aus anderen Kontinenten und hier in Stettin Arbeitsbedingungen für sie schaffen, denn sie helfen uns, unsere Stadt zu verstehen und neu zu definieren. Wir müssen auf die Einbeziehung Stettins in ein sehr aktives und effektives Netz internationaler Partnerschaften setzen, das ist für die Stadt eine große Chance. Wir müssen uns lösen von dem schematischen Denken, Stettin liege irgendwo dort in der Provinz, am Rande Polens. Wir müssen eine moderne europäische Stadt werden, offen für Künstler, Wissenschaftler und Denker aus ganz Europa.

Was hat man den europäischen Künstlern anzubieten? Sind die Stettiner offen für das moderne Denken?

Es gibt in Stettin, wie übrigens überall, zwei Pole, wenn es um kulturelle Muster geht; auf der einen Seite gibt es einen sehr konservativen Pol, die Angst vor dem Neuen, vor Originalität, vor Jugend, aber auf der anderen Seite gibt es auch einen sehr deutlichen Pol der Offenheit, des Kosmopolitischen, der Innovation, schließlich auch des Undergrounds. Es gibt auch einen großen Bereich der Popkultur, aber sie strebt langsam danach, den Pol des Innovativen zu verstärken, und deshalb beginnt sich die zeitgenössische Kunst in Stettin breitere Wege zu bahnen. Das ist ein langsamer Prozess, aber nach der Bestandsaufnahme der Kulturträger sehen wir, dass es an dem Pol der Innovation immer mehr von ihnen gibt. Zahlenmäßig überwiegen sie gegenüber dem klassischen, dem eingefahrenen Schema.

In welchen Bereichen zeigen sie sich?

Vor allem in den bildenden Künsten, in der Musik, der Mode und den sogenannten Neuen Medien. Viele moderne Internetportale sind entstanden, die landesweit ausstrahlen, wie zum Beispiel: nuta.pl, muza.pl, stopklatka.pl, hip-hop.pl. Diese Portale sind im restlichen Polen nicht als Stettiner Portale zu erkennen, aber es sind junge Leute aus Stettin, die hier kulturelle Phänomene kommentieren. Man sagt von Stettin, es sei das polnische Glasgow, wenn es um die Qualität moderner Jugendmusik geht. Hier ist ihr Ursprung, wir haben über 600 Rockgruppen aufgelistet! Man hat sie bisher nicht gezählt und wahrgenommen. Der institutionelle Bereich der Stettiner Kultur räumt allmählich das Feld für die unabhängige, die freie, marktwirtschaftlich orientierte, innovative Kultur. Es gibt hier eine Nischenszene und den Mainstream, es gibt keine großen künstlerischen Projekte oder Ereignisse, die den künstlerischen Puls der Stadt dominieren, aber es gibt eine Unterschiedlichkeit und Vielfalt, einen großen Reichtum, der gerade erst entdeckt wird.

Die Chance Stettins ist nicht ein Kopieren des Mainstreams – denn das ist immer eine Vorstellung von den Hauptströmungen, die oft an der Wirklichkeit vorbeigeht, eine Illusion. Interessanter für die Künstler ist der zerstörte, unbewirtschaftete, undefinierte, identitätslose Raum, so wie die Villa Lentz, in der wir uns gerade unterhalten: Sie ist baulich gesichert, wird nicht einstürzen, aber jeder hat den Eindruck, dass er hereinkommen und etwas machen kann. Die attraktiven Kulturinitiativen Berlins sind Orte wie das Tacheles, die aus der Anarchie heraus entstanden sind, die vom Staat und der Öffentlichkeit nicht akzeptiert wurden. Interessant ist das, was authentisch ist, was in Räumen entstanden ist, die offen waren. Bedeutet diese Unruhe in Stettin, dass es eine Bereitschaft gibt, ein solches Experiment zu akzeptieren?

Meiner Meinung nach wird diese Bereitschaft immer größer, was an großen Veranstaltungen zu sehen ist, wie dem vom Teatr Kana organisierten Theaterfestival „Bindeglieder der Kultur" (Spoiwa Kultury), das Räume erschließt, an denen kulturelle Ereignisse bisher nicht stattfanden. Dorthin kommen Leute von außerhalb, und ich glaube, dass immer mehr kommen werden. Wir bemerken in Stettin eine Öffnung für Alternativbewegungen und stellen fest, dass ihnen keine Steine in den Weg gelegt werden – das ist ein gutes Motto für die Kultur. Die Kunstakademie, die demnächst ihren Betrieb aufnehmen wird, wird vielleicht eine Talentschmiede für solche kreativen Menschen sein.

Mit **Marek Sztark** sprachen **Basil Kerski** und **Bogdan Twardochleb**.

Aus dem Polnischen von Ulrich Heiße

Fot. Sławomir Borek

Marek Sztark

„Musimy się otworzyć na ludzi z zagranicy"

Tożsamość i życie kulturalne Szczecina

Rozmowa DIALOG-u z Markiem Sztarkiem, dyrektorem samorządowej instytucji kultury „Europejska Stolica Kultury – Szczecin 2016"

Przez media szczecińskie przetoczyły się ostatnio kolejne dyskusje poświęcone tożsamości miasta. Jest to sprawa ważna również dla instytucji kierowanej przez Pana, która przygotowuje Szczecin do konkurencji o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2016. Próbą zdefiniowania problemu jest wydana przez Pana instytucję książka „Co z tą kulturą", będąca pierwszą analizą socjologiczną, a dokładniej: „raportem z badania eksploracyjnego stanu kultury w Szczecinie". Co to znaczy tożsamość miasta? Co szczecinianie myślą o tożsamości Szczecina?

Raport „Co z tą kulturą" powstał w wyniku badań socjologicznych, prowadzonych na nasze zlecenie. Wynika z nich, że szczecinianie tęsknią za tożsamością, ponieważ zauważają jej brak, a dokładniej – brak czegoś, co nazywają tożsamością. Wydaje się, że tęsknią za wspólnotowym postrzeganiem miasta, że chcieliby mieć o nim wspólne zdanie. Dziś jest raczej tak, że wspólne jest zdanie negatywne. Można by powiedzieć tak: tożsamość Szczecina ujawnia się w negatywnej retoryce. I drugi wniosek, jaki wynika z tych badań: szczecinianie mają szczególne predyspozycje do uwidaczniania swoich indywidualnych obrazów tożsamości. Obraz Szczecina jest więc mozaiką różnych tożsamości, wielokolorowych, różnorodnych, ukrytych w pamięci ludzi, w ich emocjach. Nie mamy skłonności do tożsamości zbiorowej. Przyczyną jest chyba współczesna historia miasta i jego mieszkańców.

Marek Sztark *(ur. 1962), polonista, założyciel Teatru Kana (i były jego aktor), pracował w kwartalniku „Między innymi", kierował Miejskim Ośrodkiem Kultury, był instruktorem i reżyserem teatralnym. W latach 2005–2007 był dyrektorem Opery na Zamku w Szczecinie. Obecnie jest pełnomocnikiem prezydenta miasta ds. uzyskania tytułu „Europejskiej Stolicy Kultury – Szczecin 2016", doradcą prezydenta ds. kultury, dyrektorem samorządowej instytucji kultury „SZCZECIN 2016".*

Czy refleksji nad tożsamością towarzyszy porównywanie Szczecina do innych miast, ich zalet i braków?

Oczywiście. Najbardziej popularne jest porównanie do Wrocławia, prawdopodobnie ze względu na podobne losy przesiedleńcze. Jednocześnie jest to porównanie do lepszego. Szczecinianie mówią: my zazdrościmy wrocławianom, bo oni są wszyscy ze Lwowa, z jednego miejsca, są jednorodni w swojej wspólnocie, a my jesteśmy zbieraniną, jesteśmy zewsząd. Możliwe też, że zazdrościmy wrocławianom niezwykłych wydarzeń, które ich powiązały ze sobą i miały charakter wspólnototwórczy, jak chociażby słynna powódź z 1997 roku, która stała się dla współczesnej tożsamości Wrocławia czynnikiem jednoczącym.

Czyżby szczecinianie oczekiwali na katastrofę, która ich połączy?

Katastrofa ma cechy jednoczące. Dla szczecinian wspólnym nieszczęściem był Grudzień 1970. Ale zarówno Grudzień '70, Sierpień '80 i Sierpień '88, mimo że były w Szczecinie bardzo istotne, zostały przysłonięte przez Gdańsk. Szczecinianie tak to rozumieją. Szczecinianie mówią o Szczecinie, używając negatywnych retoryk, to oni mówią o lwowskości Wrocławia, to oni zauważają różne deficyty w mieście, a nie zauważają ich na przykład we Wrocławiu. Jeżeli mówią, że Szczecin jest miastem bez centrum i bez starówki, to myślą o miastach, gdzie jest zarówno i centrum, i starówka. Jeśli mówią, że miasto ma problem ze swoimi włodarzami, to też prawdopodobnie mają na myśli udane prezydentury na przykład we Wrocławiu. Tych odniesień jest sporo i zawsze są one na przeciwnych biegunach – to, co we Wrocławiu jest udane, w Szczecinie nie jest.

Czy retorykę negatywną i przekonanie o braku tożsamości szczecinianie próbują przerabiać na retorykę pozytywną? Czy szukają dróg wyjścia?

Jest tęsknota za wielką ideą dla Szczecina, za wielkim gospodarzem, za wydarzeniem, które połączy szczecinian we wspólnej aktywności. Ale to jest tylko tęsknota. Zauważamy, że retoryki negatywne nasilają się w zależności od sytuacji bieżącej i jakości dyskursu publicznego. Powtarzają się aż do tego stopnia, że można

było je stypologizować. I rzeczywiście, kiedy rozmawiamy o Szczecinie i słuchamy różnych opinii, to możemy powiedzieć: to jest retoryka braku tożsamości miasta, to retoryka prowincjonalności/opuszczenia, to braku wielkomiejskości, to słabości/alienacji zaplecza społecznego, a to jest retoryka braku ukierunkowania przestrzeni miejskiej.

Czy pojawiają się w tych debatach pomysły obywateli na tożsamość?

Nie pojawiają się i to jest frustrujące. Chciałoby się, żeby taką ideą był projekt Europejskiej Stolicy Kultury, ale oczywiście nie będzie, bo to nie pobudza masowej wyobraźni. Myślę, że jesteśmy zbyt blisko wydarzeń, które przypieczętowały szczecińskie deficyty, zbyt blisko upadku stoczni i innych zakładów. Brak symbolicznych faktów inwestycyjnych, to znaczy wybudowanych nowych obiektów, o których mówiło się od lat – takich jak stadion, hala widowiskowa, filharmonia, Aquapark – powoduje, że nasila się nostalgia za mitami, które były kreowane przez wiele lat, na przykład mit morskiego Szczecina, miasta otwartego na świat. Dzisiaj musimy redefiniować miasto i szczecinianie szukają, nawet intuicyjnie, tej nowej definicji miasta. Ale nie sądzę, żeby w najbliższym czasie pojawiła się idea, która poruszy wyobraźnię mieszkańców.

Jest różnica między negatywną retoryką, a tym co Pan mówi teraz: jeśli pojawia się potrzeba redefiniowania miasta, to znaczy, że zaczyna się inny proces.

Tak, to jest ferment, który jest coraz bardziej wyczuwalny. Przejawia się choćby wplanach powrotu Szczecina nad Odrę, od której został odcięty, zagospodarowania wysp Śródodrza, Łasztowni, innych terenów związanych z wodą, na przykład próba strategicznego, wizyjnego planu Pływających Ogrodów, zapisanego w strategii marki miasta i wdrażanego przez urząd. Ten ferment to zainteresowanie historią miasta, ukrytą w jego materialnej i niematerialnej sferze, w tkance urbanistycznej, w szczegółach. To także obywatelskie ruchy odkrywania tajemnic Szczecina, inspirujące się przeświadczeniem, że chodzimy po mieście, które niegdyś było jakąś Atlantydą, czymś co było piękne, co nie do końca jest zrozumiałe.

Niedawno ukazała się powieść, której akcja dzieje się w Szczecinie przedwojennym. Jej tytuł brzmi: „Perła północy".

Ferment oddolny jest faktem. On się jednak nie zamienia na realne, stanowcze działania i plany, nie znajduje formuły przekształcenia się w wielką ideę. To wynika z wielu uwarunkowań: prawnych, ekonomicznych, społecznych, z ludzkich kompetencji. My wciąż czekamy na ludzi, musimy ich przyciągać, chronić, zachęcać, żeby nie uciekali od spraw publicznych, a chcieli się nimi zająć, opisywać je. Mamy problem z kapitałem ludzkim, a to jest również oczekiwanie na liderów. Liderzy nie przyjadą spoza miasta. Musimy jednak chronić i doceniać tych, którzy tu pracują i chcieliby pracować dla tego miasta dzisiaj. Potencjał, który jest w Szczecinie, jest jego największą szansą. Bardzo często jest on dziś ukryty, wyalienowany, jest na emigracji wewnętrznej, ale jest jedyną możliwością.

Były kiedyś próby sprowadzania ludzi z zewnątrz, przeszczepienia ich tu na stałe.

To była inżynieria społeczna, którą długo uprawiano. Ktoś powiedział niedawno, że dlatego Szczecin jest kolonią intelektualną Poznania.

Taka inżyniera nigdzie się nie sprawdziła. Szczecinianie, elity tego miasta, wydają się być bardzo niecierpliwi, chcą osiągnąć w krótkim czasie szybki sukces, lecz boją się eksperymentów. Wielu osobom wydaje się, że sukces miasta można zaplanować jak budowę nowego domu: do zrealizowania w dwanaście miesięcy, to tylko kwestia pieniędzy i kwalifikacji. Ale w wymiarze tożsamości, o którym mówimy, to nie jest tak, to nie jest automatyczne. Problemem Szczecina nie jest potencjał – problemem są wyobrażenia o samym sobie.

To prawda, w Szczecinie jest bardzo wysoki poziom samokrytycyzmu, który blokuje działania, bo ludzie ich nie podejmują obawiając się oskarżeń o dyletantyzm. Z drugiej strony o sukcesach, czy o oryginalnych ideach i ludziach trudno informować resztę Polski, bo jesteśmy na jej krańcach, na samym końcu zainteresowań, już dalej nic być nie może. To postrzeganie Szczecina przez resztę Polski jest dla Szczecina poważną barierą.

Przez jakiś czas pracował Pan nad różnymi projektami kulturowymi – tak je określmy – w całej północnej Polsce. Czy wszędzie ruch na rzecz tożsamości jest tak intensywny, czy zwraca się on w stronę kreacji, czy też – jak w Szczecinie – jest to szukanie po omacku?

Tamte doświadczenia są zupełnie inne. Pracowałem w małych społecznościach, a skala społeczności jest kluczem do zrozumienia problemu tożsamości. Ale na pewno poszukiwanie tożsamości i problem bólu z powodu odczuwania jej braku jest problemem Polski północnej, czy szerzej: północno-zachodniej.

Tak zwanych Ziem Odzyskanych.

To widać na podstawie choćby stosunku do miejsc pochówku poprzednich mieszkańców tych ziem. Różnice w podejściu do nich są bardzo duże. Są wioski, które leżą niemal obok siebie: w jednej o stary cmentarz dba się z ogromną troską, w drugiej jest zarośnięty i jest tematem tabu. Takich różnic w innych rejonach Polski nie zauważałem.

Z czego to wynika?

To są działania konkretnych ludzi. Wynika to z faktu, że na tych ziemiach byliśmy karmieni polityką uzasadniania naszej tu obecności, która przenikała przez edukację, kulturę, propagandę, naukę historii i do dziś jest silnym wzorcem, którego niczym nie zastąpiono. Kiedy już na tyle sytuacja w Europie się ustatkowała, że o naszej obecności na tych ziemiach mogliśmy mówić zupełnie innym językiem, to nie powstał model takiego mówienia. Są pojedyncze narracje, związane z pojedynczymi osobami, a niektóre z nich zamieniają się w obywatelską aktywność, jak w Stowarzyszeniu Borussia, albo do niedawna w Izbie Muzealnej w Czaplinku – w konkretnej wsi, gdzie dba się o niemiecki cmentarz.

Skonkretyzujmy: mówi Pan, że czasy są teraz ciekawe, bo nikogo nie satysfakcjonują negatywne debaty. Jest jakaś nowa wrażliwość. Skąd ten nowy ferment, dlaczego dziś? Po drugie: czy ten ferment można nazwać po imieniu, czy są to inicjatywy nowe, czy stare, które dziś nabrały blasku, czy są to nowe postacie? W szczecińskich księgarniach brakuje większych prób nazywania Szczecina, ale jest masa publikacji o szczegółach. Większości tych książek nie pisali zawodowi historycy.

Generacja osób, które miały prawo do podejmowania syntetycznej refleksji na temat ciągłości historycznej, ma już za sobą swoje najlepsze lata. Dziś wchodzą do obiegu kulturowego ludzie młodzi, nieobciążeni jakąś ideologiczną wizją świata, czy jakimiś uzależnieniami – powiedzmy – pozaformalnymi. To są na przykład internauci z portalu sedina.pl, zjawisko niezwykłe w skali całego kraju albo wszystkich „ziem odzyskanych", którzy próbują

Fot. Dawid Czajkowski

się w Szczecinie odnaleźć, badając na nowo jego historię poprzez zbieranie pamiątek, ale też poprzez ciekawe merytoryczne publikacje. Ten portal jest już miejscem refleksji i myślę, że stanie się partnerem dla instytucji publicznych, które jednak nie znajdują jeszcze sposobu, żeby z nim w takie partnerstwo wejść. Sedina.pl to inicjatywa obywatelska, jednak często dużo ciekawsza od prac profesjonalistów. Powstało Stowarzyszenie Czas Przestrzeń Tożsamość z Andrzejem Łazowskim i ludźmi z jego środowiska, są wydawcy szczecińscy, pasjonaci, którzy sami odkrywają nowe wątki w historii regionu, publikują książki, a innych namawiają do poszukiwań i pisania. Jest ich naprawdę wielu. Inne przykłady? Artyści z Teatru Kana, Weronika Fibich i Janusz Turkowski, którzy pracują nad przestrzeniami do tej pory nierozpoznawalnymi dla szczecinian, czy też nie do końca odkrytymi, jak na przykład osiedle Niebuszewo, którego wielokulturową powojenną historię próbują zrekonstruować za pomocą poszukiwań śladów i rozmów z ludźmi. Takich przykładów jest dużo.

Ehemalige Villa des Industriellen August Lentz in Stettin, heute Sitz des Projektbüros „Stettin – Europäische Kulturhauptstadt 2016“ / ***była willa przemysłowca Augusta Lentza, obecnie siedziba samorządowej instytucji kultury „Europejska Stolica Kultury – Szczecin 2016”***

W którym kierunku można iść, aby znaleźć nowe obrazy tożsamości, wiarygodne, nieskonstruowane sztucznie? Podam jako punkt odniesienia los wielkiej debaty o wielokulturowości w Gdańsku. W latach 90. próbowano wykreować nową tożsamość Gdańska – miasta historycznie wielokulturowego ergo tolerancyjnego. Ta debata się skończyła, ponieważ stan wiedzy dzisiaj jest taki, że wszyscy wiedzą, że w Gdańsku dominowała jedna kultura, protestancko-niemiecka. Dziś gdańszczanie wycofują się z tego mitu w spokojny sposób, zaś nowa dynamika, to nowe chłodne spojrzenie na historię staje się elementem tożsamości, bo pokazuje pewną suwerenność obchodzenia się z iluzjami.

Podobnie jest chyba w Szczecinie. Szczecinianie potrafią w swoich opowieściach o mieście zachłystywać się jego doświadczeniami wielu kultur, wpływami szwedzkimi, rosyjskimi francuskimi, mówić, że w Szczecinie jest dziewiętnaście mniejszości narodowych, etnicznych, kulturowych i że jest duża grupa mniejszości ukraińskiej. Ale jak popatrzymy na liczby, to się okaże, że jesteśmy społeczeństwem bardzo jednorodnym i że ta wielokulturowość wcale nie jest cechą, która nas wyróżnia. Może szczecinianom wydaje się, że jesteśmy bardziej otwarci na nowości, zachodnie trendy, na inność, ale

Fot. Andrzej Łazowski

Palais unter dem Globus in Stettin, ehemaliges Palais des Kanzlers Philipp Otto von Grumbkow, künftiger Sitz der neuen Musik- und Kunstakademie / *Pałac pod Globusem, przyszła siedziba nowej Akademii Muzyki i Sztuk Wizualnych*

jak pojawiają się czarnoskórzy studenci, to otwartość znika. Pryska też jak bańka mydlana, gdy pojawiają się środowiska gejowskie.

A co będzie, jak zjawią się Niemcy, którzy będą szukać w Szczecinie pracy? Wielokulturowość w Polsce to jest dziś bardziej wyzwanie, ale ona będzie, już ją po trosze widać.

Dwa kierunki są bardzo ważne. Jeden to konieczność nowego, niemal rytualnego nazwania historii czy polskości Szczecina. Mówiąc o rytualnym nazwaniu, myślę o sformułowaniu komunikatu o tym, kim jesteśmy w Szczecinie, przez grupę autorytetów i akceptacji tego komunikatu przez władzę publiczną, żeby stał się obowiązującym stanowiskiem. Mamy pomysł, żeby w ramach projektu Europejska Stolica Kultury 2016 zaproponować sformułowanie Karty Szczecińskiej, która byłaby efektem – być może kilkuletnich – dyskusji, zakończonych dokumentem na wzór Karty Ateńskiej czy Karty Weneckiej, dotyczących opieki nad zabytkami i podejścia urbanistycznego do miasta. Karta Szczecińska dotyczyłaby stosunku do dziedzictwa materialnego i niematerialnego w miastach, dotkniętych traumą przesiedlenia. Myślę, że taka formuła byłaby przydatna także innym miastom o podobnych losach jak Szczecin. Może stałaby się czymś w rodzaju dobrej praktyki, określającej, że w takich miastach czy regionach należy z dziedzictwem kulturowym postępować tak i tak. Wówczas wójt gminy gdzieś na Pomorzu Zachodnim podjąłby decyzję, jak zadbać o cmentarz protestancki na podstawie dokumentu, jakiejś ogólnej zasady, która byłaby na tyle dobrze rozpropagowana, jasna, jednolita, wyrazista i oczywista, żeby nie musiał się zastanawiać, co robić.

On ma ustawowy obowiązek opieki.

Taki obowiązek ustawa nakazuje mu od kilkudziesięciu lat, ale co się z tym dzieje? Tu nie chodzi o poszukiwanie pieniędzy, chodzi o oficjalne stanowisko. Wójt nie znajduje pieniędzy na opiekę nad protestanckim cmentarzem nie dlatego, że nie wie, jak to zrobić, ale że nie wie, jak zostanie za to oceniony.

Przez swoich.

Przez swoich, przez radnych, sąsiadów, przez kogokolwiek. Przecież to wszystko jest bardzo trudne, ponieważ wiedza o losach tych ziem wciąż opiera się na piśmiennictwie obowiązującym przez lata. Niedawno w jednej z wiosek na Pomorzu Zachodnim postawiono nowy pomnik wyzwolenia spod okupacji niemieckiej. Ludzie nie zdają sobie sprawy, że takie określenia są już jak związki frazeologiczne, którymi nasza rzeczywistość została silnie nacechowana przez 65 lat, bo taka była oficjalna polityka kulturalna. Dzisiaj, w roku 2010, czy w najbliższych latach, musimy sformułować nową politykę kulturalną. Tamten okres trzeba zamknąć, nie oceniając go, ale mówiąc: skończyliśmy stary etap – zaczynamy nowy.

Wróćmy do dróg wyjścia, by podsumować naszą rozmowę. Jeśli pojawia się potrzeba redefiniowania Szczecina, to jest to bardzo pozytywny sygnał.

Myślę, że jest jeden sposób przyspieszenia tego mechanizmu i osiągnięcia tego efektu. Najlepiej redefiniują miasto przybysze z zewnątrz, przy czym nie chodzi o to, żeby ich tu akcyjnie osiedlać. My musimy się otworzyć – szczególnie w sferze kultury – na ludzi z Zachodu, z zagranicy, na artystów z Niemiec, Skandynawii, całej Europy, innych kontynentów i tu, w Szczecinie, tworzyć dla nich warunki pracy, bo oni nam pomogą zrozumieć i na nowo zdefiniować nasze miasto. Należy postawić na włączenie Szczecina w bardzo aktywną i skuteczną sieć partnerstw międzynarodowych, to jest dla niego wielką szansą. Musimy się oderwać od schematycznego myślenia o nim, że jest gdzieś tam na prowincji, na krańcu Polski. Musimy stać się nowoczesnym, europejskim miastem, otwartym na artystów, naukowców, myślicieli z Europy.

Co artystom z Europy zaoferować? Czy szczecinianie są otwarci na współczesność myślenia?

W Szczecinie, jak zresztą chyba wszędzie, są dwa bieguny, jeśli chodzi o wzorce kulturowe; po jednej stronie jest biegun bardzo konserwatywny, lęk przed nowością, oryginalnością, przed młodzieżą, ale po drugiej jest bardzo wyraźny biegun otwartości, kosmopolityczności, innowacyjności, undergroundu wreszcie. Jest też duża sfera dla popkultury, ale ona powoli zmierza do wzmacniania bieguna innowacyjnego, i dlatego współczesna sztuka w Szczecinie zaczyna sobie torować szersze drogi. To jest proces powolny, ale widzimy po inwentaryzacji podmiotów kultury, że na biegunie innowacyjnym jest ich coraz więcej. Liczebnie przewyższają one klasyczny, skostniały schemat.

W jakich sferach się ujawniają?

Głównie w sztukach wizualnych, muzyce, modzie, w tak zwanych nowych mediach. Powstało wiele nowoczesnych portali internetowych, które mają charakter ogólnopolski, na przykład: nuta.pl, muza.pl, stopklatka.pl, hip-hop.pl. Te portale są nierozpoznawalne w Polsce jako szczecińskie, ale to młodzi ludzie ze Szczecina komentują zjawiska kulturowe. Mówi się o Szczecinie, że jest polskim Glasgow, jeśli chodzi o jakość nowoczesnej muzyki młodzieżowej. Tu jest jej źródło, naliczyliśmy ponad 600 zespołów rockowych! One nie były do tej pory policzone i zauważane. Sfera instytucjonalna szczecińskiej kultury powoli oddaje pole sferze niezależnej, wolnej, rynkowej, innowacyjnej. Są tu marki niszowe, środowiskowe, nie ma wielkich przedsięwzięć czy wydarzeń artystycznych, które by ten artystyczny puls miasta zdominowały, natomiast jest różnorodność, wielobarwność, wielkie bogactwo dopiero odkrywane.

Szansą Szczecina nie jest kopiowanie mainstreamu – bo to jest zawsze jakieś wyobrażenie o głównych nurtach, które często mija się z rzeczywistością, jest iluzją. Ciekawsza dla twórców jest zniszczona, niezagospodarowana, niezdefiniowana, beztożsamościowa przestrzeń, taka jak willa Lentza, w której rozmawiamy: jest zabezpieczona, nie zawali się, ale każdy ma wrażenie, że może tu wejść i jeszcze coś zrobić. Atrakcyjnymi inicjatywami kulturalnymi Berlina są takie miejsca jak Tacheles, których genezą jest anarchia, które nie były akceptowane przez państwo i sferę publiczną. Ciekawe jest to, co jest autentyczne, co powstało w przestrzeniach, które były otwarte. Czy ten ferment w Szczecinie oznacza, że jest gotowość do zaakceptowania takiego eksperymentu?

Myślę, że jest coraz większa, co widać podczas wielkich imprez, jak Festiwal Teatralny Spoiwa Kultury, organizowany przez Teatr Kana, który sięga po przestrzenie do tej pory przez wydarzenia kulturalne niewykorzystane. Pojawiają się ludzie z zewnątrz i wierzę, że ich będzie coraz więcej. Zauważamy w Szczecinie otwarcie na kontestujące środowiska i nieprzeszkadzanie im – to jest dobra formuła dla kultury. Akademia Sztuki, która już niebawem zacznie działalność, będzie być może wylęgarnią takich twórczych osób.

Z **Markiem Sztarkiem** rozmawiali **Basil Kerski** i **Bogdan Twardochleb**.

Agencja Gazeta

Inga Iwasiów

Alan **Sasinowski**

Destruktion und Empathie

Ein Porträt der Stettiner Schriftstellerin Inga Iwasiów

Zerstörung der Mythen

Inga Iwasióws „Bambino“ hatte die Literaturkritiker in Begeisterung vereint – wie nicht viele polnische Romane in den letzten Jahren. 2009 wurde das Buch für alle renommierten Literaturpreise nominiert, unter anderem für den Nike-, Angelus- und Cogito-Preis. Iwasiów ist vermutlich die einzige Persönlichkeit in der polnischen Polonistik, die so viele Gestalten annehmen kann und dabei für alle diese Gestalten solide Papiere vorweisen kann. So ist sie nicht nur eine angesehene Schriftstellerin, sondern auch eine Literaturkritikerin, deren Werk beeindruckt, eine geschätzte Literaturwissenschaftlerin und Hochschullehrerin (sie leitet das Institut für Polonistik und Kulturwissenschaft der Universität Szczecin) sowie Chefredakteurin der Kulturzeitschrift „Pogranicza“ [Grenzgebiete], in der die neuesten Tendenzen der Humanistik vorgestellt werden. Diese Rollen scheinen miteinander eng verflochten zu sein, sie bilden ein multidimensionales literarisches Projekt.

Was für ein Projekt ist das? Wichtig an ihm ist gewiss der revolutionäre Aspekt. „Bambino“ ist eine Geschichte, die gegen nostalgische und sentimentale Vereinfachungen gerichtet ist; eine Geschichte, die Mythen vernichtet und sich gleichzeitig davor hütet, auf den Ruinen der zerstörten Welt in einer aufrührerischen, tollkühnen Antimythologie Trost zu suchen. Iwasiów beschreibt das Stettin der PRL-Zeit kurz nach dem Krieg, in dem ein paar Protagonisten sich einzurichten versuchen: der aus einem Dorf bei Posen kommende Jan, Maria aus Kresy, die Deutsche Ulrike und der Jude Stefan, ein KZ-Überlebender ... Es sind Umsiedler, Outsider, entwurzelte Menschen, die von einer auf Null gestellten, scheinbar vergangenheitslosen Stadt angelockt wurden, in der man neu beginnen konnte. Doch diese Verheißung stellt sich als trügerisch heraus, und das nicht nur deswegen, weil sich das kommunistische *social engineering* als nutzlos erweist. Es geht bei den Figuren auch um ihre ganz intimen Niederlagen. Einmal stellt es sich heraus, dass der Preis dafür, der eigenen Vergangenheit zu entkommen, zu hoch ist, ein anderes Mal ist die Flucht vor ihr gar unmöglich. Jan will so sehr das Landleben hinter sich lassen, dass er sich selbst betrügt und eine Karriere bei der Staatssicherheit anschlägt. Ulrike verliebt sich in Stefan und weiß dabei nicht, dass er mit ihr schläft, um sich in dieser Form an der Nation zu rächen, die sein Volk vernichten wollte. Maria, die von der Rolle einer geachteten Kapitänsfrau träumt, heiratet einen Mann, den sie schnell zu verachten anfängt ... Die Protagonisten scheitern, leiden, irren, täuschen sich etwas vor, treffen falsche Entscheidungen – als ob irgendetwas für sie entscheiden würde.

„Bambino“ ist auch ein politischer Roman. Das, was die Biografien der Figuren deformiert, ist die große *Geschichte* – die Protagonisten sind genau mitten drin und

unfähig, sie wahrzunehmen. Die einzelnen Entscheidungen werden zunichte gemacht und durch den Krieg, die Umsiedlungen, den Antisemitismus und den Totalitarismus verformt.

Und noch etwas: Im Fall von „Bambino" ist nicht nur das wichtig, was gesagt wurde, sondern auch, wie es gesagt wurde. Der Roman wurde in der sperrigen Sprache der Menschen geschrieben, die zu verletzt und zu verwirrt sind, um in einem erbaulichen Polnisch von sich erzählen zu können – in dem erbaulichen Polnisch, das für Menschen bestimmt ist, die in ihrer Identität und ihrer Erinnerung befestigt sind. Das Lesen von „Bambino" gestaltet sich schwierig, das Buch ist anstrengend und ermüdend, und dennoch muss es so sein – denn die Wahl der Poetik ist gleichzeitig eine ideologische Wahl. „Bambino" verkündet etwas nicht nur, sondern es versucht auch das Verkündete sprachlich zu leben, und der Preis spielt dabei keine Rolle. In diesem Sinne erscheint das letzte Buch Inga Iwasióws vor dem Hintergrund der jüngsten polnischen Literatur wie ein selten kompromissloser, radikaler Roman.

Das Durchkämmen der Ränder

Diese Kompromisslosigkeit schlug höhere Wellen in Stettin als in dem gesamtpolnischen Bereich. Denn in Stettin, nachdem man sich jahrelang den Unsinn über die „urpolnischen piastischen Gebiete", über die „Wiedergewonnenen Gebiete" und darüber angehört hatte, dass die Geschichte der Stadt 1945 begann, kam ein natürliches Bedürfnis auf, diesen Mangel an Reflexion abzureagieren, nach der Wahrheit zu suchen und die „Identität wiederzuerlangen". In den Stettiner Buchhandlungen sind immer mehr Bücher und Alben zu finden, die sich der Geschichte der Stadt vor dem Zweiten Weltkrieg zuwenden, immer aktiver werden auch die Gruppen von Liebhabern der Stadtgeschichte und auch in den lokalen Medien wird über die Signa der Vergangenheit berichtet. Das ist eine bemerkenswerte Arbeit, und dennoch kann ich mich des Eindrucks nicht erwehren, dass dieser Geschäftigkeit etwas Falsches anhaftet. Diese „Identitätssuche" besteht größtenteils darin, sich am Stettin der Vorkriegszeit zu berauschen, an der „Perle Europas", der eleganten Stadt des gebildeten Bürgermeisters Hermann Haken. Es ist ein bisschen so, als würden die Stettiner alle aktuellen Probleme der Stadt in einem Zug erledigen wollen, indem sie diese mit dem Stettin-Bild in Sepia aus den alten Postkarten überdecken. Über die Nachkriegszeit, die immer noch schmerzen kann, wird weniger gesprochen – tut man das, artet dies meist in eine euphorisch-hysterische Konklusion aus: „Bei uns wurden doch die 'Augustabkommen' der Solidarność früher als in Danzig unterzeichnet, aber daran erinnert sich niemand! Was für ein übler Undank!"

Inga Iwasiów *(geb. 1963) – Professorin an der Universität Szczecin, Literaturwissenschaftlerin und -kritikerin, Lyrikerin und Prosaautorin; seit 1999 Chefredakteurin der Stettiner Literaturzeitschrift „Pogranicza" [Grenzgebiete]. Autorin von Erzählungen („Miasto – ja – miasto" /Die Stadt – Ich – Die Stadt, 1998), „Smaki i dotyki" /Geschmecktes und Berührtes, 2006), Gedichten („Miłość" /Die Liebe, 2001; „39/41", 2004), Romanen („Bambino", 2008; „Ku słońcu" /Der Sonne entgegen, 2010), und vor allem von Abhandlungen und Essays, in denen sie die polnische Literatur des 20. und 21. Jahrhunderts vom Standpunkt der feministischen Kritik aus behandelt.*

Dabei sind es weder die Helden der antikommunistischen Opposition und noch weniger die Bürger aus der Vorkriegszeit, die die Aura des heutigen Stettins prägen. Stettin ist eine graue, apathische und kraftlose Stadt. Um zu verstehen, warum es so ist, muss man sich in die komplizierten Biografien hineindenken, die Inga Iwasiów in „Bambino" präsentiert hat. Das lässt uns begreifen, warum die Debatten über das heutige Stettin häufig aus der falschen Perspektive geführt worden sind – als wäre die Stadt etwas Fremdes; etwas, was an unsere Sehnsüchte, Fähigkeiten und Ambitionen nicht heranreicht. Es gilt aber, sich damit abzufinden, dass die Schwäche, die wir an der Stadt sehen, in erster Linie mit ihren jetzigen Einwohnern zusammenhängt.

In diesem Sinne ist „Bambino" eine ziemlich unverschämte Provokation. Die Stettiner sind in einer miserablen Verfassung, ehrlich gesagt, sind sie außer Atem; kaum haben sie in den Geschichten über das alte Stettin ein Quäntchen Trost gefunden sowie in der Einbildung, dass sie gerettet wären, hätte man ihrer Stadt in den Geschichtsschulbüchern mehr Aufmerksamkeit geschenkt, da kommt Iwasiów und nimmt ihnen auch noch dieses Palliativum weg. Dabei hätte die Autorin ihr Ansehen ruhig genießen und souverän in dem beispielsweise feministischen Getto bleiben können. Doch sie will eine Anarchistin und Spielverderberin sein – eine Rebellin.

Anders aufgenommen wird „Bambino" von der Leserschaft, der provinzielle Neurosen fremd sind. Für die Leser von außen ist nicht das wichtig, was Inga Iwasiów zerstört, sondern das, was sie entstehen lässt. So weisen sie darauf hin, dass die Stettiner Autorin Peripherien durchkämmt – die Peripherien der Geschichte und der Gesellschaft – um das Wort den Menschen zu erteilen, die abseits des Geschehens stehen. Die Schriftstellerin erinnert an diejenigen, die sich in einem bestimmten Kulturraum nicht heimisch fühlen, ohne dabei Mitleid mit ihnen zu haben oder sie zu schikanieren. Sie versucht einfach, sie zu verstehen.

Die Ausgrenzungsmechanismen

Diejenigen Leser, die Iwasióws Karriere seit Längerem verfolgen, wird „Bambino" wohl kaum überrascht haben. Ganz im Gegenteil – der Roman scheint eine natürliche Etappe des Spiels zu sein, das die Autorin mit der polnischen Kultur spielt.

Die Stettiner Gelehrte versucht schon lange, die Mechanismen der Ausgrenzung und Unterdrückung des Anderen zu entlarven, in erster Linie der Frau. Beispiel dafür ist ihre Sammlung an literaturkritischen Texten „Rewindykacje" [Rückforderungen] (2002), die dubiose Analysen der „männlichen kulturellen Texte" birgt. Ähnlich verhält es sich mit der Auswahl an Vorträgen, die als „Gender dla średniozaawansowanych" [Gender für Mittelstufe] (2004) herausgegeben wurde, in der kritische Textlektüren von der Auseinandersetzung mit den Sprachen begleitet werden, die dabei helfen, Ausgrenzung und Demütigung zum Ausdruck zu bringen – wie die Sprache der postkolonialistischen Theorie.

Diese Nachforschungen ergänzt Iwasiów mit den schriftstellerischen Unterfangen. Der erste Erzählungsband „Miasto – ja – miasto“ [Die Stadt – Ich – die Stadt] (1998) ist einerseits introvertiert, auf das Gefühlsleben der Autorin gerichtet, auf der anderen Seite ist es ein Auftakt, ein Versprechen eines Campus-Romans, der von Problemen einer Frau im Universitätsleben erzählt. Ihr Einsatz im Kampf um die Rechte der Frauen kommt in ihrem nächsten Buch, „Smaki i dotyki“ [Geschmecktes und Berührtes] (2006) stärker zum Ausdruck. In diesem Band gibt es mehrere Texte, die programmatisch anteilnehmend sind: Iwasiów versetzt sich in Frauen hinein, die in der offiziellen Kultur nicht vertreten werden – zum Beispiel in eine Prostituierte aus dem Balkan („Uczciwa transakcja“/ Eine faire Transaktion) – oder sie spricht von der Schwierigkeit, die Geschichte solcher Frauen zu erzählen („Kobieta z kotletem“/ Die Frau mit einem Kotelett). Die meisten dieser Texte sind dabei sehr sinnlich, knisternd und erotisch aufgeladen. Die Erfahrung eines weiblichen Subjekts kann nämlich nur mit dem eigenen Mit-Körper-Schreiben ausgedrückt werden, durch Schmecken und Berühren – nicht mit der schnellen, männlichen, logischen Epik, die die weibliche Sensibilität verwischt. Und wieder einmal drückt der Stil eine Ideologie aus.

Eine Grimasse voll Mitgefühl

Wir wissen also, wo die Wurzeln von „Bambino“ liegen. Wir wissen auch, warum das Projekt, das hinter diesem Roman steht, für die polnische Kultur von so großer Bedeutung ist. Es ist an der Zeit, gewisse Zweifel zu äußern, die dieses Projekt weckt.

In dieser Sorge – und die Sorge bildet das Fundament von Iwasióws Werk – gibt es etwas, was Misstrauen hervorruft. „Bambino“ handelt nicht nur von den Ausgegrenzten, es ist auch ein Roman darüber, wie ein Roman gemacht wird. Er legt die Nähte der Narration bloß, verrät ihre Unechtheit. Die Erzählerin mischt sich in die dargestellte Welt ein, zeigt, dass sie die Protagonisten erfunden hat, sie manipuliert sie, teilt ihnen Aufgaben zu, die sie für sie bestimmt hat. Sie steht über der von ihr kreierten Welt, sie ist ein Demiurg.

Wie soll nun der Leser in sich den Schmutz spüren, der an Jan und Maria klebt, wenn der in „Bambino“ dargestellte Verfall aseptisch und unter Laborbedingungen entstanden ist? Iwasiów gibt sich die größte Mühe, ihre Protagonisten sowohl zu lieben, als auch zu verachten, um die Balance zwischen Empathie und Grausamkeit zu halten, doch geht diese Mühe irgendwo auf dem Weg verloren. Und es konnte auch nicht anders kommen, wenn der Schmerz, der den Leser berühren sollte, in der Stille eines Arbeitszimmers präpariert wurde. Dadurch verwandelt sich das Trauma der Umsiedler oder der balkanischen Prostituierten in eine Trauma-Inszenierung, in theatralische Darbietungen bei der Erzeugung eines „Mitgefühl-Effekts“. Im Endeffekt ist das, was berühren sollte, nur trocken, pedantisch, konzipiert. Anstelle der Empathie kommt dem Leser aus manchen Seiten des Buches lediglich eine Grimasse entgegen.

Facetten der Dunkelheit

Iwasiów – wie ich bereits erwähnt habe – beschäftigen auch andere Themen. Einmal ist sie eine Schriftstellerin, die Gerechtigkeit walten lässt (in einer nicht naiven Art und Weise), ein anderes Mal ist sie launisch, giftig, wütend und verzerrt.

Ich denke hierbei an ihre kürzeren Texte, die Bruchstücke eines ungeschriebenen Romans enthalten, der sich von „Bambino“ sehr unterscheidet. Die Erzählerin dieser Skizzen macht sich keine Gedanken über das Mitgefühl, weil sie mit ihren eigenen Problemen beschäftigt ist – den Problemen einer alkoholabhängigen Intellektuellen, einer gestressten Gelehrten, einer frustrierten Karrierefrau. Ein Beispiel dafür ist eine hervorragende Darstellung des Versuchs, aus einem Alkoholdauerrausch herauszukommen, wie in „Siedem dni“ [Sieben Tage] aus dem Band „Die Stadt – Ich – die Stadt“. Ähnlich ist es in der Erzählung „Pani redaktor nie tańczy“ [Frau Redakteurin tanzt nicht] aus „Geschmecktes und Berührtes“ und in dem Text „Przy toalecie albo dzień egzaminu“ [An der Toilette oder der Prüfungstag], der in „Pogranicza“ erschienen ist. Beide Texte sind tief selbstironisch, aber auch voll des Gefühls, von seiner nächsten Umgebung viel Unrecht erfahren zu haben. Diese Umgebung kann mit der Sensibilität der Autorin nicht mithalten und besudelt sie immer aufs Neue. Genauso ist es in der Erzählung „Porada“ [Ratschlag], in der die Erzählerin – eine trockene Alkoholikerin und Gelehrte – dank ihres spezifischen Zustands nicht nur ihre eigenen Schwächen schärfer sieht, sondern auch die des gesamten akademischen Milieus. Diese Texte sind auf der einen Seite ungerecht, voller Leid und Neurosen, auf der anderen Seite wiederum suggestiv, hochmütig und grausam. „Bambino“ ruft Respekt hervor, doch lauert der wahre Schmerz in dem anderen, in vielen Texten verstreuten, bebenden Roman.

Aus dem Polnischen von Monika Satizabal Niemeyer

Alan Sasinowski
Schriftsteller, Literaturkritiker, Redakteur der Tageszeitung „Kurier Szczeciński“, lebt in Stettin.

Anzeige / reklama

Agencja Gazeta

Inga Iwasiów

Alan **Sasinowski**

Destrukcja i empatia

Portret szczecińskiej pisarki Ingi Iwasiów

Dewastując mity

„Bambino" Ingi Iwasiów zjednoczyło krytyków w entuzjazmie – jak niewiele polskich powieści w ostatnich latach. W 2009 roku książka została nominowana do wszystkich poważnych nagród literackich, m.in. do Nike, Angelusa, Cogito. Iwasiów jest chyba jedynym graczem w polskiej polonistyce, który przybiera tak wiele wcieleń, a jednocześnie na każde z nich ma mocne papiery. Jest więc nie tylko uznaną pisarką, ale także krytyczką literacką z imponującym dorobkiem, cenioną literaturoznawczynią i nauczycielką akademicką (szefuje Instytutowi Polonistyki i Kulturoznawstwa na Uniwersytecie Szczecińskim), a także redaktorką naczelną dwumiesięcznika kulturalnego „Pogranicza", na którego łamach prezentowane są najnowsze trendy w humanistyce. Te role wydają się silnie ze sobą splecione, tworzą jeden wielowymiarowy projekt literacki.

Jaki to projekt? Na pewno ważny jest w nim aspekt burzycielski. „Bambino" to opowieść wymierzona przede wszystkim przeciwko nostalgicznym i sentymentalnym ułatwieniom, opowieść, która dewastuje mity i jednocześnie wystrzega się przed tym, żeby na gruzach zdewastowanego świata szukać pocieszenia w jakiejś buntowniczej, dziarskiej antymitologii. Iwasiów opisuje peerelowski, tużpowojenny Szczecin, w którym próbuje ułożyć sobie życie kilkoro bohaterów: Jan z wioski spod Poznania, Kresowianka Maria, Niemka Ulrike, Żyd Stefan, który przeszedł przez obóz koncentracyjny... Przesiedleńcy, outsiderzy, osoby wykorzenione, skuszone wizją miasta wyzerowanego, bez przeszłości, w którym wszystko można zacząć od nowa. Ale ta obietnica to złudzenie. Nie tylko dlatego, że komunistyczna inżynieria społeczna okaże się niewydolna. Chodzi także o fiaska zupełnie intymne. Czasami okazuje się, że cena za ucieczkę od przeszłości jest zbyt wysoka, a innym razem, że ta ucieczka jest niemożliwa. Jan tak bardzo chce przestać być prowincjuszem, że oszukując samego siebie, robi karierę w bezpiece. Ulrike zakochuje się w Stefanie, nie wiedząc, że sypianie z Niemką jest dla niego formą zemsty na narodzie, który chciał wymordować jego naród. Maria, spragniona prestiżowej roli „pani kapitanowej", wychodzi za mąż za mężczyznę, którym szybko zaczyna gardzić... Bohaterowie ponoszą klęskę, cierpią, błądzą, żyją wmówieniami, wybierają źle. Jakby coś wybierało za nich.

„Bambino" jest też powieścią polityczną. To, co deformuje biografie bohaterów, to

wielka Historia – której oni, będąc w samym jej środku, nie potrafią dostrzec. Jednostkowe wybory są nicowane i wykoślawiane przez wojnę, przesiedlenia, antysemityzm i totalitaryzm.

I jeszcze jedno – w przypadku „Bambino" ważne jest nie tylko to, co zostało powiedziane, ale także, jak to zostało powiedziane. A powieść jest napisana charkotliwym językiem osób zbyt zranionych i zagubionych, by opowiedzieć o sobie krzepiącą polszczyzną przeznaczoną dla jednostek pewnych swojej tożsamości i pamięci. Książka jest trudna w odbiorze, męczy, nuży, ale taka być musi – wybór poetyki jest wyborem ideologicznym. „Bambino" nie tylko coś deklaruje, ale także stara się być tym, co deklaruje – bez względu na cenę. W tym sensie na tle współczesnej polskiej produkcji literackiej ostatnia książka Iwasiów jawi się jako powieść wyjątkowo bezkompromisowa, radykalna.

Przeczesywanie marginesów

Ta bezkompromisowość przynosi inne skutki w Szczecinie, inne zaś w obiegu ogólnopolskim.

W Szczecinie stało się bowiem tak, że po latach wysłuchiwania nonsensów o „odwiecznych ziemiach piastowskich", o „Ziemiach Odzyskanych", o tym, że historia miasta zaczęła się dopiero po 1945 roku, pojawiła się naturalna potrzeba, by ten brak refleksji odreagować. Poszukać prawdy, „odzyskać tożsamość". W szczecińskich księgarniach pojawia się coraz więcej książek i albumów poświęconych przedwojennej historii miasta, coraz aktywniej działają grupy entuzjastów jego dziejów, o stemplach przeszłości informują lokalne media. To bardzo cenny wysiłek, ale odnoszę wrażenie, że w tej krzątaninie jest coś fałszywego. To „szukanie tożsamości" polega głównie na zachłystywaniu się przedwojennym Stettinem, „perłą Europy", eleganckim miastem światłego burmistrza Hermanna Hakena. Jest trochę tak, jakby szczecinianie chcieli załatwić wszystkie współczesne problemy swojego miasta jednym ruchem, zakrywając je sepiowym, pocztówkowym obrazem Stettina. O historii powojennej, wciąż mogącej pokaleczyć, mówi się mniej – a jeśli się mówi, to zbyt często zmierza to ku euforyczno-histerycznej konkluzji: „Przecież to u nas podpisano porozumienia sierpniowe dzień wcześniej niż w Gdańsku! Nikt o tym nie pamięta! Co za czarna niewdzięczność!".

Tymczasem swoistej „aury" współczesnego Szczecina nie tworzą ani bohaterowie peerelowskiej opozycji, ani tym bardziej przedwojenni mieszczanie. Szczecin jest miastem szarości, apatii, bezsiły – żeby zrozumieć, dlaczego taki jest, trzeba wmyśleć się w skomplikowane biografie, jakie Iwasiów zaprezentowała w „Bambino". Wtedy zrozumiemy, że debaty o współczesnym Szczecinie często były prowadzone z fałszywych pozycji – jakby miasto było czymś zewnętrznym, czymś, co nie dorasta do naszych pragnień, talentów i ambicji. Tymczasem trzeba się pogodzić, że słabość, którą w nim widzimy, tkwi głównie w ludziach współczesnych.

Inga Iwasiów *(ur. 1963) – profesor Uniwersytetu Szczecińskiego, literaturoznawca, krytyk literacki, poetka i prozaiczka, od 1999 redaktor naczelna dwumiesięcznika literackiego „Pogranicza". Jest autorką opowiadań („Miasto – ja – miasto", 1998; „Smaki i dotyki", 2006), tomików poetyckich („Miłość", 2001; „39/41", 2004), powieści („Bambino", 2008; „Ku słońcu", 2010), a przede wszystkim rozpraw i esejów, w których zajmuje się literaturą polską XX i XXI wieku ze stanowiska krytyki feministycznej (m.in. „Kresy w twórczości Włodzimierza Odojewskiego. Próba feministyczna", 1994; „Rewindykacje. Kobieta czytająca dzisiaj", 2002; „Gender dla średnio zaawansowanych. Wykłady szczecińskie", 2004).*

W tym sensie „Bambino" jest wyzwaniem dość bezczelnym. Szczecinianie są w kiepskiej formie, a prawdę mówiąc, ledwo dyszą, dopiero co znaleźli cień ukojenia w historiach o Stettinie i rojeniach, że byliby uratowani, gdyby ich miastu poświęcono więcej miejsca w podręcznikach do najnowszej historii, a oto przyszła Inga Iwasiów i zabrała im nawet te paliatywy. A przecież mogła z godnością nosić gronostaje i dostojnie tkwić na przykład w feministycznym getcie. Lecz ona woli być anarchistką, psują. Chuliganką.

Trochę inaczej „Bambino" czyta publiczność wolna od prowincjonalnych nerwic. Dla odbiorców z zewnątrz ważne jest nie to, co Inga Iwasiów niszczy, ale to, co powołuje do istnienia. Zwracają oni uwagę, że szczecińska autorka przeczesuje marginesy – historii i społeczeństwa – w poszukiwaniu narracji osób, które nie wchodzą w główny nurt zdarzeń. Pisarka oddaje sprawiedliwość tym, którzy w danej przestrzeni kultury nie czują się jak u siebie. I jednocześnie ani się nad nimi nie rozczula, ani się nie znęca, stara się ich po prostu zrozumieć.

Mechanizmy wykluczenia

Oczywiście, dla czytelników, którzy nieco dłużej śledzą karierę szczecińskiej pisarki, „Bambino" nie będzie zaskoczeniem. Przeciwnie, powieść wydaje się naturalnym etapem gry, jaką Iwasiów prowadzi z polską kulturą.

Szczecińska uczona od dawna stara się odsłaniać mechanizmy wykluczania i neutralizowania głosów Innego, a przede wszystkim – kobiety. Tak było w jej zbiorze tekstów krytycznoliterackich „Rewindykacje" (2002), zawierającym podejrzliwe analizy „męskiego tekstu kultury". Tak było też z wykładami pomieszczonymi w książce „Gender dla średniozaawansowanych" (2004), gdzie krytycznym lekturom towarzyszyło przystępne omówienie języków, pomagających wyrazić wykluczenie i upokorzenie – na przykład języka teorii postkolonialnej.

Te poszukiwania uzupełniały przedsięwzięcia pisarskie. Pierwszy zbiór opowiadań Iwasiów „Miasto-ja-miasto" (1998) jest z jednej strony introwertyczny, skupiony na życiu emocjonalnym autorki, z drugiej – to zalążek, obietnica powieści kampusowej, opowiadającej o problemach kobiety w przestrzeni uniwersytetu. Zabiegi rewindykacyjne nasiliły się w kolejnym tomie, „Smaki i dotyki" (2006). Sporo w nich było tekstów programowo współodczuwających: Iwasiów wcielała się w kobiety, które nie mają swojej reprezentacji w kulturze oficjalnej, na przykład w prostytutkę z Bałkanów („Uczciwa transakcja"), czy opowiadała o trudnościach z wyrażeniem historii takich kobiet („Kobieta z kotletem"). Jednocześnie większość tych tekstów była bardzo zmysłowa, lepka, pulsująca erotyką. Doświadczenie kobiecego podmiotu trzeba bowiem próbować

wyrazić właśnie ciałopisaniem, przez smak i dotyk, a nie przez żwawą, męską, logiczną epikę, rozmywającą kobiecą wrażliwość. I znowu: styl był ideologią.

Grymas pełen współczucia

Wiemy już zatem, skąd wzięło się „Bambino". Wiemy także, dlaczego stojący za tą książką projekt jest tak ważny dla polskiej kultury. Nadszedł czas, by podzielić się pewnymi wątpliwościami, jakie ów projekt budzi.

Otóż w tej trosce, a troska stanowi fundament twórczości Iwasiów, jest coś, co wywołuje nieufność. Książka Iwasiów jest nie tylko opowieścią o wykluczonych, ale także opowieścią o robieniu opowieści – i odsłania narracyjne szwy, ujawnia własną sztuczność. Narratorka panoszy się w świecie przedstawionym, zdradza, że wymyśliła bohaterów, manipuluje nimi, oddelegowuje ich do wyznaczonych przez siebie zadań. Stoi ponad wykreowanym światem, jest demiurgiem.

Jak czytelnik ma poczuć w sobie brud oblepiający Jana i Marię, skoro ukazana w „Bambino" ruina jest w gruncie rzeczy aseptyczna, wyprodukowana w laboratoryjnych warunkach? Iwasiów wkłada wiele wysiłku w to, żeby jednocześnie kochać i poniewierać swoich bohaterów, żeby zbalansować empatię i okrucieństwo, ale jej trud gubi się gdzieś po drodze. Nie może być inaczej, skoro ból, który ma poruszyć czytelnika, wypreparowano gdzieś w zaciszu gabinetu, a trauma przesiedleńców czy bałkańskiej prostytutki zmienia się w inscenizację traumy, w sceniczne popisy produkcji „efektu współodczuwania". W efekcie to, co powinno być poruszające, jest suche, pedantyczne, wykoncypowane. Zamiast empatii z niektórych kart książki wyziera jedynie grymas.

Różne ciemności

Ale, jak zaznaczyłem wcześniej, Iwasiów podejmuje także inne tematy. Bywa pisarką wymierzająca sprawiedliwość (w nienaiwny sposób) – ale bywa też kapryśna, jadowita, wściekła, wykrzywiona.

Myślę tu o jej krótszych tekstach, w których zawarte są okruchy nienapisanej powieści, bardzo różniącej się od „Bambino". Jej narratorka nie zaprząta sobie głowy żadnym współodczuwaniem, ale zajmuje się własnymi problemami – problemami uzależnionej od alkoholu intelektualistki, zestresowanej uczonej, sfrustrowanej kobiety sukcesu. Tak jest w znakomitej relacji z wychodzenia z alkoholowego ciągu w „Siedmiu dniach" z tomu „Miasto-jamiasto". Tak jest w opowiadaniu „Pani redaktor nie tańczy" ze „Smaków i dotyków" czy w tekście „Przy toalecie albo dzień egzaminu", opublikowanym w „Pograniczach" – głęboko autoironicznych, ale także pełnych poczucia krzywdy wobec najbliższego otoczenia, które nie dorasta do wrażliwości narratorki, które tę wrażliwość raz za razem plugawi. Tak jest też w „Poradzie", gdzie narratorką jest niepijąca alkoholiczka, uczona, która dzięki temu specyficznemu statusowi widzi ostrzej zarówno własne słabości, jak i środowiska akademickiego. Te teksty są niesprawiedliwe, pełne żalów, neuroz – ale jednocześnie są sugestywne, harde i okrutne. „Bambino" budzi szacunek, lecz prawdziwy ból czai się w tej drugiej, rozproszonej po wielu tekstach, rozedrganej powieści.

Alan Sasinowski
pisarz, krytyk literacki, dziennikarz „Kuriera Szczecińskiego", mieszka w Szczecinie.

Anzeige / *reklama*

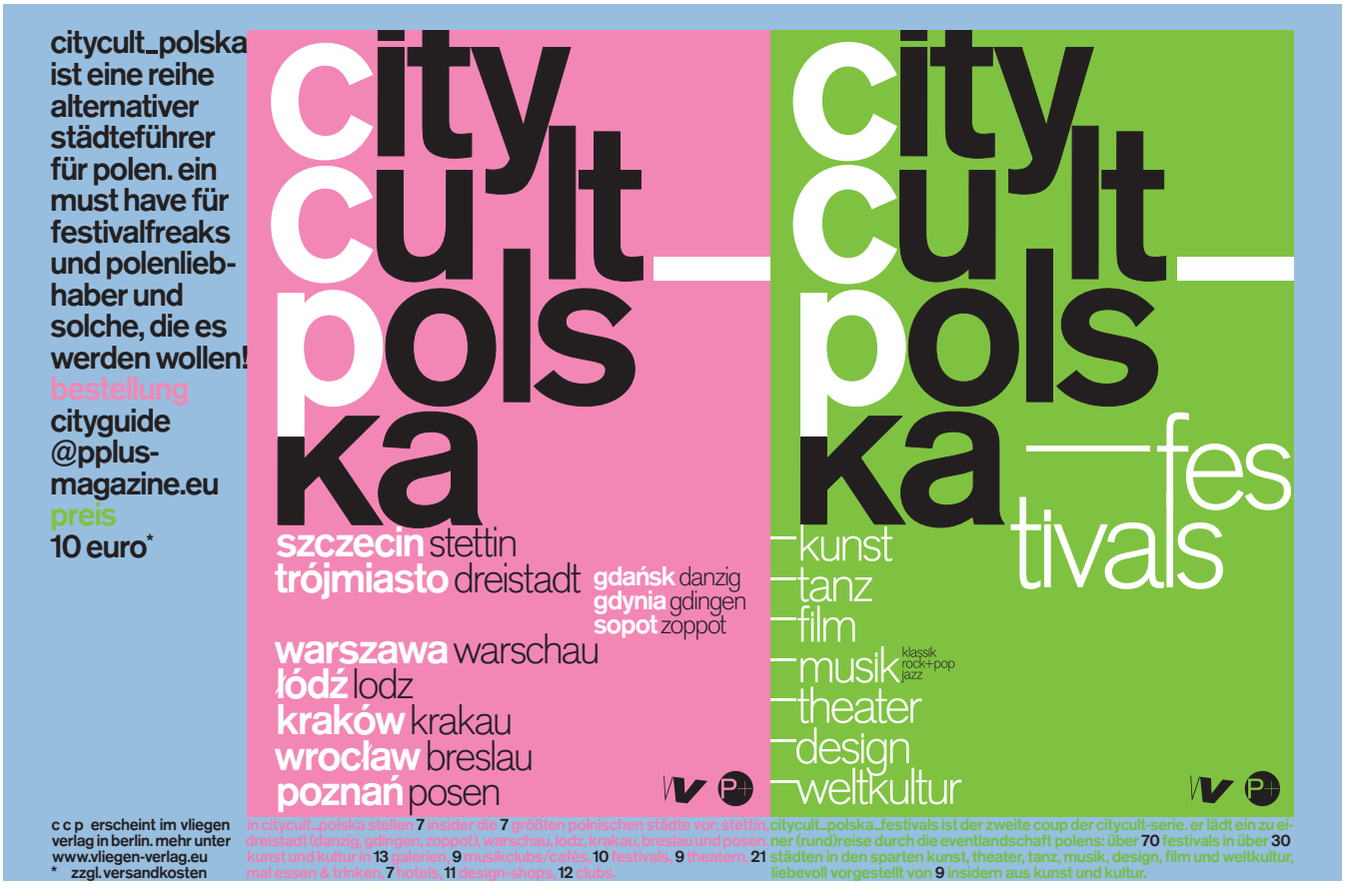

Bogdana **Kozińska**

Bewohner derselben Stadt

Hans Stettiner und Jan Szczeciński – zwei symbolische Bewohner Stettins im zwanzigsten Jahrhundert – sind Helden einer Dauerausstellung, die im vergangenen Jahr im Stettiner Stadthistorischen Museum (einer Abteilung des Nationalmuseums Stettin) eröffnet wurde, die „Jedermanns" einer Stadt mit zwei Namen: Stettin und Szczecin. Der eine steht für die hier seit vielen Generationen bis zum Jahre 1945 verwurzelten deutschen Bewohner Stettins, der andere – für die Polen, die freiwillig oder unter Zwang nach dem Krieg hierher kamen und in der ehemals deutschen, grenznahen Hafenstadt Szczecin ein neues Leben begannen.

Fot. Grzegorz Solecki

Das alltägliche Leben unterscheidet sich von den wichtigen, historischen Tatsachen, von den Lehrbuchaufzeichnungen, den statistischen Erhebungen. Es dreht sich um grundlegende Probleme, die sich in jeder Generation und bei jeder Gelegenheit wiederholen. Zuhause und Familie, Arbeit, Schule, Einkäufe, Kultur, Sport und Erholung – dies sind die Akte des Lebens, um die herum sich die Schicksale der Stettiner und der Szczeciner im 20. Jahrhundert mehrheitlich bewegen. Unabhängig von der Nationalität, der Sprache, der Politik verbinden beide Helden ähnliche Erfahrungen des persönlichen Lebens und greifbare Spuren ihres täglichen Handelns. Es verbindet sie auch der gemeinsame – wenn auch in der Ausstellung durch unterschiedliche Farben gekennzeichnete – Hintergrund, der von der Kulturlandschaft der Stadt gebildet wird: von denselben Straßen und Gebäuden, urbanen Lösungen, derselben Stimmung von Ufermauern und Hafen, demselben Klima von Grünanlagen und Parks, derselben Landschaft der Umgebung. In dem Gewirr komplizierter Schicksale der Stadt und ihrer Bewohner sowie im Ergebnis der zeitlichen Einwirkung haben wir es mit der Stetigkeit zu tun, dem Andauern und gleichzeitig den natürlichen Veränderungen des konkreten Ortes. Wir betrachten den Einfluss des über Jahrzehnte erbauten *genius loci* auf die neuen Bewohner und ihre Assimilation in der anfänglich fremden, gar als feindlich empfundenen Umgebung – in dem kulturellen Raum, der seine charakteristischen Merkmale beibehält und dabei den Weg seiner schrittweisen Aneignung vorgibt.

Doch das polnische und das deutsche halbe Jahrhundert trennt eine tiefe Zäsur, die auf radikale Weise die Geschichte der Stadt veränderte, und mit ihr die Schicksale Stettiners und Szczecińskis. Es ist der Krieg und seine Folgen – das barbarischste und zugleich epochale Ereignis des vergangenen Jahrhunderts. Dieses Ereignis, im Ausstellungsraum in der Eingangsmitte angeordnet, stellt ein visuell kraftvolles Fragment dar, das die historische Aussage auf eindeutige Weise vermittelt. Die Ursachen und die Auswirkungen des Krieges erbrachten für Stettin nicht nur flächendeckende Luftangriffe, während derer Zehntausende Menschen starben und ein Großteil der Gebäude in Trümmern versank, sondern führten auch zu einem dramatischen Exodus der Bevölkerung, zu dessen Symbol – als Attribut der Umsiedlungen – die Koffer wurden, welche Begleiter sowohl der Deutschen als auch der Polen waren. Jene Koffer, mit dem Stettiner Bahnhof im Hintergrund, verbinden die Schicksale beider Gemeinschaften, obgleich wir das in einer anderen „kleinen Heimat" durchlebte weitere Schicksal der Deutschen nicht kennen, und wohingegen bei den Polen der Anfang fehlt. Der Inhalt der Koffer verbindet sich deutlich mit den Lebenswegen ihrer Besitzer: des umgesiedelten Deutschen, des Polen – Häftlings eines Konzentrationslagers oder Siedlers aus den durch die Sowjetunion besetzten Gebieten.

Grundlage der Ausstellung war es, das Alltägliche durch das Prisma dessen einzufangen, was dieses Alltägliche ausmacht – des gewöhnlichen, ja banalen Gegenstandes. Die Erzählung wird somit nicht nur von Kunstobjekten, Unikaten und Bildern getragen, sondern auch von kleinen Erinnerungsstücken, einfachen Gebrauchsgegenständen, Fotografien, Bruchstücken der Wirklichkeit, die dank der Achtsamkeit irgendeines Menschen oder dank eines glücklichen Zufalls erhalten blieben. Durch ihre Auswahl erlangen sie die Bedeutung von Zeugnissen und Dokumenten.

All diese ausgestellten „Puzzles" stammen von den Bewohnern der Stadt, und nicht nur von den heutigen, sondern auch von denen, die die Stadt verließen. Jetzt, da keine Barrieren mehr den Kontakt mit dem Ort der Herkunft erschweren, übergeben Vorkriegsbewohner Stettins oder ihre Nachfahren dem Stettiner Stadthistorischen Museum Familienandenken und sagen, „ihr Platz sei in Stettin".

In der vom Alltag erzählenden Ausstellung geht es nicht darum, durch materielle oder künstlerische Werte Erstaunen hervorzurufen, sondern um den Respekt vor den in der Schatzkammer des Gedächtnisses verborgenen Erinnerungen. Die Ausstellung soll keine Wertung aufdrängen, nicht die Erinnerung objektivieren, nicht die Konflikte zwischen den unterschiedlichen Klischees der Erinnerung verwischen. Es geht in ihr vielmehr darum, dass die Bilder und Fotografien, der szenografische Innenraum und die Dokumente die Vorstellungskraft anregen, den vielschichtigen und symbolischen Inhalt vermitteln, den

man vielen Lebenswegen und den unterschiedlichen Episoden im Leben des Hans Stettiner und des Jan Szczeciński zuschreiben kann.

Sowohl die Ausstellung als auch das sie begleitende Buch wurden in deutscher und in polnischer Sprache gestaltet.

Aus dem Polnischen von Fritz Müller

Bogdana Kozińska
Leiterin des Stettiner Stadthistorischen Museums.

Hans Stettiner und Jan Szczeciński. Das alltägliche Leben im Stettin des 20. Jahrhunderts • Nationalmuseum Stettin, Konzeption der Ausstellung und Kuratorin: Bogdana Kozińska, in Zusammenarbeit mit: Aleksandra Wilgocka, Jerzy Grzelak, räumliches Arrangement: Agata Kosmacz.

Hans Stettiner i Jan Szczeciński. Życie codzienne w Szczecinie w XX wieku. • Muzeum Narodowego w Szczecinie, koncepcja wystawy i kurator: Bogdana Kozińska, współpraca: Aleksandra Wilgocka, Jerzy Grzelak, aranżacja plastyczna: Agata Kosmacz.

Bogdana **Kozińska**

Mieszkańcy tego samego miasta

Hans Stettiner i Jan Szczeciński to dwaj symboliczni mieszkańcy dwudziestowiecznego Szczecina – bohaterowie stałej wystawy, otwartej w minionym roku w Muzeum Historii Szczecina (Oddział Muzeum Narodowego w Szczecinie), „everymani" miasta o dwóch nazwach: Stettin i Szczecin. Pierwszy reprezentuje zakorzenionych tu od wielu pokoleń do 1945 roku niemieckich mieszkańców Stettina, drugi – Polaków, dobrowolnie lub z przymusu przybyłych tu po wojnie, podejmujących nowe życie w poniemieckim, portowym, przygranicznym Szczecinie.

Życie codzienne odbiega znacznie od ważnych, historycznych faktów, od podręcznikowych zapisów, statystycznych ujęć. Rozgrywa się wokół podstawowych problemów, powtarzających się w każdym pokoleniu i w każdych okolicznościach. Dom i rodzina, praca, szkoła, zakupy, kultura, sport i wypoczynek – to odsłony życia, wokół których koncentrują się losy większości Stettinerów i Szczecińskich w XX wieku. Niezależnie od nacji, języka, polityki obu bohaterów łączą podobne doświadczenia prywatnego życia i materialne ślady ich powszednich działań. Łączy ich także wspólne – choć na wystawie wyznaczone odmienną barwą – tło, tworzone przez krajobraz kulturowy miasta: te same ulice i budowle, urbanistyczne rozwiązania, ten sam nastrój nabrzeża i portu, ten sam klimat skwerów i parków, pejzaż okolic. W plątaninie skomplikowanych losów miasta i jego mieszkańców, w następstwie oddziaływania czasu mamy do czynienia z ciągłością, trwaniem, a jednocześnie z naturalnymi zmianami konkretnego miejsca. Oglądamy wpływ budowanego przez dziesięciolecia *genius loci* na nowych mieszkańców i ich asymilację w początkowo obce, odczuwane nawet jako wrogie, otoczenie – przestrzeń kulturową, która utrzymuje swoje charakterystyczne cechy, narzucając sposób jej stopniowego oswajania.

Fot. Grzegorz Solecki

Jednak półwiecze niemieckie i półwiecze polskie dzieli zasadnicza cezura, która w radykalny sposób zmieniła dzieje miasta, a z nim losy Stettinera i Szczecińskiego. To wojna i jej konsekwencje – najbardziej brutalne, a przy tym przełomowe wydarzenie minionego stulecia. To wydarzenie, w przestrzeni ekspozycji zakomponowane na osi wejścia, tworzy silny wizualnie fragment, zawierając jednoznaczny przekaz o historycznej wymowie. Przyczyny i skutki wojny sprowadziły na Szczecin nie tylko dywanowe naloty, podczas których zginęły dziesiątki tysięcy ludzi, a w gruzach legła znaczna część zabudowy, ale także spowodowały dramatyczny *exodus* ludności, którego symbolem stały się walizki – atrybut przesiedleń, będących udziałem zarówno Niemców, jak i Polaków. Owe walizki ze szczecińskim dworcem w tle, łączą losy obu społeczności, chociaż nie znamy dalszego losu Niemców, przeżywanego w innej „małej ojczyźnie", u Polaków zaś brakuje początku. Zawartość walizek wyraźnie kojarzy się z życiorysami właścicieli: przesiedlonego Niemca, Polaka – więźnia obozu koncentracyjnego i osadnika z terenów zajętych przez Związek Radziecki.

Założeniem wystawy było uchwycenie codzienności przez pryzmat tego, co ową codzienność tworzy – zwykłego, nawet banalnego przedmiotu. Narrację budują więc nie tylko obiekty sztuki, unikaty, obrazy, ale także drobne pamiątki, zwykłe przedmioty użytkowe, zdjęcia, okruchy rzeczywistości, ocalałe dzięki czyjejś troskliwości lub szczęśliwemu przypadkowi. Dzięki aktowi wyboru nabierają one wagi zabytków i dokumentów.

Wszystkie te wystawowe „puzzle" pochodzą od mieszkańców miasta, i to nie tylko współczesnych, lecz także tych, którzy miasto opuścili. Teraz, gdy kontaktów z miejscem pochodzenia nie utrudniają bariery, przedwojenni mieszkańcy Stettina lub ich potomkowie przekazują Muzeum Historii Szczecina rodzinne pamiątki, mówiąc, że „ich miejsce jest w Szczecinie".

W ekspozycji, opowiadającej o codzienności, nie chodzi o epatowanie wartością materialną czy artystyczną, lecz o respekt wobec skojarzeń ukrytych w skarbcu pamięci. Wystawa nie ma narzucać interpretacji, obiektywizować pamięci, zacierać konfliktów między różnymi kliszami wspomnień. Chodzi w niej o to, by obrazy i fotografie, scenograficzne wnętrza, dokumenty, poruszały wyobraźnię, przekazywały wielowątkową i symboliczną treść, którą można przypisać wielu życiorysom i różnorodnym epizodom życia Hansa Stettinera i Jana Szczecińskiego.

Zarówno ekspozycję, jak i towarzyszącą jej książkę, przygotowano w językach polskim i niemieckim.

Bogdana Kozińska
kierownik Muzeum Historii Szczecina.

Robert **Ryss**

Rückkehr zur Normalität

Die Deutsch-polnische Grenzregion nach Schengen

Fot. Bogdan Twardochleb

Heute macht gerade seine Unvorhersehbarkeit das deutsch-polnische Grenzgebiet so faszinierend: Hier ereignen sich ganz spontan Dinge, an die noch vor wenigen Jahren Politiker in Warschau und Berlin nicht einmal zu denken gewagt hätten, auch heute wissen nicht viele davon. Aber so ist es immer, wenn ein Gebiet sein eigenes, wahrhaftes Leben ohne künstliche Grenzen führt. Geht an der deutsch-polnischen Grenze so etwas wie eine revolutionäre Veränderung vor sich?

Wenn man in Polen zur Arbeit und wieder nach Hause fährt, wo überquert man dann viermal täglich die Grenze? Südlich von Stettin: im unteren Odertal, in der Gegend von Chojna (Königsberg in der Neumark) und Gryfino (Greifenhagen). Gleich nach dem Beitritt Polens zum Schengenraum merkten die Leute aus diesen beiden Städten, dass der kürzeste Weg nach Stettin durch Deutschland führt: Zuerst fahren sie am Grenzübergang Krajnik Dolny – Schwedt über die Grenze (die Leute aus Gryfino am Übergang Gryfino – Mescherin), danach erreichen sie bei dem Ort Rosówek (Neu Rosow) bei Stettin wieder polnisches Territorium. Die Fahrt geht durch deutsches Gebiet, in dem sich Polen niederlassen, bislang schon einige Hundert. Nördlich von Gryfino verläuft die Grenze über Land, sodass ein Autofahrer in Rosówek die Grenze überquert, ohne überhaupt etwas davon zu bemerken.

Ist eine solche Transitfahrt bloß eine regionale Kuriosität? Doch wohl viel mehr als das. Die Polen aus dem Grenzland werden auf diesem Wege einen großen Teil Ressentiments gegen ihren westlichen Nachbarn los. Selbst wenn sie hin und wieder in den Städten Schwedt oder Gartz ein Strafmandat wegen überhöhter Geschwindigkeit bezahlen müssen, machen sie dabei die Erfahrung, dass ein deutscher Polizist alles andere als arrogant ist und sich sogar anstrengt, polnisch zu sprechen. Und die Strafmandate kosten allen Gerüchten entgegen weniger als in Polen, selbst in Złoty umgerechnet.

Sich mit dem „Fremden“ auf vertrauten Fuß zu stellen und ihn näher kennenzulernen, ist das beste Mittel gegen Stereotype. Die Polen von der Westgrenze habe dazu jede Menge Gelegenheit. Sie gehen regelmäßig im deutschen Schwedt einkaufen und profitieren sogar in dem großen Einkaufszentrum „Oder Center“ von eigens für polnische Kunden ausgegebenen Rabattmarken. Übrigens sind es von Chojna bis Schwedt nur zwanzig Minuten und über deutsches Gebiet nach Stettin weniger als eine Stunde. Wenn man wie früher auf der polnischen Seite bleibt, dauert es doppelt so lange.

Es gibt viele solcher Steinchen, aus denen sich das große Mosaik des Lebens an der Grenze zusammensetzt. Wenn die Stettiner oder Chojnaer in Lublin, Warschau oder Posen waren, kommt es ihnen bei der Rückkehr schon so vor, als kämen sie aus dem Ausland. Unter anderem deswegen, weil hier, in der Nähe der Grenze, niemand mehr vor den Deutschen Angst hat. Deshalb verlieren Warschauer Politiker, die immer den Deutschen zum Schreckgespenst machen, jede Wahl im westlichen und nördlichen Grenzgebiet Polens. Denn die dortigen Polen begegnen zuhause all-

täglich Hunderten von wirklichen Deutschen: auf der Straße, in den Läden und Restaurants oder als Touristen. Außerdem fahren sie selbst sehr oft über die Oder, vor allem um einzukaufen, aber auch immer öfter, um sich mit deutschen Bekannten und Freunden zu treffen.

Und obwohl Tag für Tag Hunderte von Polen und Deutschen in beide Richtungen die Grenze bei Krajnik Dolny und bei Osinów Dolny (Niederwutzen) – Hohenwutzen überqueren (da führt der kürzeste Weg von Berlin nach Polen, vom Stadtzentrum sind es kaum mehr als 60 km), so lassen sich doch an den Fingern einer Hand die gewalttätigen Ausschreitungen der letzten zwanzig Jahre abzählen, die nationalistische Motive hatten. Und das, obwohl es beiderseits der Grenze an Milieus nicht fehlt, die für Populismus und nationalistische Demagogie empfänglich sind. Es gibt viele arbeitslose, deklassierte ehemalige LPG-Arbeiter und konservative Landbewohner, außerdem auf deutscher Seite einstige Bewohner dieser Odergebiete, die jetzt zu Polen gehören.

Und noch ein paar Steinchen aus dem Grenzlandmosaik: Die Stellenanzeigen in der „Gazeta Chojeńska“ (Chojnaer Zeitung) nennen als häufigste Bedingung, Deutsch zu können. Und fast in jeder Zeitungsausgabe finden sich Eheanzeigen mit ähnlichem Wortlaut: „Deutscher sucht Polin ...“.

Provinz? Aber wo denn eigentlich? Hier, in den Grenzstädtchen mit ihren ein paar tausend Einwohnern? Oder vielleicht doch in Warschau? Die Leute von der Grenze erwarten nicht, dass alle Abgeordneten und Minister wissen, wo Chojna, Cedynia oder Gryfino liegen, aber sie gehen davon aus, dass sie wenigstens wissen, wo sich die Staatsgrenze und die stark genutzten Grenzübergänge befinden. Deshalb können sie nicht begreifen, wieso die Straßen von der polnischen Grenze ins Landesinnere oft in einem miserablen Zustand sind, obwohl sie doch ein Aushängeschild des Landes sein sollten. Aber Geschichtspolitik und übersteigerter Patriotismus werden von Politikern als Wahlkampfinstrumente eingesetzt; zur Reparatur von Straßen taugen sie nicht. Trotz solcher Angriffe fahren die Polen von der polnischen Seite der Oder weiter über deutsches Gebiet nach Stettin, Swinemünde, Breslau und die Stettiner sogar nach Krakau. Das ist zwar nicht näher als über polnisches Gebiet, aber viel schneller und sicherer.

Seit Jahren befassen sich die Grenzlandbewohner aus eigenem Antrieb mit der Geschichte ihrer Heimat. Und obwohl diese eine deutsche Geschichte ist, betrachten sie sie doch immer häufiger auch als ihre eigene. Sie haben von der Schlacht von Cedynia (Zehden) gehört und davon, dass in diesem Gebiet Mieszko I., Bolesław der Kühne und Władysław Schiefmund herrschten. Aber danach trat im polnischen Geschichtsbewusstsein eine lange, 700-jährige Lücke ein. Denn offiziell begann für Polen die neuzeitliche Geschichte dieses Gebietes erst 1945. Doch für die hier lebenden Polen, die nun ihre Identität frei wählen können, ist eine solche historische Lücke unerträglich. In einer solchen Lücke lassen sich keine Wurzeln schlagen. Deshalb fangen die Leute an, sie zu füllen. So ist die historische Recherche in Mode gekommen. In Chojna, Cedynia, Słońsk (Sonnenburg) usw. lassen sich die Menschen schon gar nicht mehr zählen, die Ansichtskarten aus der Neumark der Vorkriegszeit sammeln. Während die alten Häuser renoviert werden, finden die Leute unter den Fensterbrettern und in den Winkeln der Dachböden deutsche Zeitungen vom Anfang des 20. Jahrhunderts. Diese wurden damals als Dichtungsmaterial benutzt. Meist sind sie schmutzig und angebrannt. Trotzdem verwahren die Leute sie, zeigen sie her, sammeln sie oder bringen sie der Redaktion der „Gazeta Chojeńska“. Sogar solche aus der Nazizeit.

Soviel gibt es noch zu entdecken ... So nimmt es nicht wunder, dass sich die 2009 in Chojna gegründete Historisch-Kulturelle Gesellschaft den Namen „Terra Incognita“ gegeben hat. Bereits nach wenigen Monaten gab sie die erste Ausgabe des „Rocznik Chojeński“ (Chojnaer Jahrbuch) heraus. Die Texte darin lassen erkennen, dass diese angeeignete und immer mehr für Polen gewonnene Geschichte auch nicht-polnisch und häretisch sein kann. Starkes Interesse fand zum Beispiel ein Artikel von Professor Edward Rymar über die Ketzerdörfer im Umland von Chojna, damals Königsberg in der Neumark, im 14. und 15. Jahrhundert.

Auch die jüdische Geschichte gehört dazu, für deren Spuren sich die Gesellschaft neuerdings interessiert. Im Chojnaer Jahrbuch wurde eine Zusammenfassung der lebhaften Diskussion abgedruckt, die vor zweieinhalb Jahren in der „Gazeta Chojeńska“ geführt wurde und in der es um die Schlacht bei Zehden vor über 1000 Jahren und ihre Bedeutung für die Identität der hiesigen Einwohner ging.

„Terra Incognita“ bringt Einwohner der Region zusammen, die meist keine professionellen Historiker sind. Sie können mit überraschendem Wissen über die Geheimnisse des Flugplatzes von Chojna auf-

Chojna

Fot. 4Dfoto

warten, der zuerst ein deutscher Flugplatz war, dann fast ein halbes Jahrhundert ein sowjetischer. Oder über die Konzentrationstwas zu erfahren. Umso mehr über kleinere, vergessene und in den Wäldern versteckte Denkmäler oder Überreste von Friedhöfen. Die Schicksale dieser (deutschen und jüdischen) Friedhöfe nach dem Krieg, das ist eine jener polnischen Wunden, die man aufreißen müsse, wie Żeromski schrieb, damit sie nicht mit gemeinem Schrund überzögen ...

Es ließen sich viele Beispiele für das Interesse der Einwohner an der Geschichte ihres Gebietes anführen, die über Jahrhunderte eine deutsche war und jetzt eine polnische ist. Das lässt sich natürlich nicht von der Suche nach einer lokalen und regionalen Identität trennen. Diese bildet sich gewöhnlich spontan, und daran nehmen nicht nur die sogenannten Eliten teil, sondern auch Menschen ohne Bildung. Sie nennen das gar nicht Identität, noch verwenden sie andere kluge Wörter, wenn sie von ihren Aktivitäten sprechen.

Manchmal nimmt diese Einwurzelung paradoxe Formen an, wenn beispielsweise einige Chojnaer bis heute prahlen, dass angeblich Anfang der vierziger Jahre vom Balkon eines stattlichen Gebäudes im Stadtzentrum aus Hermann Göring höchstpersönlich eine Ansprache gehalten habe und im Schwimmbad von Königsberg/Neumark 1936 die Ausscheidungen für die Olympischen Spiele in Berlin ausgetragen worden seien. Diese Überlieferungen werden von den alten Deutschen aus Königsberg (Chojna), die davon noch nie etwas gehört haben, erbarmungslos ins Reich der Legende verwiesen. Ihrerseits kultivieren sie in zahlreichen Publikationen und in der deutschen Wikipedia hartnäckig Chojna als den Bestattungsort des slawischen Pommernfürsten Bogusław I., obwohl diese Behauptung schon vor langer Zeit von polnischen Historikern widerlegt wurde.

Offensichtlich verläuft das Leben anders, als das Stereotyp es haben will. Es ist eben nicht so, dass die Deutschen unbelehrbare Germanisierer sind und die Polen alles wieder slawisch machen wollen.

Der Dinge sind mehr, die sich nicht an das Schulbuch halten und einen in Erstaunen versetzen. Im Zentrum eines gewissen Ortes bei Chojna ist ein in den dreißiger Jahren zu Ehren Hitlers aufgestellter Felsblock erhalten, was eine noch heute sichtbare Aufschrift belegt. Ein deutscher Journalist erkundigt sich bei einem heutigen Einwohner, ob ihn dieser Stein denn nicht störe. Der ältere Mann, wie sich erweist ein Aussiedler aus der Gegend von Lemberg, antwortet: „Ach was, dieser Hitler. Bandera, das war erst ein Bandit!“ [Stepan Bandera, Anführer des bewaffneten ukrainischen Untergrundes im Zweiten Weltkrieg; A.d.Ü.]

> Hier, in der Nähe der Grenze, hat niemand mehr Angst vor den Deutschen. Deshalb verlieren Warschauer Politiker, die immer den Deutschen zum Schreckgespenst machen, jede Wahl im westlichen und nördlichen Grenzgebiet Polens. Denn die dortigen Polen begegnen zuhause alltäglich Hunderten von wirklichen Deutschen: auf der Straße, in den Läden und Restaurants oder als Touristen. Außerdem fahren sie selbst sehr oft über die Oder, vor allem um einzukaufen, aber auch immer öfter, um sich mit deutschen Bekannten und Freunden zu treffen.

Im gesamten Grenzgebiet gilt der Wiederaufbau der großen gotischen Marienkirche von Chojna als Musterbeispiel für Zusammenarbeit und Aneignung der Geschichte. Aber er ist kein typisches Beispiel, weil die treibende Kraft hinter dem Unternehmen die früheren Bewohner der Stadt sind. Deren Sprecher, Günther Kumkar aus Hannover, erhielt vor seinem Tod 1997 die Ehrenbürgerschaft von Chojna, ebenso ein weiterer Befürworter der Zusammenarbeit an der Grenze, Gerhard Polack aus Schwedt, der ebenfalls bereits verstorben ist. In der Marienkirche, die jetzt wieder ein Dach und einen restaurierten Turm hat, werden seit zwanzig Jahren jeweils im August deutsch-polnische ökumenische Gottesdienste gefeiert, und seit 1999 finden die Tage der Europäischen Integration, Freundschaft und Toleranz statt. Nach einigen Jahren fanden die kirchlichen Sachwalter der Feiern den Begriff der Toleranz zu wenig religiös und ersetzten ihn durch den der Ökumene, obwohl diese in diesen Breiten erst recht ein viel seltener Gast ist ...

Am 16. April 1999 wurde in Chojna erstmals die Ausstellung „Und dann wiesen sie uns aus. Wanderungen durch das Gedächtnis. Über die Vertreibungen von Polen und Deutschen 1939-1949“ eröffnet. Die Ausstellung wurde von Wanja W. Ronge, Ewa Czerwiakowska und Martina Pietsch kuratiert. Sie war ein Ergebnis ihrer Gespräche mit Polen, die direkt nach 1945 aus dem Osten flohen oder sich hier ansiedlen ließen und mit Deutschen, die zuvor in dieser Gegend beheimatet gewesen waren. Die Ausstellung wurde anschließend an vielen Orten beiderseits der Grenze gezeigt.

Vor zehn Jahren druckte die „Gazeta Chojeńska“ mehrere Monate lang einen Zyklus dramatischer Erinnerungen der letzten deutschen Bewohner der Stadt an den Jahresanfang 1945. Manche waren der Meinung, das sei ein riskantes Unterfangen, weil man nicht wusste, wie die Leser reagieren würden. Tatsächlich waren die Reaktionen sehr lebhaft: Das Lesepublikum wartete auf die Fortsetzungen der Erinnerungen mit einer Ungeduld wie auf einen spannenden Sensationsroman. Denn sie erfuhren daraus von Ereignissen in ihrer Straße, an ihrem Ort, an ihrem See und an ihrer Oder.

Heute macht gerade seine Unvorhersehbarkeit das deutsch-polnische Grenzgebiet so faszinierend: Hier ereignen sich ganz spontan Dinge, an die noch vor wenigen Jahren Politiker in Warschau und Berlin nicht einmal zu denken gewagt hätten, auch heute wissen nicht viele davon. Aber so ist es immer, wenn ein Gebiet sein eigenes, wahrhaftes Leben ohne künstliche Grenzen führt. Geht also an der deutsch-polnischen Grenze so etwas wie eine revolutionäre Veränderung vor sich?

Eher haben wir es mit der Rückkehr von Normalität in die über tausendjährige deutsch-polnische Nachbarschaft zu tun. Denn die Historiker sind sich schon lange darüber einig, dass trotz der Erfahrungen der letzten 200 Jahre die Grenze zwischen Polen und Deutschland jahrhundertelang die friedlichste Grenze Polens war und eine der friedlichsten in ganz Europa.

Aus dem Polnischen von Andreas R. Hofmann

Robert Ryss
Publizist, Gründer und Redakteur der Zeitschrift „Gazeta Chojeńska”, lebt in Chojna.

Fot. 4Dfoto

Robert **Ryss**

Powrót do normalności

Polsko-niemieckie pogranicze po Schengen

Dzisiejsze pogranicze polsko-niemieckie fascynuje swą nieprzewidywalnością: spontanicznie dzieją się tu rzeczy, o których kilka lat temu w ogóle nie myśleli politycy w Warszawie i Berlinie, a i dzisiaj niewielu z nich o tym wie. Ale tak jest zawsze, gdy jakiś obszar żyje prawdziwym, pozbawionym sztucznych barier życiem. Czy na pograniczu polsko-niemieckim zachodzą jakieś rewolucyjne zmiany?

Gdzie w Polsce, jadąc do pracy i z powrotem do domu, ludzie cztery razy dziennie przekraczają granicę państwa? Na południe od Szczecina: w Dolinie Dolnej Odry, w okolicach Chojny i Gryfina. Zaraz po wejściu do Schengen mieszkańcy obu tych miast samorzutnie odkryli, że najkrótsza droga do Szczecina prowadzi przez Niemcy: najpierw granicę przekraczają na przejściu Krajnik Dolny/Schwedt (a gryfinianie – Gryfino/Mescherin) i potem wjeżdżają do Polski w miejscowości Rosówek pod Szczecinem. Trasa wiedzie przez niemieckie tereny, w których osiedlają się Polacy. Liczy się ich już w setki. Na północ od Gryfina granica biegnie już lądem, więc w Rosówku, gdy kierowca się zamyśli, nawet nie zauważy, że wjechał do innego państwa.

Czy takie podróże tranzytem to tylko ciekawostka regionalna? Na pewno dużo więcej. Mieszkający na pograniczu Polacy leczą się w ten sposób ze sporej części uprzedzeń do zachodniego sąsiada. W tym celu opłaca się nawet od czasu do czasu dostać w przygranicznych miastach Schwedt czy Gartz mandat za przekroczenie prędkości, by doświadczyć, że niemiecki policjant jest zaprzeczeniem arogancji, a nawet próbuje rozmawiać po polsku. No i mandaty są – wbrew pozorom – niższe niż w Polsce, nawet po przeliczeniu na złotówki.

Oswojenie się z „obcym" i poznanie go z bliska to najlepsze remedium na stereotypy. Mieszkańcy zachodniego pogranicza Polski mają ku temu mnóstwo okazji. Regularnie robią zakupy w niemieckim Schwedt, korzystając nawet w wielkim centrum handlowym Oder-Center z rabatowych kuponów, przeznaczonych specjalnie dla polskich klientów. Zresztą z Chojny do Schwedt to tylko 20 minut drogi, a do Szczecina, przez Niemcy – niecała godzina. Przez Polskę, jak dawniej, trzeba jechać dwa razy dłużej.

Podobnych kamyczków wielkiej pogranicznej mozaiki jest więcej. W rezultacie szczecinianie czy chojnianie, wracając do domu z Lublina, Warszawy czy Poznania, mają wrażenie, że wracają zza granicy. Między innymi dlatego, że tu, na pograniczu, nie boją się już Niemców. Dlatego w całym pasie Polski zachodniej i północnej straszący Niemcem warszawscy politycy regularnie przegrywają każde wybory. Bo tutejsi Polacy każdego dnia spotykają u siebie setki konkretnych Niemców: na ulicach, w sklepach, restauracjach, na turystycznych szlakach. Poza tym sami bardzo często jeżdżą za Odrę – głównie na zakupy, ale też coraz częściej, by spotkać się z niemieckimi znajomymi i przyjaciółmi.

I choć codziennie setki Polaków i Niemców przekraczają w obie strony granicę w Krajniku Dolnym i w Osinowie/Hohenwutzen (tędy wiedzie najkrótsza droga z Berlina do Polski, niewiele ponad 60 kilometrów z samego centrum), to chyba na palcach jednej ręki można policzyć przypadki agresji na tle narodowościowym, jakie wydarzyły się tu w ciągu 20 lat. A przecież po obu stronach granicy nie brakuje środowisk podatnych na populizm i nacjonalistyczną demagogię. Dużo tu bezrobotnych, zdeklasowanych pracowników dawnych pegeerów, konserwatywnych mieszkańców wsi, a po stronie niemieckiej ponadto – byłych mieszkańców nadodrzańskich terenów, należących dziś do Polski.

I jeszcze parę kamyczków przygranicznej mozaiki: w publikowanych przez „Gazetę Chojeńską" ofertach pracy najczęstszym warunkiem stawianym przez polskich pracodawców jest znajomość niemieckiego. I niemal w każdym numerze gazety pojawiają się matrymonialne ogłoszenia – wszystkie bardzo podobne: „Niemiec pozna Polkę...".

Fot. 4Dfoto

Chojna

Prowincja? Ale gdzie? Tu, w tych kilkutysięcznych miasteczkach pogranicza? Czy może w Warszawie? Mieszkańcy nie oczekują, by wszyscy posłowie i ministrowie wiedzieli, gdzie leży Chojna, Cedynia czy Gryfino, ale oczekują, by wiedzieli przynajmniej, gdzie jest granica państwa i ruchliwe przejścia graniczne. Dlatego nie mogą zrozumieć, że biegnące od granicy w głąb Polski drogi są często w opłakanym stanie, choć powinny być wizytówką kraju. Jednak polityka historyczna i licytowanie się patriotyzmem służą politykom z reguły do atakowania rywali przed wyborami, a nie do remontowania dróg. Mimo tych ataków Polacy z polskiego Nadodrza nadal jeżdżą przez Niemcy do Szczecina, Świnoujścia, Wrocławia, a szczecinianie – nawet do Krakowa. Nie jest to bliżej niż przez Polskę, ale znacznie szybciej i bezpieczniej.

Od lat mieszkańcy pogranicza samorzutnie garną się do odkrywania historii swej ziemi. I choć jest to historia niemiecka, to zdecydowanie częściej niż kiedyś uważają ją już za swoją. Słyszeli o bitwie pod Cedynią, o bytności tutaj państwa Mieszka I, Chrobrego i Krzywoustego. Ale potem w naszej historycznej świadomości jest wielka, 700-letnia dziura. Bo oficjalnie nowożytna historia tych ziem zaczęła się dla Polski dopiero w 1945 roku. Ale dla Polaków mieszkających tutaj i mogących już swobodnie szukać swej tożsamości, taka historyczna dziura jest nie do zniesienia. W tak wielkiej dziurze nie da się zapuścić korzeni, więc ludzie zaczęli ją wypełniać. Stąd pęd do historycznych poszukiwań. W Chojnie, Cedyni, Słońsku itd. trudno dziś zliczyć kolekcjonerów przedwojennych pocztówek z widokami Nowej Marchii. Podczas remontów starych domów ludzie odnajdują pod parapetami czy w szczelinach strychów niemieckie gazety nawet jeszcze z początku XX wieku. Używano ich jako materiału izolacyjnego. Są zwykle brudne i nadpalone. Mimo to nie wyrzucają ich, pokazują sobie nawzajem, zbierają lub przynoszą do redakcji „Gazety Chojeńskiej". Nawet te nazistowskie.

Tyle tu jeszcze do odkrycia... Nic więc dziwnego, że powstałe w 2009 roku w Chojnie stowarzyszenie historyczno-kulturalne przyjęło nazwę „Terra Incognita". Już po paru miesiącach wydało ono pierwszy numer „Rocznika Chojeńskiego". Po jego lekturze widać, że ta oswajana i coraz bardziej nasza historia może być także niepolska i heretycka. Duże zainteresowanie wywołał na przykład artykuł profesora Edwarda Rymara o kacerskich wioskach wokół Chojny (ówczesnego Königsbergu in der Neumark) w XIV–XV wieku.

Może być też historią żydowską, bo stowarzyszenie poszukuje właśnie śladów żydowskich mieszkańców tych okolic. W „Roczniku" jest również podsumowanie głośnej debaty, jaką 2,5 roku temu prowadzono na łamach „Gazety Chojeńskiej" o związkach bitwy pod Cedynią sprzed ponad 1000 lat z tożsamością dzisiejszych mieszkańców.

„Terra Incognita" skupiła mieszkańców regionu, którzy najczęściej nie są zawodowymi historykami. Zaskakują wiedzą o tajemnicach lotniska w Chojnie, które było najpierw niemieckie, potem przez blisko pół wieku radzieckie. Albo o obozach koncentracyjnych czy jenieckich, które funkcjonowały wokół miasta w czasie ostatniej wojny. W oficjalnych źródłach trudno się czegoś o tym dowiedzieć. Tym bardziej o pomniejszych, zapomnianych i ukrytych w lasach pomnikach czy resztkach cmentarzy. Powojenne losy tych cmentarzy (niemieckich i żydowskich) – to jedna z tych polskich ran, które – jak pisał Żeromski – trzeba rozrywać, żeby się nie zabliźniły błoną podłości...

Można wymieniać mnóstwo przykładów zainteresowania mieszkańców historią swej ziemi, która przez wieki była niemiecka, a teraz jest polska. Nie sposób nie łączyć tego zjawiska z poszukiwaniem lokalnej i regionalnej tożsamości. Jej kształtowanie odbywa się zwykle spontanicznie, a uczestniczą w tym nie tylko tak zwane elity, lecz także ludzie bez wykształcenia. Nawet nie nazywają tego tożsamością, ani nie używają do opisu swej aktywności innych mądrych słów.

Czasem to zakorzenianie przybiera paradoksalne formy, na przykład gdy niektórzy chojnianie do dziś chwalą się, że w centrum ich miasta z balkonu okazałego budynku na początku lat 40. przemawiał ponoć sam Hermann Göring, a na chojeńskim basenie w 1936 roku rozgrywano eliminacje do finałów olimpijskich w Berlinie. Bezlitośnie obalają te przekazy starzy Niemcy z Königsbergu, bo w ogóle o takich wydarzeniach nie słyszeli. Z kolei oni sami w swych licznych wydawnictwach i w niemieckiej Wikipedii uporczywie kultywują Chojnę jako miejsce wiecznego spoczynku słowiańskiego księcia pomorskiego Bogusława I, chociaż z tą legendą rozprawili się już dawno polscy historycy.

Jak więc widać, życie odbiega od stereotypów. Wcale nie jest tak, że Niemcy chcieliby wyłącznie germanizować, a Polacy wyłącznie reslawizować.

Takich zadziwiających i daleko wybiegających poza podręcznikowe schematy sytuacji jest więcej. W centralnym punkcie pewnej miejscowości pod Chojną zachował się ustawiony w latach trzydziestych ku czci Hitlera głaz, o czym informuje widoczny do dziś napis. Niemiecki dziennikarz pyta dzisiejszego mieszkańca, czy mu ten głaz nie przeszkadza. Starszy człowiek – jak się okazuje przesiedleniec spod Lwowa – odpowiada: „Panie, co tam Hitler. Bandera, to dopiero był bandyta!".

Na całym pograniczu za sztandarowy przykład współpracy i oswajania historii uchodzi odbudowa wielkiego, gotyckiego kościoła Mariackiego w Chojnie. Jest to jednak przykład nietypowy, bo siłą sprawczą przedsięwzięcia są głównie dawni mieszkańcy miasta. Ich lider, Günther Kumkar z Hanoweru, otrzymał tuż przed śmiercią w 1997 roku honorowe obywatelstwo Chojny, podobnie jak inny orędownik współpracy przygranicznej – Gerhard Polack ze Schwedt (także już nieżyjący). W kościele Mariackim (dzisiaj już zadaszonym, z wyremontowaną wieżą) od 20 lat odprawiane jest w sierpniu polsko-niemieckie nabożeństwo ekumeniczne, a od 1999 roku odbywają się Dni Integracji Europejskiej, Przyjaźni i Tolerancji. Po kilku latach religijni szafarze uroczystości uznali tolerancję za mało religijną i zastąpili ją w nazwie ekumenizmem, choć jest to tutaj gość dużo rzadszy...

Swą prapremierę miała w Chojnie 16 kwietnia 1999 wystawa „I wtedy nas wywieźli. Wędrówki po obszarze pamięci. O wypędzeniach Polaków i Niemców 1939–1949". Jej autorami byli: Wanja W. Ronge, Ewa Czerwiakowska i Martina Pietsch. Był to owoc ich rozmów z Polakami, którzy uciekli bądź przesiedlili się tu po 1945 roku ze Wschodu oraz z Niemcami – poprzednimi gospodarzami tych ziem. Wystawa pokazywana była później w wielu miejscach po obu stronach granicy.

Dziesięć lat temu „Gazeta Chojeńska" przetłumaczyła i publikowała przez kilka miesięcy cykl dramatycznych wspomnień ostatnich niemieckich mieszkańców miasta z początku 1945 roku. Pojawiły się opinie, że to ryzykowne przedsięwzięcie, bo nie wiadomo, jak zareagują czytelnicy. Rzeczywiście, zareagowali bardzo żywo: na kolejne odcinki czekali z niecierpliwością jak na najlepszą powieść sensacyjną. Bo czytali o wydarzeniach na swojej ulicy, w swojej miejscowości, nad swoim jeziorem, nad swoją Odrą.

Dzisiejsze pogranicze polsko-niemieckie fascynuje swą nieprzewidywalnością: spontanicznie dzieją się tu rzeczy, o których kilka lat temu w ogóle nie myśleli politycy w Warszawie i Berlinie, a i dzisiaj niewielu z nich o tym wie. Ale tak jest zawsze, gdy jakiś obszar żyje prawdziwym, pozbawionym sztucznych barier życiem. Czy więc zachodzą na pograniczu polsko-niemieckim jakieś rewolucyjne zmiany?

Otóż mamy raczej powrót normalności w polsko-niemieckim sąsiedztwie, liczącym tysiąc lat. Bo historycy od dawna są zgodni, że – mimo doświadczeń ostatnich 200 lat – granica Polski i Niemiec była przez wieki najspokojniejszą z granic Polski i jedną z najspokojniejszych w Europie.

Robert Ryss
publicysta, założyciel i redaktor tygodnika „Gazeta Chojeńska", mieszka w Chojnie.

VII. Pommern-Konferenz der Deutsch-Polnischen Gesellschaft Vorpommern in Greifswald • Die VII. Regionalkonferenz Pommern fand am 27. und 28. Mai 2010 unter dem Titel „Kultur als Brücke zwischen Polen und Deutschen in Pommern" im Pommerschen Landesmuseum Greifswald statt. Mit Unterstützung der Friedrich-Ebert-Stiftung, dem Pommerschen Landesmuseum und der Stadtverwaltung Stettin organisierte die Deutsch-Polnische Gesellschaft Vorpommern e. V. erneut Podiumsdebatten und Vorträge zur Geschichte und zu den aktuellen Entwicklungen der regionalen deutsch-polnischen Zusammenarbeit. Wichtiger Themenschwerpunkt war am zweiten Tag der Konferenz die Bewerbung Stettins um die „Europäische Kulturhauptstadt 2016". Der Leiter des Projektes, Marek Sztark, berichtete vom neuesten Stand der Vorbereitungen.

VII Pomorska Konferencja Regionalna Towarzystwa Polsko-Niemieckiego Pomorza Przedniego • VII Pomorska Konferencja Regionalna „Kultura jako pomost między Polakami i Niemcami na Pomorzu" odbyła się w dniach 27–28 maja 2010 w Pomorskim Muzeum Krajowym w Greifswaldzie. Towarzystwo Polsko-Niemieckie Pomorza Przedniego we współpracy z Fundacją im. Friedricha Eberta, Pomorskim Muzeum Krajowym oraz Urzędem Miasta Szczecina zorganizowało po raz kolejny wykłady i dyskusje panelowe dotyczące historii oraz aktualnego rozwoju polsko-niemieckiej współpracy regionalnej. W drugim dniu konferencji ważnym tematem było ubieganie się Szczecina o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2016. Marek Sztark, kierownik projektu, relacjonował obecny stan przygotowań Szczecina do starań o uzyskanie tego tytułu.

Krzysztof **Kowalski**

Dialog der Museumsfachleute

Der deutsch-polnische Austausch von pommerschen archäologischen Funden

Vor einigen Monaten fand das deutsch-polnische Projekt zum Austausch von archäologischen Funden aus dem pommerschen Raum seinen Abschluss. Im Hinblick auf die Zielsetzung und die Komplexität des Unterfangens ist dieses Ereignis ohne Zweifel als beispiellos im Rahmen der Verständigung und der Zusammenarbeit beider benachbarter Staaten auf dem Gebiet der Kulturgüter zu betrachten.

Den messbarsten Effekt erbrachte der Austausch jedoch auf regionaler, das heißt pommerscher Ebene. Er gestattete es, die Sammlung archäologischer Funde des ehemaligen Pommerschen Landesmuseums in Stettin unter Berücksichtigung der staatlichen Zugehörigkeit der Fundorte der einzelnen Objekte neu zu ordnen. Gleichzeitig wurde damit ein für archäologische Musealien primäres Prinzip erfüllt – die Verknüpfung ihrer Sammlung und Ausstellung mit einem bestimmten Territorium, die von historischen und administrativen Bedingungen aber auch von der Anordnung und dem Rang der Museumsstätten abhängig ist. Zusammenfassend bedeutete der Austausch in diesem Fall die Übergabe der Funde aus Westpommern (dem heutigen polnischen Teil Pommerns) an die polnische Seite und die Übergabe der Musealien aus Vorpommern und Rügen an die deutsche Seite.

Für das Verständnis dieses Ereignisses bedarf es einer wenn auch nur kurzen historischen Beschreibung der Stettiner archäologischen Sammlung.

Die Anfänge der regionalen Sammlung – der pommerschen Sammlung archäologischer Funde – reichen in die erste Hälfte des 19. Jahrhunderts zurück. Mit der Entstehung der Gesellschaft für Pommersche Geschichte und Altertumskunde begannen planvolle Arbeiten auf dem Gebiet des Schutzes von Fundstücken und der Anlage regionaler Sammlungen. Die Gesellschaft für Pommersche Geschichte und Altertumskunde trug die archäologischen Funde in Stettin zusammen und legte damit den Grundstein für die größte und repräsentativste Sammlung von vor- und frühgeschichtlichen Musealien aus Pommern, die schließlich ihren festen Platz im Stettiner Pommerschen Landesmuseum fand.

Während des Krieges, in den Jahren zwischen 1940 und 1944, wurden im Museum schrittweise Maßnahmen zur Sicherung der Funde und der Dokumentation durchgeführt. Die wichtigsten Sammlungen wurden in Übereinstimmung mit den für die Zeit der Kriegshandlungen geltenden Vorschriften an verschiedene Orte in ganz Pommern evakuiert. Von der Auslagerung erfasst wurden ca. 700 archäologische Objekte. Auf diese Weise verblieb ein Teil der Stettiner archäologischen Sammlung an Ort und Stelle, in Stettin, ein weiterer – außerhalb des Museums in Sicherheit gebracht – wurde innerhalb der Grenzen des heutigen Deutschlands wiedergefunden, der verbleibende Teil, deponiert an Evakuierungsorten innerhalb der heutigen Grenzen Polens, ging in den Wirren des Kriegsendes und des Beginns der Nachkriegszeit verloren.

Die Suche nach den verschollenen Objekten erbrachte auf polnischer Seite keine befriedigenden Resultate. Bis Mitte der 1950er Jahre waren die Stettiner Archäologen und Museologen davon überzeugt, alle evakuierten Objekte seien verloren gegangen. Der Durchbruch gelang dank der Hinweise von Professor Hans Jürgen Eggers, der vor dem Zweiten Weltkrieg Kustos der Stettiner archäologischen Sammlungen war und die polnischen Kollegen darauf aufmerksam machte, dass einige Objekte in Deutschland überdauerten und in Stralsund (Museum für Ostmecklenburg) zusammengetragen seien. Ab eben diesem Zeitpunkt, genauer gesagt seit den Jahren 1962–1964, kann man vom Beginn der Verhandlungen über einen umfassenden Austausch der Sammlungen auf der Grundlage einer Einteilung nach den Fundorten innerhalb der heutigen Grenzen Polens und der heutigen Grenzen Deutschlands sprechen. Die aus deutschem Gebiet stammenden Sammlungen stellen den deutlich größeren Teil dieser Musealien dar, während der kleineren Gruppe an Funden von polnischem Boden sorgfältig ausgewählte Exponate angehören. Unter Berücksichtigung der Tatsache, dass Westpommern eines Teils seiner wertvollsten altertümlichen und frühmittelalterlichen Zeugnisse beraubt wurde und Vorpommern eines beträchtlichen Teils seiner fundamentalen Sammlung und Archivalien von archäologischen Funden bis zum Jahre 1944, sollte der Austausch die Verluste in den Beständen des kulturellen Erbes beider Gebiete auf paritätische Weise ausgleichen.

Ideengeber des Austauschprojektes und erster Unterhändler war der Direktor des Stettiner Museums, Professor Władysław Filipowiak, der auch die Gespräche mit den Kollegen aus Stralsund aufnahm. Wie er selbst in einem seiner Interviews erwähnte, wurde der Austausch, ungeachtet der Bemühungen von Spezialisten beider Länder und der Ausarbeitung der Details auf Ebene der lokalen Behörden, für mehr als zehn Jahre durch das Ministerium für Kultur der DDR blockiert. Erst die politischen Veränderungen des Umbruchs der 1980er und 1990er Jahre ermöglichten die Rückkehr zu dieser Thematik. Im Ergebnis von zweckorientierten Gesprächen mit den Archäologen auf deutscher Seite konnte das Interesse der Ministerien für Auswär-

tige Angelegenheiten Deutschlands und Polens für den Austausch erweckt werden. Verhandlungen wurden aufgenommen – Professor Wojciech Kowalski führte die Gespräche mit Professor Tono Eitel – und endeten mit der Vereinbarung über den Austausch. Die endgültige Gestalt und das Harmonogramm für die Realisierung des Projektes, das sowohl die rechtlichen Rahmenbedingungen als auch die Bedürfnisse und Möglichkeiten der Partnereinrichtungen im Rahmen des Austauschs berücksichtigte, wurden im Verlauf von Gesprächen zwischen dem Direktor des Nationalmuseums in Stettin, Lech Karwowski, und dem Leiter des Landesamtes für Denkmalpflege Mecklenburg-Vorpommern, Professor Friedrich Lüth, festgelegt.

Nach nahezu 50-jährigen Bemühungen endete das Projekt des Austauschs der pommerschen archäologischen Funde, der ihrer Zuordnung diente, mit einem Erfolg. So befinden sich heute in Stettin die Funde aus dem Gebiet Westpommerns und in Greifswald jene aus Vorpommern.

Aus dem Polnischen von Fritz Müller

Krzysztof Kowalski
Leiter des Bereichs Archäologie im Nationalmuseum in Stettin.

Fot. Krzysztof Kowalski

Krzysztof **Kowalski**

Dialog muzealników

Polsko-niemiecka wymiana pomorskich zabytków archeologicznych

Przed kilkoma miesiącami dobiegła końca realizacja projektu polsko-niemieckiej wymiany zabytków archeologicznych z terenu Pomorza. Z pewnością wydarzenie to, z uwagi na założony cel i kompleksową skalę przedsięwzięcia, należy uznać za bezprecedensowe w porozumieniu i współpracy obu sąsiadujących państw w zakresie problematyki dóbr kultury.

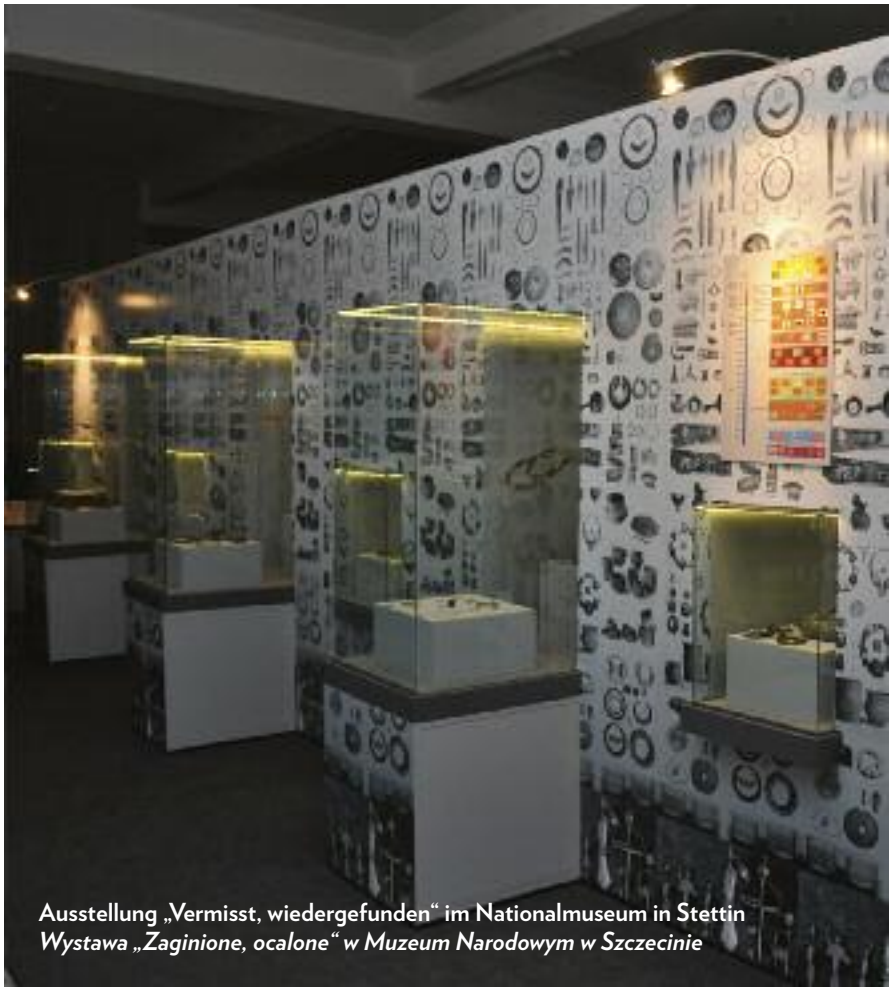

Ausstellung „Vermisst, wiedergefunden" im Nationalmuseum in Stettin
Wystawa „Zaginione, ocalone" w Muzeum Narodowym w Szczecinie

Najbardziej wymierny efekt wymiana przyniosła jednak w obszarze regionalnym – pomorskim. Pozwoliła od nowa uporządkować kolekcję zabytków archeologicznych dawnego Pomorskiego Muzeum Krajowego w Szczecinie (Pommersches Landesmuseum), z uwzględnieniem przynależności państwowej miejsc odkrycia poszczególnych przedmiotów. Tym samym wypełniona została prymarna dla muzealiów archeologicznych zasada – powiązanie ich gromadzenia i ekspozycji z określonym terytorium, które uwarunkowane jest historycznie, administracyjnie, a także rozmieszczeniem i rangą placówek muzealnych. W tym przypadku, ujmując rzecz w uproszczeniu, wymiana oznaczała przekazanie stronie polskiej zabytków z Pomorza Zachodniego, a stronie niemieckiej muzealiów z Pomorza Przedniego i Rugii.

Zrozumienie problematyki tego wydarzenia, wymaga choćby skrótowego opisu historii szczecińskiej kolekcji archeologicznej.

Początki tworzenia kolekcji regionalnej – pomorskiej kolekcji zabytków archeologicznych sięgają pierwszej połowy XIX wieku. Z chwilą powstania Towarzystwa Historii i Starożytności Pomorza (Gesellschaft für Pommersche Geschichte und Altertumskunde), rozpoczęto programowe działania w zakresie ochrony zabytków i gromadzenia zbiorów regionalnych. Towarzystwo Historii i Starożytności Pomorza kolekcjonowało zabytki archeologiczne w Szczecinie, dając podstawy największemu i najbardziej reprezentatywnemu zbiorowi muzealiów pra- i wczesnodziejowych z Pomorza, który finalnie znalazł trwałe miejsce w szczecińskim Pommersches Landesmuseum.

W trakcie wojny, pomiędzy 1940 a 1944 rokiem, w gmachu muzeum stopniowo prowadzono działania zabezpieczające zabytki i dokumentację. Najważniejsze zbiory, zgodnie z obowiązującymi na czas działań wojennych przepisami, zostały ewakuowane do różnych miejsc na całym Pomorzu. Dyslokacją objętych zostało około 700 zespołów i pojedynczych zabytków archeo-

Anzeige / reklama

INSTYTUT KSIĄŻKI

©POLAND

NAJLEPSI PISARZE I KRYTYCY

INSTYTUT KSIĄŻKI POLECA

NOWE KSIĄŻKI

Miesięcznik - od ponad półwiecza niezastąpione źródło wiedzy i opinii o książkach. Recenzje, wywiady, sylwetki pisarzy, publicystyka, bibliografia, zapowiedzi wydawnicze.

RUCH MUZYCZNY

Najstarsze polskie czasopismo o muzyce poważnej. Forum niezależnej krytyki. 26 numerów w roku.

TEATR

Miesięcznik poświęcony teatrowi współczesnemu. Omówienia najnowszych premier w Polsce i za granicą, teksty krytyczne, eseje, komentarze.

LITERATURA NA ŚWIECIE

Literatura na Świecie?
Co tu w ogóle **t ł u m a c z y ć** -
wiadomo!

NOWAJA POLSZA

Miesięcznik. Jedyne pismo w Polsce w języku rosyjskim. Bogaty wybór publicystyki autorów polskich i rosyjskich. Przekłady nieznanych w Rosji utworów polskiej poezji i prozy.

AKCENT

Żywo redagowany kwartalnik poświęcony literaturze i innym dziedzinom sztuki w kontekście najnowszych osiągnięć myśli humanistycznej. Ukazuje się od 1980 roku w Lublinie.

ODRA

Miesięcznik szeroko prezentujący społeczną i artystyczną współczesność, forum krytycznej refleksji humanistycznej. Polska i świat, historia i możliwa przyszłość.

TWÓRCZOŚĆ

Najstarszy polski miesięcznik literacki. Przedstawia współczesną prozę, poezję i krytykę literacką. Uczestniczy w przemianach polskiej literatury.

DIALOG

Miesięcznik poświęcony dramaturgii współczesnej teatralnej, radiowej i telewizyjnej.

INSTYTUT KSIĄŻKI - DZIAŁ WYDAWNICTW

02-086 Warszawa al. Niepodległości 213 ▪ tel. (22) 608 23 74 ▪ tel./fax (22) 608 24 88
e-mail: czaspatron@bn.org.pl

logicznych. W ten sposób część szczecińskiej kolekcji archeologicznej została na miejscu, w Szczecinie, część – zabezpieczona poza muzeum – znalazła się w granicach dzisiejszych Niemiec, a pozostałe, zdeponowane w miejscach ewakuacji położonych w obecnych granicach Polski, zaginęły w zawierusze końca wojny i samego początku okresu powojennego.

„Stolper Bär", beschnitzter Bernstein, Nationalmuseum in Stettin / *figurka niedźwiadka z bursztynu znaleziona w okolicach Słupska, Muzeum Narodowe w Szczecinie.*

Poszukiwania zaginionych zabytków po stronie polskiej nie przyniosły zadowalających rezultatów. Do połowy lat 50. XX wieku szczecińscy archeolodzy i muzealnicy byli przekonani, że przepadły wszystkie ewakuowane przedmioty. Przełom nastąpił dzięki wskazówkom profesora Hansa Jürgena Eggersa, przedwojennego kustosza szczecińskich zbiorów archeologicznych, który naprowadził polskich kolegów na informacje o tym, że niektóre zabytki przetrwały w Niemczech i zgromadzone są w Stralsundzie (Museum für Ostmecklenburg). Właśnie od tego momentu, a dokładnie od lat 1962–64, można mówić o rozpoczęciu negocjacji w sprawie kompleksowej wymiany zbiorów, opartej na podziale według miejsc odkrycia na pochodzące z terenów w obecnych granicach Polski oraz w obecnych granicach Niemiec. Zbiory z terenu Niemiec stanowią znacząco większą część tych muzealiów, jednak w skład mniejszego zestawu znalezisk z terenu Polski wchodzą starannie wyselekcjonowane eksponaty. Biorąc pod uwagę, że Pomorze Zachodnie pozbawione zostało grupy najcenniejszych zabytków starożytnych i wczesnośredniowiecznych, a Pomorze Przednie sporej części podstawowej kolekcji oraz archiwaliów, dotyczących odkryć archeologicznych do 1944 roku, wymiana miała zniwelować straty zasobów dziedzictwa kulturowego obu terenów w sposób parytetowy.

Pomysłodawcą projektu wymiany i pierwszym negocjatorem był dyrektor muzeum szczecińskiego, profesor Władysław Filipowiak, który podjął rozmowy z kolegami ze Stralsundu. Jak sam wspominał w jednym z wywiadów, mimo starań specjalistów z obu krajów i wypracowania szczegółów na poziomie władz lokalnych, wymiana została na kilkanaście lat zablokowana przez Ministerstwo Kultury NRD. Dopiero zmiany polityczne przełomu lat 80. i 90., umożliwiły powrót do tego tematu. W efekcie rozmów intencyjnych z archeologami po stronie niemieckiej, sprawą wymiany zainteresowano Ministerstwa Spraw Zagranicznych Polski i Niemiec. Negocjacje podjęte zostały – profesor Wojciech Kowalski prowadził rozmowy z profesorem Tono Eitelem – i zakończyły się uzgodnieniem wymiany. Ostateczny kształt i harmonogram realizacji projektu, uwzględniający zarówno uwarunkowania prawne, jak również potrzeby i możliwości instytucji partnerskich w wymianie, zostały ustalone w trakcie rozmów pomiędzy dyrektorem Muzeum Narodowego w Szczecinie, Lechem Karwowskim, a kierującym archeologicznym urzędem konserwatorskim Meklemburgii-Pomorza Przedniego, profesorem Friedrichem Lüthem.

Po niemal pięćdziesięciu latach starań projekt wymiany pomorskich zabytków archeologicznych, służącej ich uporządkowaniu, zakończył się sukcesem. W Szczecinie są dziś zabytki z terenu Pomorza Zachodniego, w Greifswaldzie i Stralsundzie – z Pomorza Przedniego.

Krzysztof Kowalski
kierownik Działu Archeologii Muzeum Narodowego w Szczecinie.

Fot. Krzysztof Kowalski

Anzeige / reklama

Antologia • Współczesne sztuki uznanych autorów niemieckich

Tom I Zbliżenia
Tom II Końce świata

Dramaturdzy: Marius von Mayenburg, Wolfgang Sréter, Roland Schimmelpfennig, Kerstin Specht, Falk Richter, Marc Becker, Ann-Christine Focke, Jutta Schubert, Anne Habermehl, Nis-Momme Stockmann, Lukas Holliger, Andrea Maria Schenkel

Przekład: Karolina Bikont, Maciej Ganczar, Jacek Kaduczak

Redakcja: Karolina Bikont i Elżbieta Manthey

Antologia jest probą przybliżenia polskiemu czytelnikowi oraz widzowi teatralnemu niewielkiej części bardzo bogatego dorobku niemieckich autórow sztuk teatralnych. Problematyka tomu I koncentruje się wokół prób rozrachunku z wieloma aspektami historii Niemiec w XX w. Tematyką tomu II jest szeroko pojęty temat śmierci, jej rodzaje, interpretacje oraz twórcze z nią zmagania.

Agencja Dramatu i Teatru „ADiT" ul. Grójecka 186/124, 02-390 Warszawa tel.: +22 – 822 11 99
agencja.adit@qdnet.pl • www.adit.art.pl

Fot. Dariusz Wojtaszyn

Adrian **Hartschuh**

Die Multiperspektive als Herausforderung

Ein Bericht vom ersten Kongress der polnischen Deutschlandforscher

Vom 9. bis 11. Mai 2010 kamen in Breslau erstmals 250 Deutschlandforscher zu einem gemeinsamen Kongress zusammen. Die Vielfalt des Forschungsgebietes aufzuzeigen und zu einer gemeinsamen Sprache zu finden stand dabei im Vordergrund. Wie reagierte die polnische Deutschlandforschung auf die veränderte Situation nach 1989 und wo steht sie heute?

Es hat sich etwas getan in den letzten zwanzig Jahren. Breslau, die ehemals deutsche Stadt an der Oder mit ihrer jahrhundertealten Geschichte und ihrem schwierigen historischen Erbe, ist heute eine junge und dynamische Stadt. Rund 150.000 Studenten locken die zahlreichen Hochschulen jedes Semester in die Hauptstadt Schlesiens. Nicht nur am Rynek, dem Marktplatz und zentralen Treffpunkt, tummeln sich überwiegend junge Menschen. Dabei ist der Umgang mit dem deutschen Erbe unverkrampft. Im Mai kamen in diesem Kolorit 250 größtenteils junge Deutschlandforscher zu einem gemeinsamen Kongress zusammen. Zwanzig Jahre nach dem Beginn der demokratischen Revolution trafen sich Wissenschaftler verschiedener Disziplinen erstmals zu einem umfassenden Austausch. Organisiert hatte den Kongress das Breslauer Willy-Brandt-Zentrum für Deutschland- und Europastudien.

„Die Idee zu der Tagung bestand schon lange“, erklärt Krzysztof Ruchniewicz, Leiter des 2002 gegründeten Willy-Brandt-Zentrums, „aber der Gedanke musste erst noch reifen. Wir waren bisher viel zu sehr in den Denkweisen und Ansätzen unserer jeweiligen Fachrichtungen verhaftet.“ Dass Interdisziplinarität ein Vorteil sein kann, daran musste man sich erst gewöhnen.

Als der politische und mediale Umgangston im deutsch-polnischen Verhältnis in den Jahren 2005 bis 2007 immer rauer wurde, waren die Deutschlandforscher nicht präsent. Dabei hätten sie die Emotionalität, mit der die Diskussion geführt wurde, entschärfen und so zu einer Versachlichung beitragen können. Es fehlte aber nicht nur an einer gemeinsamen Sprache, sondern auch an einer Vernetzung der verschiedenen Forschungseinrichtungen. Zwanzig Jahre nach dem Fall der Berliner Mauer stand die polnische Deutschlandforschung an einem Scheideweg. Um eine gemeinsame Sprache zu finden, war der Blick über den Tellerrand nötig. Dass dieser ohnehin die logische Konsequenz eines zusammenwachsenden Europas sei, davon zeigt sich der Historiker Ruchniewicz überzeugt. „Jede Disziplin hat ihr eigenes Bild von Deutschland, was wir aber heute brauchen, ist eine Betrachtung aus der Multiperspektive.“

Ganz unproblematisch ist diese Entwicklung allerdings nicht. Eine Ausweitung der Thematik über alle Disziplinen birgt immer auch das Risiko, in Willkür zu verfallen. Der ohnehin schwer zu greifende Gegenstand der Deutschlandforschung läuft Gefahr, sich in der Diffusion zu verlieren. Da das Überschreiten der Grenzen zwischen den verschiedenen Disziplinen den jüngeren Generationen heute leichter fällt, ist der große Anteil an jungen Deutschlandforschern auf dem Kongress nicht verwunderlich. Dies kann allerdings nicht darüber hinwegtäuschen, dass das Interesse an Deutschland sinkt. Gerade junge Forscher wenden ihren Blick heute vermehrt nach Osten.

Dabei hat die wissenschaftliche Beschäftigung mit dem westlichen Nachbarn in Polen eine lange Tradition. Noch während des Zweiten Weltkriegs entstand mit dem West-Institut in Posen eine Forschungseinrichtung, deren Ziel schon damals die Beschäftigung mit den deutsch-polnischen Beziehungen war. Heute ist das Institut eine der führenden Einrichtungen der polnischen Deutschlandforschung. Die wissenschaftliche Auseinandersetzung mit dem oft so ungeliebten Nachbarn steckte aber auch immer wieder in schweren Krisen. In den Nachkriegsjahren bestimmte die antiwestliche Sowjetpropaganda auch den Wissenschaftsbetrieb. Erst durch die Abkehr vom Stalinismus und die neue Ostpolitik der Bonner Republik vollzog sich ein Klimawechsel, der staatliche Druck auf die Wissenschaft ließ nach und Forschungsreisen in die Bundesrepublik wurden erleichtert. 1972 wurde die Deutsch-Polnische Schulbuch-Kommission mit dem Ziel ins Leben gerufen, eine Verständigung über die Art der gegenseitigen Darstellung im Geschichts- und Geografieunterricht zu erreichen. Auch wenn die Erfolge der Kommission eher dürftig blieben, war eine derartige Zusammenarbeit zwischen den ideologischen Lagern äußerst bemerkenswert.

Eine tiefe Sinnkrise für die polnische Deutschlandforschung bedeutete die Zeit nach 1989. Die Auseinandersetzung mit einem vereinten Deutschland als Partner in Europa fiel schwer, zumal die politischen Umwälzungen im eigenen Land und die Abrechnung mit der sowjetischen Herrschaft kaum Raum für eine Neupositionierung der Deutschlandforschung ließen. Einige Einrichtungen wurden in den Folgejahren geschlossen, das Posener West-Institut und die Deutsch-Polnische

Schulbuchkommission konnten ihre Arbeit hingegen intensivieren.

Die Reaktion auf die veränderten Voraussetzungen zeigte sich zu Beginn des neuen Jahrhunderts. Das Willy-Brandt-Zentrum und das 2006 gegründete Zentrum für Historische Forschung Berlin der polnischen Akademie der Wissenschaften stehen bildhaft für die Verschiebung des Blickwinkels zu einem interdisziplinären und europäischen Horizont und der verstärkten Zusammenarbeit zwischen Deutschland und Polen. Die polnische Deutschlandforschung hat dabei einen Wandel vollzogen, der auch auf dem Breslauer Kongress deutlich zu spüren war. Trotz des großen Spektrums an unterschiedlichen Beiträgen ließ sich eine deutliche Tendenz erkennen: Nachdem der Fokus der Forschung jahrzehntelang auf die deutsche Besatzungszeit gerichtet war, liegt er heute überwiegend auf der Nachkriegszeit. Selbstverständlich ist die Forschung auch heute noch untrennbar mit der traumatischen Beziehungsgeschichte beider Länder verbunden. Ob das Interesse für Deutschland deshalb in unvorbelasteten Ländern als „ehrlicher" gelten kann, wie der kanadische Politologe Laurence McFalls mutmaßt, ist aber fraglich. Eine Reduktion auf eine reine „Hitlerforschung", wie er es für sein Land befürchtet, ist indes in Polen nicht zu erwarten. Stattdessen rücken der deutsche Umgang mit der Wiedervereinigung und die veränderte Situation innerhalb der Europäischen Union in den Vordergrund. Die Bandbreite reicht dabei von der Analyse des großen Erfolgs der Partei Die Linke in den Neuen Bundesländern bis zu Deutschlands Sehnsucht nach einem europäischen Verfassungspatriotismus. Auch der schwierige Umgang mit dem Thema Vertreibung findet in dem wissenschaftlichen Rahmen einen entsprechenden Platz.

Der erste Kongress der polnischen Deutschlandforscher hatte zweifellos das Hauptziel, die Vielfältigkeit des Forschungsgebietes aufzuzeigen. Die Organisatoren hatten sich daher bewusst entschlossen, auf ein spezielles Oberthema zu verzichten. Über einhundert Redner und Moderatoren dokumentierten während des dreitägigen Kongresses die verschiedensten Aspekte der Forschung. Herausgekommen ist dabei ein buntes Sammelsurium an Themen und Aspekten, Gemeinsamkeiten und Divergenzen, das es nun zu ordnen gilt. Denn bereits bis zum nächsten Kongress 2012 in Posen will man eine gemeinsame Sprache gefunden haben.

Adrian **Hartschuh**

Wieloperspektywiczność jako wyzwanie

Sprawozdanie z pierwszego kongresu polskich niemcoznawców

W dniach od 9 do 11 maja 2010 na konferencji we Wrocławiu po raz pierwszy spotkało się 250 niemcoznawców. Celem kongresu było ukazanie szerokiego spektrum badań w tej dziedzinie i znalezienie wspólnych priorytetów. Jak polskie niemcoznawstwo zareagowało na zmianę sytuacji po 1989 roku i jak dziś wygląda jego sytuacja?

Fot. Dariusz Wojtaszyn

Wrocław, byłe niemieckie miasto nad Odrą z wielowiekową tradycją i trudnym dziedzictwem historycznym, jest dziś miastem młodym i dynamicznym. Liczne szkoły wyższe co roku przyciągają do stolicy Dolnego Śląska młodych ludzi, obecnie kształci się tu 150 tysięcy studentów. Nie tylko na Rynku – ulubionym punkcie spotkań – spotkać można głównie ludzi młodych. Z niemieckim dziedzictwem obchodzi się tu swobodnie. W takiej właśnie atmosferze zebrało się w maju na wspólnym kongresie we Wrocławiu 250 – głównie młodych – niemcoznawców. Dwadzieścia lat po przełomie demokratycznym spotkali się przedstawiciele różnych dziedzin naukowych, by wymienić się swoimi doświadczeniami i wiedzą. Konferencję zorganizowało wrocławskie Centrum Studiów Niemieckich i Europejskich im. Willy'ego Brandta.

„Pomysł na kongres istniał już dawno – wyjaśnia Krzysztof Ruchniewicz, dyrektor Centrum Willy'ego Brandta, założonego w 2002 roku – ale musiał jeszcze dojrzeć. Byliśmy dotychczas zbyt skoncentrowani na wzorcach myślenia i założeniach poszczególnych dyscyplin naukowych". Najpierw należało się przekonać, że interdyscyplinarność może być zaletą.

Kiedy w latach 2005–2007 w polityce i mediach w sprawach stosunków polsko-niemieckich panował coraz bardziej szorstki ton, niemcoznawcy nie zabierali głosu. A przecież mieli szansę na złagodzenie emocjonalności prowadzonej dyskusji i jej obiektywizację. Brakowało jednak zarówno wspólnego języka, jak i ścisłej współpracy między poszczególnymi instytucjami naukowymi. Dwadzieścia lat po upadku muru berlińskiego polskie niemcoznawstwo stanęło na rozdrożu: aby znaleźć wspólny język, konieczne stało przyjęcie szerszej perspektywy. Owa szersza perspektywa jest przy tym logiczną konsekwencją coraz bardziej jednoczącej się Europy, o czym dyrektor Ruchniewicz jest przekonany. „Każda dziedzina naukowa ma swój własny obraz Niemiec, ale to, czego dziś potrzebujemy, jest wieloperspektywiczność w traktowaniu tematu".

Zjawisko to niesie jednak ze sobą pewne problemy. Rozszerzenie tematyki niemcoznawczej na wszystkie dyscypliny naukowe wiąże się z ryzykiem dowolności. Istnieje niebezpieczeństwo, że przedmiot niemcoznawstwa, i tak już trudny do ogarnięcia, pogubi się w międzydyscyplinarnej

dyfuzji. Zacieranie granic między różnymi dziedzinami naukowymi łatwiej przychodzi młodszej generacji, stąd nie jest zaskoczeniem duży udział młodych niemcoznawców we wrocławskim kongresie. Jednak ten fenomen nie jest w stanie ukryć faktu, że zainteresowanie Niemcami maleje. Młodzi naukowcy koncentrują się dziś coraz częściej na Europie Wschodniej.

Tymczasem badania naukowe dotyczące zachodniego sąsiada mają w Polsce długą tradycję. Jeszcze w czasie trwania II wojny światowej powstał w Poznaniu Instytut Zachodni, instytucja, która od początku miała zajmować się stosunkami polsko-niemieckimi. Dziś Instytut należy do czołowych ośrodków polskiego niemcoznawstwa. Jednak praca naukowa skierowana na niekiedy mało lubianego sąsiada przeżywała raz po raz głęboki kryzys. Także sowiecka, antyzachodnia propaganda w latach powojennych ograniczała zakres badań w tej dziedzinie. Dopiero upadek stalinizmu, a potem nowa polityka wschodnia Republiki Bońskiej przyczyniły się do zmiany klimatu politycznego; jego skutkiem było osłabienie nacisku państwa na świat naukowy i ułatwienie wyjazdów do Republiki Federalnej w celach badawczych. W roku 1972 utworzona została Polsko-Niemiecka Komisja Podręcznikowa, której celem było wspólne wypracowanie wzajemnego wizerunku obu krajów, przekazywane na lekcjach historii i geografii. Mimo że Komisja nie odniosła poważnego sukcesu, ten nowy rodzaj współpracy między dwoma ideologicznymi obozami wart jest odnotowania.

Ciężkim kryzysem merytorycznym dla polskiego niemcoznawstwa był okres po 1989 roku. Współpraca ze zjednoczonymi Niemcami jako partnerem w Europie okazała się trudna, zwłaszcza że zarówno polityczna transformacja we własnym kraju, jak i rozrachunek z komunistyczną przyszłością, nie pozwalały niemcoznawstwu na nowe zdefiniowanie swego stanowiska. Wprawdzie kilka instytucji w kolejnych latach zamknięto, ale poznański Instytut Zachodni i Polsko-Niemiecka Komisja Podręcznikowa mogły zintensyfikować swoją pracę.

Reakcje na nowe warunki można było zaobserwować na początku nowego stulecia. Wrocławskie Centrum Willy'ego Brandta wraz z powstałym w 2006 roku Centrum Badań Historycznych Polskiej Akademii Nauk w Berlinie są znakomitym przykładem przesunięcia uwagi naukowców w kierunku interdyscyplinarności i europejskiej perspektywy oraz intensywnej współpracy między Polską i Niemcami. Polskie niemcoznawstwo przeszło przy tym przemianę, której na wrocławskim kongresie nie sposób było nie zauważyć. Mimo szerokiego spektrum wykładów i dyskusji wyraźnie dała się rozpoznać pewna tendencja: trwające przez dziesiątki lat zainteresowanie nauki czasem okupacji hitlerowskiej dziś skierowane jest głównie na czas powojenny. Obecne badania naukowe są naturalnie nadal powiązane z traumatyczną przeszłością obu krajów. Wątpliwa jest jednak teza kanadyjskiego politologa Laurence'a McFallsa, jakoby zainteresowanie Niemcami w krajach nieobarczonych wspólnym dziedzictwem historycznym było bardziej „szczere". W Polsce nie trzeba już obawiać się zredukowania badań naukowych wyłącznie do badań nad hitleryzmem, czego McFalls obawia się w przypadku swojego kraju. Na pierwszy plan wysuwają się stosunek Niemców do niemieckiego zjednoczenia oraz zmiana sytuacji w Unii Europejskiej. Paleta tematyczna obejmuje zarówno analizę popularności partii Die Linke w nowych landach, jak i marzenie Niemiec o europejskim patriotyzmie konstytucyjnym. W ramach badań naukowych znalazło się też miejsce na ocenę stosunku Niemców do problematyki wypędzeń.

Pierwszy kongres polskich niemcoznawców miał niewątpliwie na celu ukazanie różnorodności badań niemcoznawczych. Z tego powodu organizatorzy świadomie zdecydowali się zrezygnować z tematu przewodniego. Ponad stu referentów przez trzy dni przedstawiało najróżniejsze aspekty własnych badań naukowych. Efektem była kolorowa mieszanka tematów i punktów widzenia, podobieństw i dywergencji, które należy jeszcze tylko uporządkować. Najpóźniej do następnego kongresu w Poznaniu w roku 2012 niemcoznawcy chcą wypracować wspólny język dyskusji.

Z niemieckiego przełożyła Monika Satizabal Niemeyer

Deutsche Wissenschaftler in die Polnischen Akademie der Wissenschaften aufgenommen • Vier deutsche Wissenschaftler wurden als auswärtige Mitglieder in die Polnische Akademie der Wissenschaften aufgenommen. Die feierliche Verleihung der Mitgliedschaft fand am 19. April im Zentrum für Historische Forschung Berlin der Polnischen Akademie der Wissenschaften statt (Foto). Unter den neuen Mitgliedern wurde der Nobelpreisträger für Chemie (2007), Prof. Dr. Gerhard Ertl vom Fritz-Haber-Institut der Max-Planck-Gesellschaft in Berlin begrüßt. Neues Mitglied der Akademie wurde auch Prof. Frank Steglich vom Max-Planck-Institut für Chemische Physik fester Stoffe in Dresden, einer der hervorragendsten Experimentalphysiker der Welt. Der deutsche Historiker Prof. Christoph Kleßmann von der Universität Potsdam, der sich mit der Geschichte Deutschlands und Polens im 20. Jahrhundert beschäftigt, und insbesondere mit der Zeit des Nationalsozialismus in Deutschland, gehört zu den Experten, die an dem deutsch-polnischen Geschichtsbuch arbeiten. Das vierte nominierte Mitglied ist Prof. Thomas C. Mettenleiter vom Friedrich-Loeffler-Institut in Greifswald, eine weltweit anerkannte Autorität auf dem Gebiet der Molekularbiologie und Virologie.

Niemieccy naukowcy członkami Polskiej Akademii Nauk • Czterech niemieckich naukowców otrzymało nominacje na członków zagranicznych Polskiej Akademii Nauk. Uroczystość ich wręczenia odbyła się 19 kwietnia w Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie (fot.). Wśród nowych członków powitano laureata Nagrody Nobla w dziedzinie chemii (2007) prof. Gerharda Ertla z Instytutu Fritza Habera Towarzystwa im. Maxa Plancka w Berlinie. Nowym członkiem PAN został także prof. Frank Steglich z Instytutu Chemii Fizycznej Ciała Stałego Maxa Plancka w Dreźnie, jeden z najwybitniejszych fizyków eksperymentalnych na świecie. Niemiecki historyk prof. Christoph Kleßmann z Uniwersytetu w Poczdamie, badacz historii Niemiec i Polski w XX wieku, szczególnie w okresie narodowego socjalizmu w Niemczech, jest jednym z ekspertów biorących udział w opracowaniu polsko-niemieckiego podręcznika historii. Czwarty nominowany, prof. Thomas C. Mettenleiter z Instytutu Friedricha Loefflera w Greifswaldzie, to jeden ze światowych autorytetów w dziedzinie biologii molekularnej i wirologii.

DB BAHN

ab 39 Euro

Deutschland

Polen

Entspannt und günstig nach Polen.

Mit dem Europa-Spezial reisen Sie bereits ab 39 Euro für die einfache Fahrt in der 2. Klasse. Auf bestimmten Strecken sogar noch günstiger, zum Beispiel Berlin–Poznań (Posen) ab 19 Euro oder Berlin–Warszawa (Warschau) ab 29 Euro. Mit der BahnCard 25 erhalten Sie zusätzlich 25% Rabatt. Familienkinder bis einschließlich 14 Jahren reisen kostenlos mit. Nur solange Vorrat reicht. Erhältlich überall, wo es Fahrkarten gibt und unter www.bahn.de. **Die Bahn macht mobil. Seit 175 Jahren.**

In Kooperation mit

PKP INTERCITY